

PAWEŁ
JASIEŃNICA
KRAJNAD
JANGCY

WSTĘP Jan
Rowiński

W kraju nad Jangcy — refleksje po półwieczu

Ta niewielka książeczka pisana była pośpiesznie (2 miesiące), z lakonicznych notatek, na gorąco, aby niczego nie uronić ze świeżości obrazu, koloru, zapachu i pamięci z sześćcio-tygodniowej podróży po Państwie Środka, w czasie której Autor przemierzył ponad dwa tysiące kilometrów. Są to fotografie zatrzymane w czasie i skrótowe refleksje na ich temat. Pisał je człowiek, który nie znał Chin, którego wiedza o historii, kulturze i obyczajach, o losach tej jednej z najstarszych, wielkich cywilizacji pozostawała naskórkowa i który przyznania się do tego nie poczytywał sobie za ujmę. Przyjechał do Państwa Środka kierowany ciekawością i chęcią zapoznania się z dalekim i nieznanym, a tak bardzo fascynującym światem. Obdarzony wnikliwym zmysłem obserwacji i umiejętnością nie tylko barwnego przedstawiania szczegółów, odnotowywania ich odmienności, ale i na ich podstawie dzielenia się z czytelnikiem - jak sam pisze - nieśmiałą próbą odpowiedzi na pytanie: dlaczego? W obserwowanych zjawiskach, zachowaniach i postawach dostrzegał pewne uniwersalne, ogólnoludzkie wartości i... słabości, szanse i zagrożenia, jakie rodzą. Jest to tym cenniejsze, że kryje się za tym wnikliwa, jakże rzadka umiejętność głębszej syntetycznej refleksji, wypowiedana z zadziwiająco przy tym skromnością i wręcz pokorą wobec nowych zjawisk, które poznawał.

Paweł Jasienica ogólnie formułował swe sądy, zastrzegając, że są to „tylko osobiste, na pewno zabarwione subiektywizmem

wnioski i przypuszczenia", ale wiele z nich sygnalizowało zjawiska, w których dostrzegał realne niebezpieczeństwo, dodajmy aktualne i dzisiaj. Nie dotyczą one wyłącznie Chin. Odwołajmy się do kilku przykładów.

Oto refleksja na temat różnic pomiędzy standardem sanatoriów „tylko dla kadry” i chorych „zwykłych śmiertelników” w Gorących Źródłach pod Kantonem:

„Ile by trzeba czasu, żebym ja sam - żyjąc w takim luksusie jak ten tutaj — nie tylko się przestał oburzać na nierówności i niesprawiedliwości społeczne, ale nawet stał się zapamiętałym wyznawcą takiej hierarchii, która mnie właśnie wynosiłaby na szczyty? {...} Zjawisko korozji człowieka jest na pewno pozaustrojowe. [...] Dlatego też wszelkie napisy «Tylko dla...», umieszczone na bramach jakichkolwiek urzędzeń służących ludzkiej wygodzie, powinno się uważać za groźny sygnał ostrzegawczy. Bo w «zakazanych miastach» łatwo może się zwichnąć cała historia kraju”.

O zagrożeniach:

„Jeśli ludzie są obywatelami państwa słabego, będą się zamykać we własnych granicach jak żółw w skorupie, ze wstrętem odpychać wszelkie nowinki tudzież «miazmaty», tęsknie marząc o chwili, kiedy można będzie przygiąć do ziemi jeszcze słabszych. Lecz jeśli w grę wchodzi mocarstwo... O! wtedy zaraz się pojawia misja dziejowa, apostołski zapał do nawracania niewiernych i takich, co się zabłąkali na zgniłe manowce, rojenia o którymś tam z rządu «Rzymie». Bo przecież nie ulega wątpliwości, że właśnie w tym świetlanym mocarstwie wszystko jest naj... naj... naj...”.

„Nie zyska przyjaciół taka potęga, która zażąda od słabszych sprzymierzeńców, aby przestali być sobą”.

„Żadne z wielkich mocarstw nie powinno nawet marzyć o uszczęśliwianiu świata przez narzucanie mu własnych wzorów ani o traktowaniu innych narodów jak podrzędnych mniejszości”.

„Rzewne uczucie mną owładnęło, kiedy tak patrzyłem i utrwaląłem w pamięci cudowną inność, odmienność, bogactwo

szczególów życia. Każdy z nich jest przecież wyrazem różnego obyczaju, stanowi wynik długiego i zupełnie swoistego doświadczenia stuleci, które odrębnie kształtowały także dusze ludzkie. Współczuję nieszczęśnikom, którzy mniemają, że zbawienie ludzkości zawisło od jednego dla wszystkich strychnulca, i wmawiają w nas, że wszystko na świecie jest zawsze i wszędzie takie samo".

„Najliczniejszy naród świata, uczciwy, pracowity nadzwyczajnie, zdyscyplinowany w sposób najzupełniej fantastyczny, na swoich 10 milionach kilometrów kwadratowych powierzchni posiadający wszystko, czego tylko potrzeba przemysłowi i technice... Przecież jeśli tak dalej pójdzie, w stosunkowo niedługim czasie Chiny mogą wyrosnąć na potęgę, jakiej jeszcze historia nie oglądała. Tak, ale każdy mocarz łatwo i zawczasu kark skręci, jeśli ulegnie pokusom polityki międzynarodowej aż nazbyt dobrze znanego typu. Możliwość tego właśnie niebezpieczeństwa stanowi - moim zdaniem — najgroźniejszy znak zapytania unoszący się nad godną wielkiego szacunku pracą tego kraju".

Wizyta Pawła Jasionicy wypadła w wyjątkowym roku 1956. Był to rok XX Zjazdu KPZR i procesu destalinizacji, który wywołał ostre kontrowersje wewnątrz chińskiego kierownictwa, otworzył jednak drogę do liberalizacji - wprawdzie krótkotrwałej, ale unikanej jak ognia w świecie „realnego socjalizmu”, a już szczególnie wyjątkowej w historii Chin. W maju Mao Zedong proklamował w Pekinie wielką kampanię „Niech rozkwita sto kwiatów, niech współzawodniczy sto szkół” (*shuangbai*). Kierownictwo deklarowało, że chodzi o stworzenie klimatu krytycznych i twórczych poszukiwań, dyskusji, polemik, wyrażania różnych opinii, poglądów, w celu „czyszczenia błędów, ale nie ścinania głowy socjalizmowi”, solennie zapewniając, że tym razem odbędzie się to bez ingerencji administracyjnych i stosowania masowych represji. Była to kampania nawiązująca do złotego okresu rozkwitu chińskiej myśli filozoficznej, społecz-

nej i kultury z epoki Walczących Królestw (403-221 p.n.e.)¹. We wrześniu odbył się VIII Zjazd KPCh i I sesja Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych - chińskiego parlamentu I kadencji, wybranego w powszechnych wyborach. Przyjęto pierwszą konstytucję ChRL. Osiągnięto znaczący postęp gospodarczy. W październiku 1956 roku, w czasie wydarzeń w Polsce, przywódcy ChRL zajęli jednoznacznie krytyczne stanowisko wobec planów interwencji radzieckiej w naszym kraju, określając je jako „przejaw wielkorosyjskiego szowinizmu”, i uznali, że zmiany w kierownictwie PZPR (powrót Władysława Gomułki, odejście m.in. marszałka Konstantego Rokossowskiego z Biura Politycznego) za sprawę wewnętrzną Polski². Abstrahując od motywów, jakimi się kierowali, taka postawa odegrała niezwykle ważną rolę w tym, że wydarzenia październikowe nad Wisłą nie przekształciły się w wielką, krwawą tragedię, jak stało się to na Węgrzech.

Polska jesienią tego roku cieszyła się szczególnymi względami w Pekinie. Należy pamiętać, że atmosfera stosunków między państwami określała i do dziś określa sposób przyjmowania gości z danego kraju w Państwie Środka. Paweł Jasienica nie mógł trafić lepiej... dlatego pokazano mu tyle, w tak krótkim czasie i dlatego tak go podejmowano. Od późnej jesieni ten klimat ulegał stopniowemu ochłodzeniu - na tle zaostrzającego się sporu wewnętrznego w kierownictwie chińskim wokół słuszności liberalizacji i konieczności represyjnej rozprawy z krytykami, różnic pomiędzy Pekinem a Warszawą na tle stosunku do wydarzeń

¹ Ruch ten przetrwał do późnej wiosny 1957 roku, tj. do rozpoczęcia tzw. walki z elementami prawicowymi — brutalnej, masowej rozprawy z inteligencją i tymi, którzy apel Mao potraktowali poważnie, wyrażając krytyczne opinie (represje objęły ponad pół miliona osób w miastach i kilka milionów na wsi. Po latach uznano za zasadne 2 procent decyzji).

² Edward Ochab, który przewodniczył delegacji PZPR na VIII Zjeździe KPCh, powiadomił najwyższe kierownictwo chińskie o planach rehabilitacji i powrotu do władzy odsuniętego W Gomułki, czego nie powiedział w Moskwie, będąc przejazdem w drodze do i z Pekinu.

na Węgrzech (Chińczycy tym razem aktywnie poparli decyzję o interwencji zbrojnej ZSRR) oraz w cieniu operacji wojennej Francji, Wielkiej Brytanii i Izraela w Suezie. Była to zapowiedź dramatycznych zmian w Chinach. Inny byłby więc obraz i inne refleksje, gdyby ten wybitny polski pisarz odwiedził Chiny w rok później.

Wracam do ponownej lektury chińskiej książeczki Pawła Jasienicy po 50 latach, gdy wydawcy poprosili mnie o napisanie kilku słów wstępu. Jest mi ona bliska.

Praktycznie całe moje dorosłe życie (od końca sierpnia 1954) jest związane z Chinami: przez studia w Pekinie, przez ponad 16 lat, jakie w tym kraju spędziłem w różnych okresach jako student, praktykant, tłumacz, pracownik służby zagranicznej, naukowiec i badacz, znów jako dyplomata i ponownie jako nauczyciel akademicki.

Trasa podróży Autora zbiegła się niemal dokładnie z moimi pierwszymi wędrówkami po Chinach. Tak się szczęśliwie złożyło, że mogłem być niemal wszędzie tam, gdzie on był. W tym sensie sięgnięcie do tej książki jest dla mnie powrotem do lat młodości... z jedną ogromną różnicą - miałem to szczęście, że udało mi się odwiedzić te miejsca powtórnie po 20, 30, 40 i niektóre niemal po 50 latach. Ogromnie żałuję, że nie było mi dane przeczytać jego opinii, gdyby i jemu dana była ta szansa. To byłoby fascynujące!

Ta ponowna lektura zmusza do pogłębionych refleksji z perspektywy półwiecza nad najnowszymi dziejami niejako „mojej drugiej ojczyzny”.

W Chinach jest bardzo wiele Chin. Sami Chińczycy mówią o swym kraju: „Jedne Chiny - cztery światy” (*yige Zhongguo sige shijie*). Od najbogatszych i najbardziej rozwiniętych do najbiedniejszych i najbardziej zacofanych regionów Trzeciego Świata. Jest to kraj nadal ogromnych dysproporcji: bogactwa i nędzy, postępu i zacofania... XXI i XIX wieku jednocześnie. I dziś jeszcze w niektórych, głównie północno-zachodnich i południowo-zachodnich regionach *tego* wielkiego państwa (przecież to

kontynent) można zobaczyć obrazy, o których pisze Paweł Jasienica, wspominając kulisów ciągnących barki nad Jangcy, tragary z Chongqingu czy wioskę Xindi pod Wuhanem. Warto porównać jakże prawdziwy (ciągle mam go przed oczyma zakodowany w pamięci) opis Pekinu, Szanghaju, Nankinu, Kantonu, Chongqingu czy Ningbo z lat pięćdziesiątych XX wieku z tym, co można zobaczyć dziś w tych wielomilionowych, nowoczesnych metropoliach (np. Chongqing to największe miasto wydzielone o statusie prowincji, z 32-milionową ludnością). Inna rzecz, że i w tym wypadku ślepy pościg za nowoczesnością pogrzebał bezpowrotnie tysiące wspaniałych zabytków przeszłości, w imię - aby użyć określenia Jasienicy nawiązującego do niszczenia wiekowych kamienic w powojennej Nysie - „odzysku cegły”. Nikt już nie przepłynie przełomem Jangcy, tak jak opisuje Autor, bo najdłuższą rzekę Chin przegradza jedna z najwyższych tam, z gigantycznymi śluzami jednej z największych hydroelektrowni globu. Dziś wielki most na tej rzece w Wuhanie jest symbolem lat, kiedy go budowano... ale od tego czasu, ile powstało nowych, i to jakich, będących powodem do zasłużonego podziwu dla talentu i mistrzostwa ich twórców: chińskich inżynierów i architektów chociażby, jeśli pozostaniemy przy Jangcy - w Chongqingu, Yangzhou, Nankinie, Szanghaju...

W ciągu tych pięciu dekad przejechałem po Chinach ponad 90 tysięcy kilometrów i myślę, że trudno by było znaleźć inny przykład kraju, w którym dokonano tak ogromnego postępu w tak krótkim historycznie czasie. W tym sensie opinia Autora o odrodzeniu Chin z odwołaniem do cech społeczeństwa tego starożytnego kraju, jego kulturowo-cywilizacyjnego dziedzictwa, wyrażona na początku podjętego od nowa w 1949 roku wysiłku, zabrzmiała proroczo... chociaż poszukiwanie właściwej drogi modernizacji okazało się o wiele dłuższe i trwało niemal 30 lat, było pełne meandrów, tragicznych błędów i wypaczeń, ale i zbrodni, za które przyszło zapłacić mieszkańcom Chin ogromną cenę.

Paweł Jasienica unikał jak ognia biało-czarnych schematów, kategoriycznych, arbitralnych osądów. Taka postawa i taka refleksja zmusza do ponownych przemyśleń, często weryfikacji stereotypowych opinii i obiegowych ocen, ostrzega przed łatwymi i prostymi odpowiedziami. Widać to szczególnie wyraźnie z perspektywy półwiecza, jakie upłynęło od publikacji jego chińskich zapisków. Jaka przepaść dzieli taką postawę od niemałej grupy dzisiejszych, także naszych, „globtroterów”, którzy jeszcze przed postawieniem po raz pierwszy swej stopy na ziemi chińskiej, wiedzą już wszystko o tym kraju i do tego najlepiej... przy czym szukają (jeśli w ogóle to robią) potwierdzenia swoich jedynie słusznych ocen i opinii, które przywieźli ze sobą, w podręcznym bagażu. Świat, który dopiero poznają z autopsji, nie ma żadnego wpływu na kształtowanie się ich poglądu i ocen. Charakterystyczne dla tego zjawiska jest to, że tupet i arogancja idą w parze z ignorancją, stymulują się wzajemnie. Mniejsze zło, gdy pozostaje to ich prywatną, słodką tajemnicą, znacznie gorzej, gdy przedstawia się je jako prawdy objawione, głoszone ex cathedra już jako opinie „wytrawnych znawców i ekspertów” na łamach środków masowego przekazu.

Warszawa, 1 lipca 2008 roku

KRAJ
NAD
JANGCY

ZAMIAST PRZEDMOWY

Wiem, że to zuchwalstwo pisać o Chinach po sześciotygodniowym pobycie w tym kraju. Przewędrowałem kilka tysięcy kilometrów. Liczba ta imponuje w Europie, lecz bardzo niewiele znaczy tam, gdzie odległości można swobodnie wymierzać tuzinami stopni geograficznych.

Jedna tylko okoliczność może usprawiedliwić tę książkę i jej autora. Niechże ją uzmysłowi przykład.

Wkrótce po przybyciu do Pekinu wybrałem się na zwiedzanie Wzgórza Węglowego. Łatwo je z daleka zauważyć. Jest wysokie, zadrzewione i wznosi się tuż na północ od Zakazanego Miasta, czyli od dzielnicy pałaców cesarskich, do których żaden zwykły śmiertelnik wchodzić nie mógł. Grzbiet wyniosłości zdobią cudownie lekkie budowle o żółtych dachach i czerwonych kolumnach. Oglądane z dołu sprawiają wrażenie małych, przewiewnych altan. Środkowa, ustawiona na samym szczycie i największa, ma kształt prostokąta. Pozostałe wznoszą się parami, po obu bokach, symetrycznie i coraz niżej. Pierwsze dwie są wieloboczne, najniższe koliste.

Ledwieśmy minęli bramę i skręcili ścieżką wiodącą w lewo, na szczyt, przewodnik przystanął.

- Kiedy w roku 1644 wybuchły w Chinach powstania ludowe i groził napad Mandżurów, ostatni cesarz...

- Wiem! - przerwałem mu. - Wtedy ostatni cesarz z dynastii Ming skończył samobójstwem. Powiesił się podobno na własnym pasie.

- Tak, a było to akurat w tym miejscu.

Drzewo, na które wskazał, rośnie tuż, po lewej ręce. Jest pochyle i jak na swój wiek dziwnie małe. Rozwidlenie jednej z gałęzi przycięte w dwa krótkie i poziome ramiona. Czyżby to właśnie na nich? Wiadomo z kronik, że wraz z cesarzem wybrał się wtedy na tamten świat jego najwierniejszy sługa.

Wokół historycznego pnia ciągnie się niziutki czerwony mur z białym pasem u wierzchu. Obok jakiś starzec w czarnym chałacie do ziemi i z ciemną krymką na siwej głowie, łagodnie się uśmiechając, przemawia do grupy wyrostków. Nie rozumiem oczywiście, ale łatwo odgaduję, o czym mowa. Dłoń starego człowieka wskazuje owo drzewo.

Zdarzyło mi się to na samym początku wędrówki. W przeciągu następnych sześciu tygodni bardzo rzadko - niestety - mogłem powiedzieć przewodnikowi, że wiem, o czym chce mówić, że już o tym u siebie w kraju czytałem. Za to z reguły w zwiedzanych miejscowościach odbywał się taki na przykład dialog: „Co pan chciał zobaczyć w Chongqing¹?”. „To może panowie będą łaskawi najpierw mi powiedzieć, co jest w ogóle do obejrzenia w Chongqing”.

Wybierając się do Chin, niezmiernie trudno zaopatrzyć się na drogę w wiedzę o historycznych czy też współczesnych szczegółach tego kraju. Zwłaszcza że ostatnio nasza połać Europy zachorowała na manię tak zwanych światopoglądowych uogólnień, które się przeważnie niczym nie różnią od zwyczajnych i żalonych ogólników. W rezultacie podczas podróży traci czło-

¹ W swym reportażu o Chinach (wyd. 1957) autor używał na ogół stosowanej ówczesnie w Polsce pisowni (np. Czungking, Hangczou — Chongqing, Hangzhou), w niniejszym zaś wydaniu zastosowano przyjętą kilkanaście lat temu oficjalną transkrypcję nazw i nazwisk chińskich w alfabecie łacińskim, zwaną *Aa»j/ pinyin* (zob. Nota wydawnicza). Biorąc jednak pod uwagę utrwaloną w polskiej tradycji pisownię, niektóre nazwiska bądź nazwy geograficzne zachowano w ich dawnej wersji (np. Czang Kaj--szek, Mao Tse-tung, Jangcy, Kanton, Nankin, Pekin, Szanghaj).

Przypisy oznaczone numerkami pochodzą od redakcji, przypisy autora oznaczono gwiazdką.

wiek cenny czas i wygląda całkiem jak analfabeta, któremu o wszystkim trzeba opowiadać, za każdym razem zaczynając od przysłowiowego pieca.

Tymczasem zaś trudno marzyć o psychicznym zbliżeniu między mieszkańcami odległych krajów, jeśli się ludziom i tu, i tam nie udostępni podniecającej wyobraźnię wiedzy właśnie o szczególe. To pięknie, że same nazwy Marsylii, Tulonu czy Saragossy od razu wywołują liczne skojarzenia. Źle natomiast, że słowo „Hangzhou” jest dla nas dotąd po prostu pustym dźwiękiem.

W pekińskim hotelu Xin Qiao Fandian mieszkało wraz ze mną kilku Polaków. Tłumacze, którzy tam stanowią zwartą konfraternię, zawiadomili ich zaraz, że przyjechał jeszcze jeden rodak, z zawodu literat.

—Jeździecie, panowie, sporo - mawiano mi potem podczas wieczornych spotkań w hotelowej restauracji - ale jakoś mało piszecie. Podróżuje się po tych Chinach całkiem na ślepo.

Tak się przedstawiają racje, które mnie skłoniły do napisania tej książki o mojej krótkotrwałej wycieczce do Chin.

PRZELOT

Tak Bóg wynagrodził sprawiedliwego", który przez długie lata nawet nie marzył o podróży za granicę, ale kiedy się nareszcie wybrał, to miał nie lada jakie szczęście. Zaraz za Wisłą chmury przesłoniły widok. Skończyły się tuż za Niemnem i potem, aż po sam Pekin, ani obłoczka - pogodne niebo i pełne słońce. W listopadzie!

Wyruszyłem z Warszawy we wtorek, dwudziestego. Naza-jutrz po południu podniosły się z Bajkału wyjątkowo gęste mgły. Stało się to jednak, zanim dolecieliśmy w okolice jeziora, i miało tylko ten skutek, żeśmy musieli nadprogramowo przenocować w Krasnojarsku. Za ten wypadek należą się Przedwiecznemu osobne podziękowania, gdyż przelot nad wschodnią Syberią, przewidziany na późny wieczór i część nocy, odbył się w biały dzień.

Zachodnia Syberia nie zachwyciła mnie ani trochę. W Swierdłowsku motorowe pługi oczyszczały lotnisko, ale na wschód od Uralu było całkiem bezśnieżnie. Ruda, zamarznęta płaszczyna, żółto błyszczący lód na rozlewiskach - niezbyt uroczne jest to przedproże Azji.

W Omsku dworzec lotniczy stoi jakoś daleko, więc podniósłszy kołnierze, kręciliśmy się przez pół godziny opodal maszyny uzupełniającej zapas paliwa. Krajobraz tam taki, że żal mi się zrobiło wyrzuconej zapalki: samo tu zostanie miłe warszawskie drewnienko... Jak okiem sięgnąć rozciągała się równina szara

i płaska niby stół. Na zachodnim horyzoncie miasto dymiące kominami.

Po starcie, patrząc z góry, można się przekonać, że te wysokie kamienice grupują się nad rzeką. Dalej są długie ulice, wyciągnięte jak pod sznur między wielkimi prostokątami domków niskich i, jak się zdaje, drewnianych.

W Nowosybirsku chodnik z podłużnie kładzionych desek strzela i trzeszczy na mrozie. Kamienne czy gipsowe urny, zastępujące kosze na śmieci, zdają się w ciemności szklić szronem. Takież wrażenie sprawia wielka rzeźba przedstawiająca Lenina i Stalina gawędzących na ogrodowej ławce. Dworzec za poprzecznym szpalerem świerków jest nieduży, przytulny, a przede wszystkim dobrze ogrzany. Po kolacji pakujemy się do samolotu, którego wyziębione tymczasem wewnątrz przypomina lodownię. Minie chyba z pół godziny, zanim znowu można będzie zdjąć płaszcze i czapki. W dole miasto błyszczy światłami — jest dopiero godzina dwudziesta czasu miejscowego.

Nazajutrz rano, wyszedłszy z hotelu w Krasnojarsku, stwierdziłem z zadowoleniem, że na pustym wygonie po drugiej stronie ulicy z głębokiego śniegu wystają tylko czubki burzanów. To już był prawdziwy syberyjski *couleur local*. W powietrzu ani drgnienia, nad kominami dymy jak masztowe sosny. Termometr wskazywał dwadzieścia dwa stopnie mrozu.

Zaraz za miastem zaczęły się pokryte lasem wzgórza. Wyglądały, jakby się cała ziemia powzdymała w łagodne bąble. Po nudnych równinach, oglądanych wczoraj, wydały mi się bardzo interesujące. Ale stewardesa całkiem je zlekceważyła. Twierdziła, że nie mają żadnej nazwy, i pokazała ledwie widoczne na horyzoncie białe pasmo gór Sajańskich.

Strzałka wysokościomierza wskazywała trochę więcej niż trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Pomimo grubej pokrywy śnieżnej łatwo się rozpoznawało bieg zamarzniętych potoków. Były chwile, kiedy cały widnokrąg - od krańca po kraniec - zalegał jeden wielki las, granatowozielony, to znów matoworudy.

Tu i tam przerywały go żółte urwiska, jakby strome brzegi krętych a niewidocznych rzek. Białe błyszczały obszerne polany.

A co, gdyby tak maszyna musiała wylądować na którejś z nich, w głębi tajgi?

Podróż samolotem skłania zazwyczaj do rozważań nad tym, jak obojętnie, a może i bezmyślnie zachowują się ludzie zdani na łaskę i niełaskę motoru, tylko cienką powłoką metalu odgradzeni od śmiertelnej przepaści. Równie dobrze można by się nad tym zastanawiać w warszawskiej taksówce, bo jeśli statystyki nie kłamią, jazda autem jest znacznie bardziej niebezpieczna. Ale przymusowe lądowanie otwiera romantyczne i naprawdę niezwykle perspektywy.

W samolocie istna międzynarodówka: kilku Rosjan, Chińczyk, para Anglików, po dwóch Czechów i Niemców, po jednym Belgu i Polaku. Jak by się to towarzystwo zgrało i zachowywało podczas biwakowania w śniegach, a może i podczas wściekle trudnej wędrówki przez tajgę? Jakie cechy charakterów wylażyłyby na jaw zza towarzyskiej ogłady? Byle defekt motoru może połączyć tych przypadkowo zebranych ludzi w zespół z konieczności zwarty, powikłać ich osobiste losy w węzeł być może dramatyczny i ciekawy. Lecz jeśli rurki i śrubki nie zawiodą — niedoszli bohaterowie odysei rozejdą się w Pekinie każdy w swoją stronę i nigdy się już więcej nie spotkają. Przypadek mógł ich przemienić w przyjaciół lub wrogów. Skoro go zabrakło, wspólna podróż niczego nie zrodziła.

W pewnej chwili daleko w przodzie pokazało się coś, co wyglądało jak nieprzerwany pas białych obłoków, rozciągnięty wprost na ziemi. Odgadłem sens tego widoku, zegarek wskazywał zresztą, że do Irkucka nie może już być daleko. Wołałem się jednak upewnić.

— *Da prawielno.* — Stewardesa uniosła głowę znad książki. - *Eto Angara.*

Nad rzeką samolot skręcił w kierunku, skąd płynęła. Mieliśmy ją teraz wprost pod sobą. Z tej wysokości nie wydawała się zbyt szeroka. Chwilami spomiędzy mlecznych oparów przeglądał jej czarny nurt. Pstrzyły go białe i, jak się zdawało, nieru-

chome plamy. A może naprawdę już zamarzła i mgły się podnoszą z jakichś przybrzeżnych oparzelisk? Oto jej bieg się rozdzielił i dwie żałobne wstęgi opasały ogromną białą wyspę.

Jednakże tutaj, nad wygodną drogą wodną i w pobliżu miasta, lasy są potężnie przetrzebione. Ani porównania z tym, cośmy oglądali godzinę temu.

Podobno nad Irkuckiem zawsze wisi w powietrzu chmura burego dymu. Słońce świeci jednak tak pięknie, że miasto widać wyraźnie. Lasy, które przed chwilą oplakiwałem, przydały się na cel ściśle określony. Pojedyncze, najpewniej murowane, jedno- lub dwupiętrowe gmachy rzadko trafiają w pole widzenia i wyglądają jak wysokie wyspy. Również pozbawiona jednej kopuły cerkiew wydaje się wyniosła. Reszta oglądanych z powietrza domów to niskie drewniaki.

Przed zachodem słońca wybrałem się na samotny spacer ulicami przylegającymi do portu lotniczego i hotelu.

Spojrzenia, jakimi przechodnie obrzucali moją baskijkę oraz żółte półbuty, nie były pozbawione zgorszenia. Opisany strój istotnie nie bardzo pasował do skrzypiącego śniegu, no i do tych dwudziestu ośmiu stopni mrozu. Pocieszałem się jednak, że jeszcze szerzej otwierano oczy na pewną Angielkę, podróżującą tym samym samolotem. Młoda i przystojna dama miała na głowie żółtą chustkę wełnianą, niżej zaś można było zauważyć następujące szczegóły zachodnioeuropejskiej elegancji: lśniący płaszczyk koralowej barwy, wąskie, dość krótkie i rozcięte z boku spodnie z czerwonego welwetu, nylony tudzież czarne zamszówki na wysokich obcasach, z wycięciami na czubkach. Na tle syberyjskich śniegów właścicielka tego wszystkiego wyglądała naprawdę niezwykle.

Od dworca lotniczego w Irkucku ulica wiedzie w dół. Jezdnia jest asfaltowa, po obu bokach chodniki pod młodymi drzewkami. Jednakże profil ulicy zupełnie inny niż u nas. Obrzeżają ją solidne rowy. Po lewej ręce płot odgradzający teren fabryczny, po prawej piętrowe murowańce, malowane na kolor biały i żółty. Jeden z nich to hotel, urządzony wewnątrz bardzo przy-

zwoicie. Numer, któryśmy zajęli ze wspomnianym Belgiem, składał się z gabinetu, wygodnej sypialni i łazienki.

Na załamaniu ulicy kilka trzypiętrowych domów w budowie. Sterczą nad nimi nieruchome w tej chwili dźwigi. Od zakrętu chodniki znikają. Pod płotami wiodą górzyste ścieżki. Po lewej stronie ciągle ów plot fabryczny, po prawej jednopiętrowe ciemne drewniaki, dalej niskie domy mieszkalne z czerwonej cegły, o koszarowym typie. W przecznicach widnieją domy drewniane. Sklepy są tu raczej pozbawione wystaw i właściwie tylko szyldy świadczą o przeznaczeniu parterowych pomieszczeń.

Czerwono-żółte autobusy kursują dość często.

Niedługo spacerowałem po Irkucku. Mrok zapadał, mróz coraz mocniej przenikał jesionkę. W pobliżu dworca grupa niezbyt trzeźwych młodzianów intonowała bojowe pieśni.

Wracając do hotelu, postanowiłem, że odtąd z większym szacunkiem będę się odzywał o Radomiu, Częstochowie oraz o tak zwanej prawobrzeżnej Warszawie, która wprawdzie jest brzydka, ale ma wielkomięjskie zacięcie.

Za to wspomniani przed chwilą młodzieńcy całkiem mi przypomnieli naszych rycerzy z ulicy Targowej.

Dzielnica Irkucka, którą pobieżnie obejrzałem, została wybudowana w 1953 roku.

Wystartowaliśmy równo ze wschodem słońca. Pochyleni ku oknom pasażerowie nie kryli niecierpliwości. Czasi pierwsi podnieśli fałszywy alarm.

- Bajkał! Bajkał! - wołali, wskazując mgły na południowym horyzoncie.

Był to jednak dopiero górny bieg Angary.

Jezioro wygląda z oddali jak olbrzymia, w poprzek linii lotu położona kotlina, gładko wysłana kłębiastymi obłokami. Daleko w głębi, już po drugiej stronie, łańcuch górski podobny do spiętrzonych kredowych okruchów.

Różowe od słońca, zbite wały mgły dosłownie włożą na zalesiony, wyniosły brzeg. Niepodobna określić, gdzie się zaczyna

woda. Długo lecimy nad spiętrzone w banie i kłęby oparem, który jest zupełnie podobny do obłoków nieruchomych w bezwietrzny dzień. Ku północy nie widać żadnej kreski lądu, wszystko się tam rozmazuje w barwy błękitne i mleczne.

Musiał jednak ciągnąć lekki powiew wschodni, bo mniej więcej od połowy jeziora mgły się nagle skończyły. Woda była niebieska i gładka jak cerata. Przeciwległy zaśnieżony brzeg wyglądał, jakby go białym tuszem narysowano na lazurowej karcie.

Wolno przesunęła się dołem równoległa do jeziora droga, tor kolejowy i oto już znowu lasy na górzystym lądzie.

Wkrótce za Bajkałem śnieg w niektórych dolinach i na zboczach ginie pod posepnym rudym i fioletowym nalotem. Obszary leśne zaczynają przybierać kształty zbliżone do trójkątów. Bór się tu trzyma tylko północnych stoków, bo od południa niszczą go suche wiatry z pustyni Gobi.

Gładko ośnieżone góry nagle wyrastają w ostre szczyty, sterzące wyżej niż nasz pułap lotu. Maszyna zdaje się szukać między nimi przejścia, wiraż... klucie w uszach i po chwili stoimy w miejscu, które do złudzenia przypomina ogromną białą niekę o pochyłych bokach i poszczerbionych krawędziach. Przy schodkach samolotu dość wysoki człowiek o bardzo śniadej, pobrużdżonej twarzy i czarnych, szerokich brwiach. Ma ciemny kołpak futrzany, wojłokowe buty i obcisły, siny chałat po kolana, ciasno opięty wąsko skręconym pasem z czerwonej tkaniny.

Odrywam wzrok od nieruchomej postaci obojętnie spoglądającego Azjaty i obracam oczy na budynek zajmujący sam środek kotliny. Jest to dworzec lotniczy wzniesiony w stylu emdeemowsko-maurytańskim.

Ułan Bator, stolica Mongolii Zewnętrznej.

W przeciągu następnych kilku godzin lotu miałem się dokładnie dowiedzieć, nawet zobaczyć, jaką treść zawiera słowo „pustka”. Już i Syberia wydała mi się raczej bezludna, które to spostrzeżenie pozostaje w idealnej harmonii ze statystyką, głoszącą, że w azjatyckiej części ZSRR na jednym kilometrze

kwadratowym mieszka ją trzy osoby. Ale gęstość zaludnienia Mongolii zwięźle się wyraża cyfrą: jeden.

Prosty jak strzełił tor kolejowy z Ułan Bator do Pekinu, przy nim linie i prostokąty trudnych do odgadnięcia urządzeń przedsiębiorczych czy składów i ogromnie rzadko pojedyncze małe domki, samotne w białawej pustyni.

Pokrywa śnieżna nie jest zbyt gruba i kraj się przedstawia jak słabo polukrowana czekolada. Chwilami płaszczyzna się łamie i krajobraz zaczyna przypominać stół do ćwiczeń aplikacyjnych, na którym jakieś olbrzymy nalepiły górki z plasteliny. Tam gdzie się zaczynają wyżarte przez erozję wąwozy, śnieg wygląda, jakby się na nim odcisnęło bezlistne drzewo lub stąpnęła ogromna łapa ptasia.

Z dała od toru pojedyncze osiedla ludzkie. Może są to jurty albo domki wzorowane na ich kształtach, bo baniaste. Samotna kopułka ma rudawą barwę i trudno odróżnić jej zarys od tła okrągłej, brązowej plamy. To na pewno mieszkańcy tak wydeptali śnieg wokół swej siedziby. Promieniście wybiega stamtąd kilka ciemnych ścieżek - istny pająk, płasko rozpięty na białej płachcie bez brzegów.

Wolno płynące godziny zaczynają nużyć. Dołem ciągle suną skąpe odmiany tej samej krajobrazowej martwicy. Towarzysze podróży od dawna drzemią. Już tylko z reporterskiego obowiązku od czasu do czasu spoglądam w okno. I oto nagle coś tam w dole *si*[^] zmieniło. Widok niby ciągle ten sam, ale śnieg formuje się tu jakoś inaczej, gładko przylega do regularnie wydłużonych pasm ziemi. Coraz więcej tej geometrii w pejzażu, już wszystkie zbocza w białawych wąskich prostokątach, pociętych ścieżkami... Koniec pustyni i pustki, jak okiem sięgnąć uprawny kraj!

Wioski jak zwarte czworoboki, szare budynki uszykowane w foremne kwartały przy wielkich placach. Pomału wypływa spod skrzydła pełny, zamknięty kwadrat miasteczka obwiedzonego nieprzerwaną kreską muru obronnego.

Na zamglonym horyzoncie pasmo zębatach szczytów. Kraj już zdecydowanie górzysty, śnieg zniknął, wszystkie doliny

w uprawnych polach, między brązowymi zboczami — od skały do skały — szara, gładka, jak szczotką wyczesana rola!

Poprzeczna żółtawa wstęga, którą początkowo wziąłem za pasmo mgły lub śniegu, jest już blisko. To rzeka Yongding He rozlewająca się zaraz w szerokie jezioro, a może sztuczny zalew, bo widać czarną kreskę zapory.

Ktoś wyszedł z kabiny pilota i puścił w obieg wiadomość, która od razu poderwała na nogi najbardziej nawet obojętnych i zaspanych. Samą krawędzią jednolicie brązowych Gór Zachodnich biegła wąziutka, ciemna wstążeczka — Wielki Mur Chiński.

Nie przypuszczałem, że stolica kraju leży aż tak blisko jego sławnej linii obronnej. Kilkadziesiąt kilometrów niewiele co prawda znaczy dla samolotu.

Uwagę moją przykuł widok podłużnego wzgórza, dźwigającego dwie wysmukłe białe pagody. Zapatrzyłem się na nie i nawet mi do głowy nie przyszło, że w tej samej chwili pod brzuchem schodzącej do lądowania maszyny przesuwa się panorama Letniego Pałacu Cesarskiego.

Po paru dniach miałem go oglądać z bliska. Jednakże ani on, ani inne wspaniałości chińskiej stolicy nie osłabiły wrażenia, jakiego mi dostarczyła podróż z Irkucka do Pekinu.

To chyba nieprawda, że z samolotu widzi się mało i pod fałszywym kątem. Czasami w migawkowym skrócie zobaczyć można historyczny problem.

Ciągle stoją mi w oczach doliny wprost wysłane uprawnymi polami, żółto błyszczące sadzawki i kanały, zwarte osiedla, słowem to wszystko, co tak nagle zastąpiło widok pustki, bezludnych przestrzeni i pojedynczych jurt, rozpiętych na pajęczynie ścieżek. Ostatni etap lotu rozpoczętego znad Wisły pozwolił mi rzucić okiem na kraj, który z wysoka wygląda jak skoncentrowany dziejowy potencjał.

Oto wrażenie, które zdecydowanie zabarwiło pierwsze dni mojej wędrówki po Chinach.

STOLICA
CZERWONA
I SZARA

Dawni podróżnicy sporo napisali o trudnościach wędrówek po tym kraju. Ostatnio wszystko w tym względzie radykalnie się zmieniło, przynajmniej jeśli chodzi o gości z krajów zaprzyjaźnionych z Chinami.

Wiem, że kręcenie nosem, wydziwianie i narzekanie należą w mojej ojczyźnie do prawideł dobrego tonu. Dla spokoju sumienia muszę jednak złamać tę narodową tradycję. Czterdzieści siedem lat i dziesięć dni mego dotychczasowego żywota musiało upłynąć, zanim losy pozwoliły mi się przekonać, w jakich warunkach zwiedza ten padół nędzy taki turysta, któremu nie może zabraknąć pieniędzy.

Oczywiście to nie ja je wydawałem. Pojechałem do Chin na warunkach wynikających z umów o tak zwanej wymianie kulturalnej z zagranicą i byłem na całkowitym utrzymaniu Związku Pisarzy Chińskich. Tak nawet całkowitym, że co rano w pokoju hotelowym zjawiała się na stoliku paczka najlepszych papierosów, a często także piramidka bananów czy mandarynek. Chińczycy przyjeżdżający do nas na tej samej zasadzie mają zapewnioną wzajemność. Ale gdybyśmy nawet na głowie stanęli, to nie zdołamy im zapewnić równych warunków mieszkaniowych, bo takich hoteli jak w Chinach w Polsce po prostu nie ma. Ten, w którym kwaterowałem podczas pobytu w Pekinie, wzniesli i ofiarowali swemu państwu chińscy emigranci. Początkowo uznałem go za luksusowy. Ale kiedy po powrocie z sześciotygo-

dniowej wędrówki ujrzałem go znowu, doszedłem do wniosku, że należy go zaliczyć do bardzo dobrych, lecz znacznie skromniejszych niż inne.

Miły jest ten luksus, ale szczerze mówię, że czasami zaczyna moralnie ciążyć. Jak na mój gust - za duży kontrast między poziomem życia zagranicznego gościa, który w dodatku pobyt w Chinach traktuje czasem jak beztroski odpoczynek, a twardym losem robotnika i chłopa, który to wszystko na karku niesie. Mówiłem tłumaczowi w oczy: „Wy rozpuszczacie i psujecie zagranicznych gości”, więc mam prawo powtórzyć to i w druku.

Dlatego też nie wstydzę się i nie rozpaczam, że nasz warszawski Bristol to prowincjonalna oberża w porównaniu z hotelami w Pekinie, Nankinie, Hangzhou i wielu innych miastach. Wedle stawu powinna być grobla.

Tłumacz czekał na mnie na lotnisku i odtąd nie odstępował ani na krok, z wyjątkiem naturalnie godzin nocy, bo pokoje, przeważnie dwuosobowe, miałem tylko dla siebie. Nieraz usiłowałem go przekonać, że nie ma sensu wozić mnie do ambasady, która się znajduje o kilkaset metrów, przy tej samej ulicy co hotel. Za każdym razem osobiście mnie tam odstawiał i potem wraz z szoferem godzinami czekał w aucie.

Nazywał się Huang Keping. Wzrostu był, jak na europejskie pojęcia, średniego — tak mniej więcej pod metr siedemdziesiąt - barczysty, dość silnie zbudowany, o szerokiej twarzy. Miał dwadzieścia osiem lat. Pochodził spod Nankinu, gdzie jego nieżyjący już ojciec posiadał dawniej mały sklepik. Pracował w Pekinie, w Ministerstwie Oświaty, jako tłumacz. Ubierał się w strój, który od czasu rewolucji stanowi w Chinach niemal mundur i dopiero teraz zaczyna pomału ustępować z placu: jasnogrnatowa marynarka wojskowego kroju zapinana pod szyją, takiejże barwy miękki kaszkiet z daszkiem i długie spodnie. Wszystko bawełniane. Na wierzch watowana kurtka.

Miałem szczęście, że natrafiłem właśnie na niego. Wiele pewnie tracą tacy, co podróżują w towarzystwie człowieka będącego

tylko tłumaczem. Mnie los zetknął z Chińczykiem, który pomimo młodego wieku dużo wiedział o swej ojczyźnie, o jej historii, teraźniejszości i kulturze, znał miasta tak od siebie odległe, jak Szanghaj, Kanton i Chongqing. Podczas podróży zajmował się więc nie tylko przekładaniem tego, co inni mówili, lecz i sam miewał ciekawe rzeczy do powiedzenia. Obserwując jego pracowitość, sumienność i skromność, myślałem sobie, że jeśli większość młodych ludzi w Chinach jest pod tym względem do niego podobna, to kraj może się spodziewać pociechy.

Podczas przyjęć ten ofiarnik prawie nic nie jadł, żeby każdej chwili być gotowym do tłumaczenia!

Zwierzył mi się kiedyś, że udoskonalwszy znajomość rosyjskiego, chce studiować polski.

Znajomość naszej szeleszczącej mowy pomału się w Chinach rozpowszechnia. Poznałem w Pekinie młodą dziewczynę, która biegle mówi po polsku i jeździ po kraju, towarzysząc grupom naszych specjalistów. Studiowała w Warszawie. Zowie się Zhen Yajian¹, co polskie koleżanki z miejsca przerobiły na „Jadzia” i tak już zostało. Dzwoniąc teraz w Pekinie do przyjezdnych Polaków, nigdy nie zaniedbuje prezentacji: „Jadzia przy aparacie”.

Chińczycy, podobnie jak Węgrzy, na pierwszym miejscu piszą nazwisko rodowe, imię zaś na drugim. Nie ma tam patronów i rodzice sami wymyślają, jakie tylko chcą, miana dla swoich potomków. Nie wiem, co o tym rzekną filozofowie i prorocy różnych światopoglądów, ale przypadkiem się dowiedziałem, że imię Tse-tung znaczy dosłownie „Przeinaczyciel Wschodu”. Taki pomysł przyszedł do głowy matce wodza chińskiej rewolucji... lat temu kilkadziesiąt.

Chińczycy miewają czasem trudności z tajemnicami naszej zawilej pisowni i fonetyki. W Szanghaju literat Fu Lai — ojciec Fu Ts'onga, laureata konkursu szopenowskiego — zadał mi raz pytanie w języku francuskim:

¹ W wyd. z 1957 roku: Czen ja-dzień.

— Czy nazwisko polskiego pisarza, który niedawno temu był w Chinach, pisze się tak samo, jak nazwisko waszego wielkiego muzyka: Szymanowski?

- Nie, proszę pana. Na początku trzeba jeszcze dodać „P”
- odrzekłem, nie czując się na siłach do bliższych wywodów na temat różnic, jakie zachodzą między „sz” a „rz”.

Żałuję, ale zapomniałem poprosić Jadzię o szybkie i głośne wymówienie słowa: Szczepreszyn. Tak, i w naszym kraju są niezgorsze złoza egzotyki.

Huang Keping niestrudzenie obwoził mnie autem po Pekinie, pokazywał co ciekawsze rzeczy, a ja ciągle nie mogłem się uporać z uporządkowaniem wrażeń ogólnych. Najłatwiej mi było odcyfrowywać szczegóły. Początkowo dolegał mi widok niskich i szarych murków, godnych przedmieść Klerykowa, ale rychło *pojąłem*, że dom chiński odwraca się do ulicy ryłem. Na tak zwanym u nas froncie może się znajdować najwyżej wystawa sklepowa, no i furka lub brama, ujęta czasem w czerwone kolumienki. Ale nie zaglądniecie tamtędy do wnętrza, bo wzrok zaraz natrafi na poprzeczną ściankę. Trzeba ją obejść i dopiero wtedy się ujrzy wewnętrzne podwórze, czasem ogródek, na który wychodzą okna mieszkań.

Znacznie mi pomógł widok oglądany ze szczytu wspomnianego w przedmowie Wzgórza Węglowego. Patrząc stamtąd, ma się jak na dłoni ogromne założenie urbanistyczne stolicy. Na północy wysoko spiętrzone i podobne do fortecy Wrota Ziemi, spod których wybiega szeroka i zupełnie prosta arteria. Na samej jej osi leży środkowa, najwyżej położona świątynia Węglowego oraz — obracamy się na południe — główna, centralna ulica Zakazanego Miasta. Zaraz za południową bramą dzielnicy cesarskiej owa arteria się odradza i biegnie po tej samej linii. Równie szeroka i prosta, ku końcowemu akordowi na południu
- ku Wrotom Nieba.

Na samym zamglonym horyzoncie ledwie widoczna sylweta podobna do trzech nałożonych na siebie i paszczami w dół

obróconych dzwonów o wywiniętych brzegach. To dach Świątyni Nieba. Gdzieś tam za nią przebiega do dziś zachowany zewnętrzny mur obronny starego Pekinu.

Miasto zajmuje cały widnokrąg. Nic dziwnego — mieszka w nim blisko trzy miliony ludzi. Jest niskie, dotąd jeszcze przeważnie parterowe. Liczne gmachy nowoczesne nie psują harmonii widoku. Na szczęście nie ma wśród nich ani jednego „wysokościowca”.

Wzgórze Węglowe dopomogło mi także w rozwiązaniu jeszcze jednej ważnej kwestii natury ogólnej, zagadki szarej barwy miasta. Bo ustne wyjaśnienia czasem nie wystarczą, trzeba rzecz zobaczyć.

W dole miałem przed sobą całe Zakazane Miasto obwiedzione szeroką, zamazaną już fosą i bardzo potężnym czerwonym murem. Regularny prostokąt wewnątrz krwistej ściany niemal bez reszty wypełniały ogromne dachy pałaców - jedne za drugimi, wielkie, spokojne, chociaż łamane, święcie przestrzegające porządku, który mnie osobiście w niczym nie przypomina ładu dzieła sztuki, lecz raczej martwą symetrię, skamieniały dworski ceremoniał. Wszystkie jak jeden były żółte, błyszczące polewą kunsztownej dachówki. Niżej lśniły na ścianach lazur i złoto, purpura i szmaragd.

Wiedziałem już, że dach Świątyni Nieba — podobny do dzwonów lub do odwróconego kielicha fantastycznego kwiatu — jest fioletowy. Na krawędziach murów pomniejszej rangi widywałem poprzednio kolor zielony. A całe miasto wokół było szare. Powyginane i karbowane dachy nie odróżniały się barwą od grzebnego tonu ścian.

W tym kraju tylko cesarz miał prawo do barwy żółtej. Fiolet i zieleń były dla świątyń. Zwykły śmiertelnik mógł najwyżej umalować na czerwono kolumny przy bramie lub okna domu. To nie tak jak u nas, gdzie Ossoliński czy Radziwiłł stawiał sobie zamek, jakiego król nie miał, a gdańscy mieszczanie urządzali dla monarchy kwatery nad Zieloną Bramą - znacznie skromniejszą od własnego ratusza.

Sądzę, że warto pamiętać o tej prastarej tradycji chińskiej, która kazała pod niebiosy wznosić tych, co panują nad życiem i sprawują władzę, widomie ich wyróżniać nawet od najwielmożniejszych, lecz niżej postawionych. Mnie przynajmniej wiedza o niej nieraz się przydała podczas podróży.

Jednego z pierwszych dni pojechaliśmy z Huangiem obejrzeć grobowce cesarzy z dynastii Ming, która wstąpiła na tron w roku 1368 i panowała do roku 1644. Nazwa jej znaczy po chińsku: Świątynia. Drugi władca z tej rodziny ostatecznie przeniósł stolicę państwa do Pekinu. Zakazane Miasto - wielokrotnie co prawda później przebudowywane - jest w zasadzie, podobnie jak i Świątynia Nieba, dziełem Mingów.

Szczęście sprzyjało mi nieprzerwanie. Panował lekki mróz, powietrze w tym suchym kraju było ostre, ale pogoda cudowna. Granatowa warszawa zachowywała się poprawnie, nie utknęła nawet w potoku przecinającym szosę. Mostu, zerwanego podczas wojny, jeszcze nie odbudowano, czym wcale się nie zgorszyłem, bo droga ma znaczenie tylko turystyczne. Mielśmy przebyć jakieś pięćdziesiąt kilometrów. Już z daleka wyraźnie się pokazało rude pasmo Gór Zachodnich, które w tym miejscu - wbrew swej nazwie - obejmują horyzont z trzech stron jak zębatą podkowę. Tam gdzie krajobraz już całkiem przypomina olbrzymi amfiteatr, u samych podnóży bezleśnych gór, jedna od drugiej z daleka leżą regularne kępy ciemnej zieleni. W środku każdej widnieją czerwone plamy. Są to grobowce trzynastu Mingów. Środkowy i główny, kryjący zwłoki cesarza Yongle - tego właśnie, który uczynił Pekin stolicą - leży w samej głębi, gdzie dolina ostrym językiem wcina się w górską podkowę.

Monarcha budował sobie ten grób od roku 1409 do 1415. Miejsce wybrał dobrze, w centralnym punkcie krajobrazu. Umarł w roku 1424, a następcy jego lokowali swe doczesne szczątki po prawej i po lewej ręce dostojnego przodka, przemieniając olbrzymią dolinę w jedyne w swoim rodzaju mauzoleum.

Cesarze z następnej dynastii - mandzurskiej albo Qing, ostatniej w dziejach Chin — specjalnym rozkazem nakazali czcić grobowce tych, których potomka sami zepchnęli z tronu i zawiedli pod pochyłe drzewo na Wzgórzu Węglowym.

Via sacra wiodąca do głównej mogiły jest długa na całe kilometry. Najpierw brama, którą dzisiejsza szosa omija, dalej trzy poprzeczne budowle o charakterze sakralnym i za nimi aleja potężnych posągów kamiennych, przedstawiających zwierzęta i ludzi.

Mauzoleum to właściwie cały zespół budowli zamkniętych w prostokącie murów. Sposób rozplanowania jest ten sam co we wszystkich zabytkach religijnych i świeckich, a nawet w starych domach mieszkalnych, które oglądałem w Chinach. Można by go nazwać kurtynowym. Sens jego polega chyba na stopniowaniu widoków. Zaraz za wrotami park-dziedziniec, dalej poprzecznie ustawiona świątynia, za nią znowu wewnętrzny ogród i jeszcze hala świątynna - ogromna, wysoka, wsparta na brunatnych kolumnach - i jeszcze raz park porosły dębami oraz sosnami, a potem gmach podobny do wieży z otwartym korytarzem, wiodącym pod górę. I dopiero za nim wielki zadrzewiony kurhan — właściwa mogiła władcy. Zobaczyć ją mógł tylko ten, kto przebył wszystkie stadia wstępne i nie ominął żadnego z przepisów ceremoniału.

To trochę inaczej niż w Krakowie, gdzie ten, co pragnął obejrzeć sarkofag współczesnego pierwszym Mingom Jagiełły, musiał spełnić tylko jeden warunek: zdjąć czapkę na progu katedry.

Trzyście takich grodów-cmentarzy ciągnie się u podnóża bezleśnych gór i organizuje krajobraz bardzo obszernej doliny. Takie są formy hołdów, jakie w tym kraju od tysiącleci oddawano władzy politycznej (którą nie wiem, czy wypada w tych warunkach nazywać władzą świecką). Kiedy w roku 211 przed Chrystusem umarł cesarz Shi Huangdi („Pierwszy Żółty Cesarz”), pochowano go w grobowcu, którego wnętrze przedstawiało całe państwo w miniaturze. Morza, jeziora i rzeki były z rtęci, na sklepieniu płonęły lampy naśladujące gwiazdy. „Nie wypada, aby bezdzietne nałożnice mojego ojca opuściły go te-

raz" — orzekł następca tronu. Razem z monarchą poszły żywcem pod ziemię nie tylko owe kobiety, lecz i tysiące robotników, którzy budowali grobowiec położony w dzisiejszej prowincji Shaanxi. A zanim nastąpił pogrzeb, przez długi czas tajono przed krajem zgon cesarza, głusząc odór gnijącego ciała swądem suszonych ryb.

Nie wiem, czy mam słuszość, ale takie rzeczy jak grobowce Mingów wydawały mi się samym rdzeniem tego, co potocznie nazywamy egzotyką. Nie chodzi mi oczywiście o sam widok, lecz o obyczaje, których jest on wyrazem. Jakże skromne są nasze europejskie sposoby oddawania czci rozmaitym historycznym wielkościom. Przecież sarkofagi królów w naszych kościołach są czymś podrzędnym, wtórnym - i to nie tylko w stosunku do religijnego celu budowli, ale jeszcze bodaj bardziej wobec sztuki rzeźbiarskiej, która je ukształtowała.

Coś mi się zdaje, że Boy, który o bohaterze narodowym, czczonym pomnikami, pisywał: „Włóż gatki, zwycięzco podha-jecki!”, stanowił samą kwintesencję europejskości.

„Proszę zauważyć, że ja nie pochwalam ani nie potępiam, ja tylko opowiadam” — mawiał podobno Talleyrand. Nikomu ową europejskością imponować nie zamierzam, ale nie chciałbym też, aby mnie nawracano na tradycje, które są mi gruntownie obce.

Za jednym zamachem obejrzelśmy tego dnia i Wielki Mur Chiński, który się ciągnie jakieś dwadzieścia kilometrów na północ od cmentarza Mingów. Nie wiem, czy na całej długości muru - wynoszącej około dwóch i pół tysiąca kilometrów - wszystko wygląda jak tam, gdzie byłem. W każdym razie sam mogłem ogarnąć okiem nieprzerwane pasmo ściany, biegnące grzbietami pustynnych gór na przestrzeni dziesiątków mil chyba. Było szare, przeważnie zębate. W regularnych, mniej więcej półkilometrowych odstępach wyrastały z niego baszty obronne o kształtach graniastosłupów. Górna powierzchnia muru przypominała gładką jezdnię, z obu stron obrzeżoną dość wysokim, równym lub zębatym krawężnikiem. 2 powodzeniem mogłyby się tam wyminąć dwa samochody, co jednak nigdy nie nastąpi,

bo na stromiznach powierzchnia ta przechodzi w schody. Mur dokładnie odtwarza przecież pochyłości górskie. Nie wziąłem tego pod uwagę i do pierwszej baszty doszedłem z sercem w gardle, z trudem tłumiąc sapanie. Do następnej, położonej znacznie wyżej, zmierzałem już w tempie roztropniejszym, do czego skłaniało i oblodzenie pochylni. W tej wyżynnej stronie powietrze ciążyło jak brzytwa i zaciągał silny wiatr.

Ku północy miało się widok bardzo rozległy i tylko lekka mgła trochę przeszkadzała patrzeć. O kilka kilometrów rozpoznać się dawały na niższych wzgórzach jakieś zrujnowane umocnienia. A jeszcze dalej - równoległe między murem i horyzontem - żółtawo świeciła w słońcu rzeka Yongding He, która w tym kunsztownym systemie fortyfikacyjnym stanowiła pierwszą przeszkodę dla nadciągających od północy napastników. Strażnicy, nieustannie czuwający na wieżach, z daleka mogli rozpoznać ruchy wroga i określić, który odcinek muru winien się spodziewać natarcia. W nocy placówki sygnalizować mogły za pomocą ognia.

Huang Keping mało się odzywał. W ogóle cechuje go znaczna powściągliwość i rzadka cnota dyskretnego udzielania wyjaśnień, ale tego dnia był jakoś szczególnie milczący. Kiedyśmy odpoczywali we wnętrzu zrujnowanej wieży, krótko opowiedział mi prastarą legendę swego kraju.

Mur wznosili chłopię sprowadzeni pod przymusem na całe życie. Gdzieś daleko, na samym południu Chin, cesarscy łapacze porwali z wesela pana młodego i wysłali go na tę budowę. Oblubienica została sama. Po wielu latach, już jako staruszka, ruszyła pieszo na północ, chcąc jeszcze przed śmiercią zobaczyć męża. Doszła na miejsce wkrótce po jego zgonie i mur runął, podmyty jej łzami.

Huang skończył opowiadanie i jakoś obaj jednocześnie popatrzyliśmy na nieprzerwane pasmo kamiennej ściany.

Obliczono, że z materiału zużytego na tę fortyfikację można by wzdłuż całego równika ustawić mur szeroki na półtora i wysoki na cztery metry.

Jedzie się w to miejsce dobrą szosą, gdzieniegdzie wciętą w kamienne zbocza dosyć emocjonującymi serpentynami, wymijając karawany srogo obładowanych osiołków. Pyski zwierzaków ujęte są w kagańce ze sznurka, a to dla ochrony drzew, których w tych stronach rozpaczliwie mało. Dnem doliny płynie przejrzysty potok i biegnie tor kolejowy.

-Jest to pierwsza kolej żelazna wybudowana przez Chińczyka, jeszcze za Qingów — oznajmił mi Huang z naciskiem, jakby pragnął szczególnie dobrze utwierdzić w moim mózgu tę wiadomość.

Nazwisko inżyniera konstruktora, z czią powtarzane w całych Chinach, brzmi: Zhan Tianyou. Był to - jak świadczą fotografie, które oglądałem w jego rodzinnym Kantonie - tęgawy pan o szerokiej, rozumnej twarzy. Nosił długi surdut zupełnie podobny do tego, w jakim widywałem swego dziadka.

Wielokrotnie pisano, że ostatnia monarchini Chin, Cixi, wydała na budowę Letniego Pałacu pieniądze przeznaczone na flotę wojenną. Jeden z Polaków, przebywający wraz ze mną w Pekinie, wcale się nie zgorszył tym faktem.

— No to i cóż, że wydała - mówił. - Przynajmniej pałac jest, a flotę i tak by Japończycy na pewno zatopili.

Logika tego rozumowania wydała mi się nieodparta. Ale wkrótce się dowiedziałem, że owa suma wystarczyłaby na zbudowanie linii kolejowej długości czterech tysięcy kilometrów. To trudniej przeboleć niż flotę wojenną.

Do Letniego Pałacu wiedzie brama o pięciu przęsłach. Środkowe, najwyższe i najwspanialsze, było tylko dla cesarza, dwa sąsiednie - dla dostojników, ze skrajnych korzystała ówczesna służba bezpieczeństwa oraz eunuchowie. Nie wiedziałem o tym i doprawdy nie mogę sobie przypomnieć, którędy wkroczyłem. Oto skutki braku informacji o krajach zaprzyjaźnionych!

Pałac jest bardzo świetny, ale ptawdziwych zabytków w nim niewiele, bo jego dzisiejsze wspaniałości datują się przeważnie z roku 1901, co stanowi niezaprzeczalną zasługę Europy. W ro-

ku 1860 spustoszyli rezydencję Anglicy i Francuzi, a w roku 1900 połączona armia ośmiu mocarstw kolonialnych - w tej liczbie również Japończycy i Amerykanie — dowiedziona przez niemieckiego generała von Waldersee. Dokonano tego tak gruntownie, że tylko jeden pawilon zachował nienaruszone wnętrze, ten mianowicie, w którym wszystko było z miedzi.

Za najpiękniejszy z zabytków, jakie oglądałem w Chinach, uważam pekińską Świątynię Nieba z jej cudownymi okrągłymi budowlami, otwartym ołtarzem z białego marmuru i majestatyczną Drogą Duchów, którą samotny cesarz kroczył na modły. Ale najgłębiej mnie poruszyła i najczęściej dała do myślenia Biała Dagoba wznosząca się na śródmiejskim wzgórzu Beihai, całkiem niedaleko od Zakazanego Miasta i Wzgórza Węglowego. Położona w bezpośrednim sąsiedztwie niezbyt przeważnie wysokich, często całkiem małych chińskich świątyń i pałacyków o świetnych barwach, odcina się od nich zarówno potęgą kształtu, jak i surową jednolitą białością swych okrągłych ścian. Wysooko nad miastem góruje walcowata, u dołu zwężona, a w górze gruszkowato wydęta wieża, zakończona wąskim, spiczastym i wyniosłym stożkiem. U jej gigantycznej sześciennej podstawy maleńka świątynka, która nawet w Chinach może uchodzić za niezwykle kolorową. Dach jej podwójny, prostokątny i wyżej kolisty, ściany całe pokryte kaflami z wizerunkami Buddy.

Wzgórze Beihai jest sztuczną wyspą na nie mniej sztucznym tak zwanym Morzu Północnym, czyli ogromnym stawie. Tutaj się znajduje historyczne źródło politycznej roli Pekinu, gdyż w tym miejscu już w XII wieku cesarze miesiali swe rezydencje. W roku 1651 na tym właśnie wzgórzu, uświetnionym polityczną tradycją, stała Biała Dagoba wzniesiona w stylu tybetańskim. W uroczyste święta buddyjskie płonęły wokół niej obrzędowe pochodnie i lama odczytywał księgi kanoniczne.

Wszystko to wynikało z mądrej rachuby politycznej. Biała Dagoba zbudowana w samym sercu Chin cesarskich, tuż nad główną rezydencją dworu, miała przychylnie usposobić i zjed-

nać dla państwa ludność dalekiego Tybetu. Widocznie ówczesni chińscy monarchowie tylko w dworskim ceremoniale cenili sztywność i martwość, ale myśleli giętko i wnikliwie. Rozciągnęli nad Tybetem protektorat, zbrojnie zajęli Lhasę, ale się ustrzegli pychy zwycięzców i zdobyli nawet na nie lada dowód rozumu i tolerancji. Zastarzale pojęcia o Chinach jako o kraju, który gardzi wszystkim, co obce, i zasklepia się w ksenofobii, nie były słuszne i wywodziły się z okresów upadku pekińskiej monarchii. W roku 1692 cesarz Kangxi wydał dekret tolerancyjny, w którym napisał między innymi:

Ludzie Zachodu zaprowadzili ład w obliczaniu kalendarza, w czasie wojny reperowali stare armaty i odlewali nowe, i w ten sposób pracując dla Cesarstwa, wiele zadali sobie trudu. A ponieważ religia katolicka nie zawiera również nic, co byłoby złe lub niemoralne, jej wyznawcy powinni mieć zapewnioną możliwość swobodnego jej praktykowania.

Kiedy teraz czytam o teorii „stu kwiatów”, która stała się tak głośna w roku 1957, ciągle sobie przypominam Białą Dagobę oraz polityczną tradycję, którą ona symbolizuje.

W zakamarkach Zakazanego Miasta natrafiłem na widok, który mi dobrze utkwiał w pamięci. Było to jedno z tych szczęśliwych zdarzeń, które po prostu pozwalają zobaczyć skrót historii.

Jeden z pałacowych pawilonów mieścił wystawę darów posłów europejskich ze schyłkowego okresu cesarstwa. Były to wyłącznie zegary. Setki ich kilku szeregami zajmowały całą długą ścianę. Stały na schodkowym postumencie i trzeba było aż dwóch przewodniczek dla ich obsługi. Nie rozumiałem objaśnień, patrzyłem tylko, jak zaczynają kolejno „tryskać” szklane fontanny, ptaszki bić skrzydełkami, wirować rozmaite tandetne cudeńka, jak się musztrują pruscy grenadierzy i niedźwiedzie przestępują z nogi na nogę. Najuczciwiej wyglądały chronometry najstarsze, pochodzące chyba jeszcze z XVIII wieku i podobne do poczciwych pozytywek. Ale najświeższą datą, jaką odcyfrowałem, był rok 1908.

Tak wyglądają cuda techniki, które wzbudzały zachwyt władców państwa o prastarej cywilizacji. Chińskie kroniki z III wieku przed naszą erą mówią o używaniu kompasu, a w stuleciu następnym znano tam już sejsmografy!

Zakazane Miasto jest dziś jednym wielkim muzeum. Słusznie postąpił jego zarząd, urządzając ową stałą wystawę zegarów. Trudno lepiej pokazać dno upadku.

Pierwszego dnia po przyjeździe Huang zawiózł mnie do tak zwanej Dzielnicy Ośmiu Instytutów, wybudowanej po oswobodzeniu, czyli po roku 1949- Wyraziłem chęć obejrzenia Instytutu Geologii. Życzenie moje spełniono i jednego z dni następnych wyruszyliśmy tam autem.

W dzisiejszym Pekinie nie tak łatwo znaleźć drogę. Instytut był tuż, doskonale widoczny, ale my utknęliśmy w zaułku między rusztowaniami, które dość znacznie się różnią od naszych i bardzo gęsto oplatają wznoszony gmach. Jedyne wyjście stamtąd stanowiła wąska kładka nad rowem, wiodąca w kierunku sąsiedniej budowy. Przyszło mozolnie zawracać.

Historia Instytutu - czyli wyższej uczelni geologicznej - jest krótka: rozpoczęła się w roku 1952. W chwili kiedy go zwiedzałem, Instytut miał dwadzieścia trzy katedry i siedemdziesiąt pięć laboratoriów. Wykładowców było ogółem pięciuset siedemnastu - w tym dwudziestu dziewięciu profesorów - studentów pięć tysięcy. W państwie są jeszcze dwa inne instytuty geologiczne, wydziały uniwersyteckie oraz około dziesięciu trzyletnich specjalistycznych szkół średnich.

Gościnnie pokazano mi zbiory, ale niewiele zrozumiałem, chociaż przy każdej z tysięcy próbek w gablotach widniała jej łacińska nazwa. Przy stolikach pod oknami młodzi ludzie odprawiali naukowe ceremonie nad barwnymi bryłkami.

W kilka tygodni później, podróżując statkiem po Jangcy--ciangu, spotkałem pewnego rosyjskiego geologa, który wracał z wyprawy do Chin zachodnich. Aż pogwizdywał z przejęcia, wspominając nieprzebrane bogactwa naturalne tego kraju. Wy-

mieniał złoża azbestu o nieprawdopodobnej grubości. Twierdził, że dawniej ograniczano się do wyszukiwania drogocennych kamieni i że wszystkie skarby ziemi chińskiej są właściwie nienaruszone.

W pekińskim Instytucie stale pracuje siedmiu radzieckich specjalistów. Osiemdziesiąt procent czynnych tam sił naukowych to ludzie młodzi.

Profesor, który mi udzielał informacji, wcale się nie rozpyływał w zachwytach nad osiągnięciami i nie twierdził, że już wszystko jest dobrze. Zapytał mnie nawet, czy nie mam jakichkolwiek wniosków zmierzających do ulepszenia istniejącego stanu rzeczy. Pytanie to zadawano mi zresztą niemal wszędzie, gdziekolwiek tylko w Chinach zajrzałem, i wkrótce przestałem je uważać za zdawkową grzeczność. Doszedłem do wniosku, że ci ludzie nie gardzą żadną okazją do wyciągnięcia korzyści dla swego kraju: kto wie — a nuż nawet taki laik coś ciekawego zauważy i chociażby w drobiazgu dobrze poradzi...

W Instytucie Geologii po raz pierwszy się zetknąłem z charakterystyczną metodą obecnych Chin, którą można określić słowami: gdzie kto pracuje, tam mieszka. Od ulicy szeregiem stały gmachy wykładowe, za nimi laboratoria. Dalej leżały obszerne boiska, które aż się kłębiły od ćwiczącej młodzieży. Było późne popołudnie i przyszła pora gimnastyki. W samej głębi terenu jedna przy drugiej widniały studenckie bursy. Były dwupiętrowe, szare, wybudowane bardzo oszczędnie. Te, do której zajrzeliśmy, zamieszkiwały studentki. Izby i dość mroczne korytarze były puste, lokatorki wyprawiały na boisku zdrowotne łamańce. Pokoje tu pięcioosobowe. Dwie pary piętrowych łóżek, piąte stoi samotnie pod ścianą. Dwa zestawione stoliki, nad nimi lampa elektryczna, szafa w ścianie, i to już wszystko. Na każdym piętrze umywalnia połączona z pralnią.

Bursy istnieją przy wszystkich wyższych uczelniach i muszą w nich kwaterować nawet ci studenci, którzy pochodzą z danego miasta i mają w nim rodziny. Takież gmachy stoją przy

fabrykach i innych zakładach pracy. Gdzie kto pracuje, tam mieszka... Może to i mądra zasada, ale jakoś niezbyt pasująca do miłych polskiemu sercu tradycji sobiepaństwa. Od powietrza, głodu, ognia i wojny oraz od bursy dla nadwiślańskich literatów zachowaj nas, Panie!

Zapadał zmrok, ale na boiskach ciągle wrzało. Nie mogę inaczej określić widoku tysięcy wymachujących ramion, postaci migających na trapezach i gimnastycznych materacach nieustannie otrzeptywanych miotłkami. Podane w przód słupy do koszykówki stanowiły jedyny nieruchomy składnik pejzażu, tylko one nie skakały i nie przewracały koziołków.

Samochód czekał na ulicy. Po lewej ręce widniały gmachy Instytutu Górniczego, na wprost wszystkimi oknami świeciła olbrzymia, niezmiernie wszczepiona fasada Instytutu Stali. Skręcając ku śródmieściu, mineliśmy błękitne jarzeniowe lampy Instytutu Muzycznego.

O zegary europejskich ambasadorów, jakżeście już daleko!

SZCZEGÓLIKI...
DETALE...

Jak już pisałem, przez długi czas nie mogłem sobie poradzić z wrażeniem ogólnym i ująć go w słowa. Objawienie przyszło nagle, wprost z ziemi.

Jechaliśmy podmiejską szosą. Tereny wokół były puste, nic na nich nie rosło, i płaskie jak stół. Widać było, że je niedawno zniwelowano. Opodal drogi zauważyłem nagle rzecz dziwną: wyniosły a wąski graniastosłup żółtej gliny z kamiennym słupkiem na szczycie.

- Co to jest? Dlaczego to tak zostawiono?

- To stara mogiła.

O paręset metrów niewielkie, lecz strome zbocze mrowiło się ludźmi. Jedni dziabali motyczkami, inni napelniali ukopaną ziemią koszyki przywiązane do nosideł. Dwa sznury tragarzy przecinały pole. Obciążeni ludzie szli szybkim, drobnym kroczkiem. Jeszcze parę dni takiej pracy, a pagórek zniknie — pomyślałem i w tej samej chwili odgadłem, czemu tak mi trudno określić wrażenie, jakie wywiera Pekin. Po prostu dlatego, że jest to miasto gwałtownie zmieniające wygląd.

Z terenów podmiejskich jakby płatami skórę zdarto, tu i ówdzie zostawiając wyspy starzyzny. Oto typowe wiejskie obejście obwiedzione czworobocznym murkiem, zza którego wystaje jedynie dach domku i bezlistna korona drzewa. Ale w sąsiednim z muru zostały tylko szczątki i można zobaczyć cały fronton chałupki, zazdrośnie dawniej strzeżony przed okiem przechodnia.

Okna się ciągną pasem, misternie w krętą siatkę powycinana ich krata jest zalepiona białym papierem. Gdzie indziej przy nowej asfaltowej jezdni nienaruszony, zwarty szereg wiejskich domków. Czarna ciżba przy jadłodajni pod gołym niebem, obok mnóstwo słomy, kobiety ubrane w błękitne waciaki i czarne spodnie wyplatają z niej maty. Na szosie sznury dwukółek zaprzężonych w małe koniki. Z przodu każdego z wózków upięta płachta, której drugi brzeg przymocowany do upręży trafia rumakowi pod ogon. Cenny nawóz spada w tę pułapkę, nie marnuje się i nie paskudzi jezdni. Niektóre wehikuły poprzedza mały osiołek uwiązany na dwu długich sznurach. Jak mi mówiono, rola jego polega raczej na oddziaływaniu moralnym, ma zachęcić konia do wzmożonego wysiłku.

I tuż zaraz istne sześciiany drewnianej siatki rusztowań, zza których nie widać prawie wznoszonych murów. Linie przewodów elektrycznych kreślą pola.

Z takiego podmiejskiego chaosu kilka lat temu wyrosła Dzielnica Ośmiu Instytutów. Kiedy dziś myślę o Pekinie, ciągle mi się wydaje, że jedynymi punktami, które się tam na pewno oprą metamorfozom, są tereny najważniejszych zabytków. No i te liczne nowoczesne gmachy, które już wybudowano.

W dzielniccy handlowej są jeszcze zaułki, które samochód zdaje się wypełniać od ściany do ściany. Zawracając na skrzyżowaniu, zahamowaliśmy ruch na całej jezdni. Bez krzyku i wy-myślań kierowcy rowerowych rikszy czekali, aż nasz szofer zakończy mozolne manewry w ciasnocie. A główne, niedawno poszerzone magistrale Pekinu urządzone są w osobliwy sposób. Środkiem biegnie tor tramwajowy. Po każdej jego stronie jezdnia się dzieli na trzy pasy: wewnętrzny, przyległy do torowiska, dla maszyn osobowych, środkowy dla ciężarówek i ten przy chodnikach - dla rowerzystów.

Na skrzyżowaniach okrągłe drewniane postumenty, podobne do bębnow, z deseczek malowanych na biało i czarno, na nich milicjanci w futrzanych czapach i granatowych mundurach. Nad

nimi jeszcze latarnie sygnalizacji świetlnej. Milicjant, który kieruje ruchem, ma na rękawach białe pokrowce aż po ramiona, co go trochę upodabnia do piekarza. Biało-czerwona pałeczka porusza się w jego dłoniach uroczyście, sztywno.

Na szczęście żaden taki drogowskaz nie kierował moją wędrówką po Chinach.

Po powrocie przeczytałem reportaż Jerzego Lovella w „Życiu Literackim” (nr 263) i znalazłem bardzo wymowny urywek:

- Co byście chcieli oglądać, Juriju Stanisławowiczu? Dokąd pójdziemy?
 - Powalęsać by się tak wśród ludzi, po mieście, podpatrzeć trochę tych - wiecie - szczegółików, detali...
 - Kombinat ważniejszy. Od tego musicie zacząć. Kombinat Rustaweli — tam stal robią, to trzeba zobaczyć!
- Tak było w Tytlisie, podobnie wszędzie indziej...

Całkiem inaczej było w Pekinie i wszędzie indziej.

Nie twierdzę, że mogłem dotrzeć, gdzie tylko dusza zapragnie. Zdaje się nawet, że turyści przybywający na krótko jeżdżą tu ciągle po tych samych szlakach. Troska gospodarzy, „abym o kamień nie uraził nogi” lub się nie wpakował w najłżejsze niebezpieczeństwo, była aż przesadna, o czym jeszcze opowiem. Ale nikt mi nie narzucał programu zwiedzania. Moje prośby - także te najważniejsze, dotyczące wyprawy nad morze oraz przejażdżki statkiem po Jangcy - spełniono, nie zważając na kłopot i koszty. Nie proponowano mi nawet zwiedzania zakładów ciężkiego przemysłu, wychodząc pewnie ze słusznego założenia, że takie rzeczy trzeba pokazywać inżynierom, którzy się na nich znają, literat zaś gdzie indziej więcej skorzysta.

Pojechałem do Chin w warunkach idealnych, to znaczy samotnie. W ten sam sposób - tylko w towarzystwie tłumacza - włączyłem się po kraju. Bo dwóch cudzoziemców może już uchodzić za oficjalną delegację i wtedy podobno całkiem inna melodia.

Raz tylko uczestniczyłem w czymś, co po części nosiło cha-raktet urzędowej recepcji. Był to obiad w Klubie Międzynarod-

dowym. Związek Pisarzy Chińskich godnie reprezentowali: opanowany, sprawiający wrażenie wytrawnego polityka Xiao San, znający Warszawę jeszcze z roku 1950, kiedy bawił u nas na Kongresie Pokoju, potężny i zamaszty poeta Ai Qing oraz dramaturg Chen Baichen, który w początkach listopada wybrał się do Polski, ale doleciał tylko do Moskwy, bo nasz zjazd literatów został odwołany. Pytał mnie teraz o jego termin, ale nie potrafiłem udzielić odpowiedzi. Skądże mogłem wiedzieć, że w dalekiej Warszawie roztrząsanie sumienia Putramenta trwa w tej samej chwili, kiedy my tu przy okrągłym stole spełniamy czynność poniekąd symboliczną, czyli łakomie pochłaniamy pletwy rekina?

Kraje rasy białej, *vel* długonosej, reprezentowali wraz ze mną: jeden Albańczyk, jeden Węgier oraz para południowych Amerykanów. Pani była pełna werwy, ruchliwa i wymowna - pan wyglądał na znużonego życiem. Każde z jego rzadkich przemówień nieodmiennie się zaczynało od słów: „*Mafemme dit, que...*”.

Oto wjeżdża na środek stołu sprzęt zupełnie taki sam, jak te, które dziś rano podziwiałem w ulicznej restauracji niedaleko dworca. Jest blaszany, podobny do samowara. W otwartym zbiorniku okalającym słupkowaty grzejnik wre brunatny płyn, w którym się prażą dopiero co włożone cieniutkie płatki mięsa, ryb, oprócz tego jarzyny i bo ja wiem, co jeszcze. Pałeczki, którymi jemy, są z kości słoniowej. W tamtej jadłodajni używano drewnianych, barwionych na czerwono.

Nie wiem, niestety, w jaki sposób je się w innym „zakładzie zbiorowego wyżywienia”, który zauważyłem również tego samego dnia. Było jeszcze wcześniej i wewnątrz dopiero ścierano kury. W niedużej izbie o drzwiach wiodących prosto na chodnik stało kilka okrągłych, prymitywnych stołów. Były białe. Środek każdego zajmował kocioł wpuszczony w powierzchnię i stożkowato zwężający się ku dołowi. Huang Keping wyjaśnił mi, że jest to restauracja przeznaczona dla muzułmanów, przestrzegających rytualnych przepisów. Goście sami szykują tam sobie jedzenie.

Wkrótce potem spotkałem człowieka, na którego widok szeroko wytrzeszczyłem oczy. Był średniego wzrostu, śniady, szczupły i brodaty. Miał na sobie niebieską, dość długą szubę o szerokich rękawach i czarną, okrągłą, rozszerzoną ku górze czapę futrzaną. Brzegi jej wysoko wystawały ponad wklęsłe czerwone denko, obszyte frędzlą. Spod kołpaka wybiegał czarny jak smoła warkocz, którego koniec zasunięty był pod żółty pas ze skróconej tkaniny... i wystawał stamtąd jeszcze na dobrych dziesięć centymetrów.

- To człowiek z naszych mniejszości narodowych - powiedział tłumacz tonem rzeczowej informacji.

Oprócz mnie jednego nikt za tą malowniczą postacią specjalnie się nie oglądał. Niczyjej sensacji nie budził też widok połci mięsa, zawieszonych na hakach przed sklepami w charakterze wystawy, ani przekupniów jarzyn i owoców, tłumnie okupujących ulicę. W zaułkach chodniki wąziutkie, jakby na jednego człowieka przeznaczone, ale nikt z nich nie korzysta — cały ruch, zarówno pieszy, jak kołowy, odbywa się na jezdni. Zamiatanie trwa bez przerwy, a że mróz do reszty wysuszył ziemię, więc powietrze gęste od kurzu. Na twarzach wielu przechodniów czworokątne, białe maseczki, podobne do tych, jakich u nas używa się w szpitalach.

Pierwszą z nich zauważyłem przez okno samolotu, zaraz po wylądowaniu. Przy torowisku cztery postacie stały w szeregu, niczym na zbiórce: oficer straży granicznej, dwoje funkcjonariuszy cywilnych i sanitariusz z torbą i w masce. No, ten nam da! -pomyślałem. — On nas na pewno będzie odkażać, żebyśmy jakiej europejskiej dżumy nie zawlekli, i dlatego sam jest w masce.

Próżne to były trwogi. Sanitariusz nie żywił żadnych złych zamiarów, a przy lądowaniu asystował na wszelki wypadek.

Wielu ludzi w całych Chinach - nawet w położonym na zwrotniku Kantonie — nosi w zimie maski. Maszeruje kolumna żołnierzy - dowódca i dobra połowa porządnie na zielono umundurowanych wojowników ma na obliczach białe plastry. Widocznie

pod tym względem regulamin nie zawiera żadnych przepisów (nie tylko zresztą pod tym jednym: na południu widywałem oficerów z parasolami, co prawda wyłącznie z zielonymi). Milicjanci na służbie też chodzą w maskach.

Zabezpieczają one nie tylko przed kurzem, lecz może jeszcze bardziej przed chłodem powietrza. Pod samym Kantonem widziałem na polu pracującego wieśniaka. Był boso, podkasany aż po biodra. Miał niezmiernie szeroki, płaski kapelusz ze słomy i pelerynę z kokosowego włókna, strzępiastą jak skóra jeżozwie-rza, a na twarzy maskę. Kurz mu nie groził, bo lało jak z cebra i na półku ryżowym widać było przede wszystkim wodę.

Chińczycy potrafią pracować bardzo ciężko, lecz jednocześnie sprawiają wrażenie ludzi o subtelnej konstytucji fizycznej. Podziwiałem ich dłonie, przy których łapy Europejczyków wyglądają jak bochny. Ścisnąłem prawice chłopów i rybaków — były spracowane, ale najczęściej szczupłe, o długich palcach i wyrazistych stawach, niewielkie, przeważnie dobrze utrzymane i w porównaniu z naszymi słabo umięśnione. Są to, chciałoby się nieraz rzec, dłonie urodzonych artystów. Wielu szoferów, kierowców wind, nawet wioślarzy używa białych włóczkowych rękawiczek.

Widocznie tylko takie ręce potrafią wykonywać to, co za dostępny grosz można nabyć w pekińskiej Cepeli, która się znajduje tuż przy największym pekińskim cedecie.

Stoi w tej chwili przede mną zdjęta z półki malutka rzeźba w glinie. Jest to łódeczka długości pięciu centymetrów. Wszystkie szczegóły postaci rybaka ubranego w biały kapelusz, wiklinowej budki, koszy na ryby, sprzętów i wiosel widać dokładnie. Artysta wykonał je palcami, posługując się tylko zaostrzonym drewnikiem. W Kantonie widziałem na wystawie jeszcze lepszy wyczyn: rzeźbę stateczku służącego do połowu ryb z pomocą pelikanów. Białe, paromilimetrowej długości ptaki mrowiły się po ciemnym dnie łodzi. Okaz, który kupilem, kosztuje niedużo więcej niż paczka dobrych papierosów. Figurka oracza -wraz z sochą i bawołem - jest znacznie tańsza. Po paru dniach

wspólnych wędrówek Huang Keping już wiedział, że zawsze będę mu wdzięczny za zaprowadzenie do sklepów z dziełami sztuki ludowej i do antykwaratów. Toteż wyszukiwał je pilnie.

Krótko przed wyjazdem czytałem gdzieś, że chiński kupiec nie wypuści cudzoziemca ze sklepu, nie wycisnąwszy mu ostatniego grosza z kabzy. Dziwne, ale ja niczego takiego nie zauważyłem. Obserwowałem za to dużą powściągliwość i grzeczność połączoną z poczuciem godności własnej.

Sklepy - z wyjątkiem domów towarowych - przeważnie, antykwaraty zaś z reguły, bywają tu małe. Wchodzi się do salki, czasami wąskiej jak korytarzyk, innym razem kwadratowej, połączonej z drugą izdebką. Na długich stołach i oszklonych półkach połysk starych porcelan, spatynowane powierzchnie metalu i drewna. Kupiec uprzejmie zapali światło, udzieli objaśnień, ale nie będzie niczego do rąk wpychał i nie zrobi obrażonej miny, kiedy wyjdę, niczego nie kupiwszy.

Bo przeważnie tak się kończyło. Nawet niekoniecznie ze względu na cenę. Najczęściej dlatego, że wystawione na sprzedaż przedmioty są za stare. Prawo zabrania wywozu z Chin czegokolwiek, co liczy więcej niż osiemdziesiąt lat. Mógłbym niejedno nabyć - pamiętam stare malowidła z epoki Ming, kosztujące dziesięć czy dwadzieścia juanów* - nikt mnie nie upominał i nie kontrolował. Ale...

W pewnym małym sklepiku obok świątyni zaproponowano ' mi - całkiem oficjalnie - kupno metalowego zwierciadła z epoki Tang. Było okrągłe, na odwrocie cudownie rzeźbione w do-środkowe kręgi i miało tysiąc kilkaset lat. Sprzedawca żądał dziesięciu juanów.

Są jednak w pekińskich antykwaratach rzeczy, dzięki którym można ozdobić mieszkanie dziełami prastarej sztuki chińskiej. Od dawien dawna istniały w świątyniach kamienne płaskorzeźby,

* Chińska jednostka monetarna juan dzieli się na 10 mao; 1 mao dzieli się na 10 fenów.

przedstawiające bóstwa i ludzi, zwierzęta prawdziwe i legendarne, pracę, walki, zabawy. Na specjalnym białym papierze - techniką podobną jak przy drzeworytach - sporządza się z nich odbitki. Nie są to więc kopie ani mechaniczne reprodukcje, w każdym z tych wizerunków jest autentyzm, prawdziwa mowa dzieła sztuki. Najstarsze z tych, które widziałem, odtwarzają rzeźby z czasów dynastii Han, a więc mogące mieć ponad dwa tysiące lat.

Najdroższa z tych odbitek kosztuje juana.

Jest również w Pekinie sklep sprzedający reprodukcje obrazów malarzy współczesnych, lecz przestrzegających starodawnych reguł. Są to przeważnie dzieła wartościowe i pełne uroku, ale nie o nich chcę mówić.

W pierwszej sali cała gablota ścienna zawiera wyłącznie tandetę, wzorowaną na najgorszych przykładach europejskich. To samo można od razu zauważyć w sklepach, na straganach ulicznych, w kioskach. Okropne oleodruki, portrety wybitnych osobistości, figurynki wściekle barwione. Wszystko to w bezpośrednim nieraz sąsiedztwie dzieł prawdziwej sztuki, starej lub współczesnej ludowej.

Mało znam widoków równie żałosnych, jak cukierkowaty portret męża stanu wiszący w izdebce, gdzie stoją krzesła z bambusa, których twórca znakomicie umiał wyzyskać naturalną podatność materiału i ze zwykłego stołka uczynił rzecz piękną.

Dzieje tak się potoczyły, że Chińczycy jeszcze przez pewien czas muszą w niektórych dziedzinach uczyć się od Europejczyków. Niestety, razem z techniką wciskają się i pojęcia o „sztuce” osobliwego autoramentu. Trzeba bezstronnie przyznać, że i wschodni, i zachodni Europejczycy psują Chińczykom gust, jak tylko mogą, stwarzając popyt na szmirę. W Kantonie specjalnie obserwowałem, co przynoszą z miasta mieszkańcy wielkiego hotelu. Idzie taki gentleman w białej koszuli nylonowej i pyszni się nabytkiem w postaci koszyczka, na którym wyobrażony jest kotek z piłeczką albo piesek nad miseczką. I to wszystko w tym samym Kantonie, który zawałony jest matami i ko-

szukami ze słomy ryżowej tak ładnymi, że oczy mogą wyskoczyć z zachwytu.

29 listopada otwarto w Pekinie wystawę prac Jerzego Panka i Jana Zamoyskiego. Personel naszej ambasady stawił się licznie, od razu przybył też tłum chińskich artystów i studentów. Obaj artyści zakończyli właśnie podróż odbyłą pod przewodnictwem Jadzi. Owocem wędrowki były drzeworyty i szkice zajmujące ściany trzech sal. Oglądałem je z podwójną przyjemnością. Wcale nie twierdzę, że Chińczycy powinni się uczyć od Polaków. Nie zaszkodzi jednak ciągle udowodniać, że prawdziwa współczesna sztuka europejska to coś więcej niż lizusowskie portrety „wodzów” albo pejzaże, na których czarną farbą wyobrażone są również jaskółki „szybujące” nad ziemią wśród „złotopszenicznych” łąk.

Pobyt w stolicy wyzyskałem też dla sprawdzenia, czy i o ile zagraża nam sławetne „żółte niebezpieczeństwo” i wynarodowienie przez Chińczyków. W tym celu pojechałem odwiedzić Jerzego Lobmana, stałego przedstawiciela „Trybuny Ludu” w Pekinie. Rezultaty kontroli wypadły zastanawiające.

Twarz ta sama, włosy nie poczerniały, są nadal jasne. Ale strój! Czarna watowana kurteczka ze stojącym kołnierzykiem, czarne spodnie i czarne, miękkie pantofle na białych podeszwach. Jerzy Lobman gada i pisze po chińsku jak mandaryn wysokiego stopnia. Zaadoptował parę chińskich dzieci. Mieszka w domkach, które zajmowała ongi nałożnica pośledniejszego księcia z dynastii mandżurskiej. Czerwono obramione okna obu pawiloników wychodzą na uroczy wewnętrzny ogródek, gdzie na drzewku wisi klatka z ptaszkami. Mandżurska konkubina przenosiła się z jednego do drugiego, w zależności od tego, jak słońce grzało, bo innych metod ocieplania nie było. A więc w zimie do południowego, w lecie na odwrót.

Przejawy polsko-chińskiej symbiozy bywają nieoczekiwane. Naczelnym architektem Pekinu, pan Hoa, jest - po matce — pół-Polakiem. Małżonka jego to stuprocentowa Polka, córka emigran-

ta politycznego z Francji. A więc dzieci ich, będące całkowitymi Chińczykami, mają siedemdziesiąt pięć procent „krwi polskiej”.

1 grudnia kończył się mój pobyt w Pekinie. Miałem tu jeszcze powrócić przed odlotem do kraju, ale już na krótko.

Zamiast marnować ostatni dzień na kręcenie się po mieście, o którego dokładnym zwiedzeniu trudno było nawet marzyć, ruszyliśmy na wyprawę do miejscowości Zhoukoudian. Kilkadziesiąt lat temu odnaleziono tam doczesne szczątki naszego wielce czcigodnego przodka, „pracłowieka pekińskiego”, który urzędowo zwie się po łacinie: *Sinanthropus pekinensis*. Wraz z licznymi towarzyszami płci obojga mieszkał on niezbyt daleko od dzisiejszego Pekinu, o kilkadziesiąt kilometrów zaledwie, w jaskiniach i rozpadlinach Góry Smoczych Kości.

Po drodze trzeba przebyć dwie rzeki. Pierwsza to nieraz już wspomniana Yongding He, co znaczy po chińsku: Rzeka Wiecznie Spokojna. Druga — Dashi He, czyli Wielka Rzeka.

Dziwnie tu jakoś z tymi nazwami. Yongding He niedawno groźnie rozlała, a Dashi He wygląd ma wąły.

Nad pierwszą z nich leży miasteczko Wanping. Są tu stare fortyfikacje, kolumny czy słupy, a nade wszystko długi most kamienny, którego poręczę obsiadło nieskończone mnóstwo kamiennych lewków. Każdy z nich - a widnieją tu ich setki chyba - inaczej patrzy i wykrzywia paszczę. Poręczę, jak przy wielu innych mostach chińskich, nie są ażurowe, stanowią niskie ściany kamienne. Stojąc pośrodku, nie widzi się rzeki, słyszy tylko, jak szumi jej bystry prąd. Zakończenia poręczy to figury rzeźbionych słoni, podpierających je czołami.

Europejczycy nazywają ten zabytek Mostem Marca Polo.

Wieczorem 7 lipca 1937 roku, pod pozorem poszukiwania rzekomego przestępcy, Japończycy zażądali wpuszczenia ich wojska do Wanping. Kiedy im odmówiono, zbrojnie uderzyli na most, po czym pociągnęli na Pekin odległy o dwanaście kilometrów. Tak się na Dalekim Wschodzie rozpoczęła wojna zakończona w roku 1945.

Bardzo się zdziwiłem, kiedy nasyciwszy oczy widokiem, wsiedliśmy do auta, ruszyli z miejsca i niemal natychmiast trafili na drugi most. Był o wiele mniej wspaniały i przecinał drugie koryto tej samej rzeki, o tej porze roku prawie całkiem suche.

Szosa znakomita, asfaltowa, ale most na Dashi He starożytny—w sensie konstrukcji. Dość niski, drewniany i zupełnie pozbawiony poręczy, wspina się nad rzeką łagodnym łukiem. Na samym wierzchołku nastąpiło nieoczekiwane spotkanie z karawaną dwukółek ciągniętych przez małe koniki. Kierowca zatrzymał, wysiadł i wdał się z woźnicami w spokojny dyskurs. Nie rozumiałem słów, ale z gestów jasno wynikało, że rozpatrywaną kwestię trzeba zaliczyć do bardzo istotnych, a mianowicie: czy przy wymijaniu auto lub wozy zlecą z mostu do szumiącej w dole wody. Rosły wieśniak w futrzanej czapie nie żywił po temu żadnych wątpliwości i gestami obu dłoni obrazował, jaki będzie przebieg katastrofy.

Odruchowo sprawdzając okiem wysokość, no i głębokość, zauważyłem, że pod prąd rzeki poziomo odbiegają od mostu potężne liny stalowe. Zakończenia ich przytwierdzone były do wielkiej, wypełnionej kamieniami klatki z belek dobrze wbitych w grunt wysepki. Łatwo odgadłem, co znaczy to urządzenie. Zastanawiałem się tylko, na jak długo w razie dużej powodzi wystarczy ta oryginalna kotwica.

Argumenty woźniców przekonały szofera, który spokojnie, nie denerwując się i nie klnąc, wsiadł do maszyny i wykonał to, co najlepiej wyraża zwięzły zwrot rosyjski; *Dawaj na zad!*

Szose tę oddano do użytku w roku 1956 - gdzieś widać jeszcze opuszczone odcinki dawnej drogi bitej. Zabrakło czasu na postawienie mostu.

A jednak nazwa Dashi He - Wielka Rzeka - nie jest pozbawiona sensu. Wody wprawdzie mało, wątki nurt ciecze między szerokimi łąkami piachu i otoczków, ale... zauważyłem później jeszcze dwa suche w tej chwili koryta. Suche w grudniu... Najwyższy stan wody bywa w Chinach wiosną i latem.

Yongding He również płynie łożyskiem, które w zimie wygląda jakby na wyrost. Ale między wodą a odległymi drzewami na wyższym brzegu nie rośnie nic. Widać tam tylko piasek i kamienie.

Pogodny ranek i gładki szum maszyny trochę mnie ukołysały. Przeznałem się i przez chwilę mrugałem oczami, nie wierząc w rzeczywistość widoku.

Równina. Za leciutką opalową mgiełką majaczą krawędzie gór. Lecz tu bliżej, może o parę kilometrów na prawo, płasko przywarta do ziemi rozległa osada obwiedziona nienaruszonym, szarym murem obronnym! W jasnym świetle słońca twardo się rysują łuki bram i linie narożnych bastionów, nad którymi, jakby zawieszone w powietrzu, widnieją przejrzyste wieżyczki o kształtach wysmukłych altan. W głębi bardzo ostry stożek wysokiego wzgórza z białą świątynką na szczycie.

- Co to? - krzyknąłem, odrobinę, jak mi się zdaje, za głośno.

- Powiatowe miasteczko Fuan Shen. -Ja

chcę tam jechać!

Huang rozpoczął rozmowę z kierowcą. Mignęła droga skracająca na prawo.

- Dobrze, ale może zrobimy to w drodze powrotnej. Przejechaliśmy zakręt.

Już więcej nie drzemałem.

Tu, na prowincji, o wiele mniej owych mundurowych prawie ubrań. Brzegiem gładkiej, nowoczesnej szosy idzie mężczyzna w czarnej szacie do kostek. Jest wyrudziała, trochę połatana, u dołu szeroka. Przez rozcięcia umieszczone z boku widać czarne spodnie, w dole wąskie, jakby obwiązane wokół nogi. Pantofle czarne o wysokich brzegach i białych podeszwach. Na głowie grzy-biasta czapeczka, przypominająca gładko odcięte denko kapelusza. Inny człowiek nosi podobny chałat, ale opięty w biodrach, jakby wszyto tam szeroki pas. Poły tak skrojonego i - jak mówi Huang — o wiele wygodniejszego ubrania rozwiewają się szeroko.

Kobiety noszą krótkie waciaki bardzo podobne do kurtek, spodnie długie, czarne, także obcisłe w kostce.

Siodła jucznych osiołków mają po obu bokach coś w rodzaju drabinek. Można na tym jechać zarówno „po męsku”, jak i „po damsku”, albo przytroczyć tam ciężary. Na przykład dwa ogromne snopy rudej trawy czy słomy, spod których widać tylko szyję i łeb kłapoucha.

Lewą stroną szosy ciągnie nam na spotkanie rodzinna kawalkada. Ojciec rodu idzie pieszo, kobieta siedzi okrakiem na rozważnie krocącym ośle. Na przednim łęku siodła barwny kłębu-szek z czarniawym łebkiem — dziecko. W chwili kiedy ich mijamy, dostrzegam, że z tyłu - oburącz się trzymając matczynej poły — jedzie jeszcze jeden nieco większy bachorek. Cała przestrzeń życiowa na oślim grzbiecie zagęszczona jak najdokładniej!

Z dala od miasta nie obowiązuje widać upinanie koniom płacht pod ogony. A może takie urządzenie przeszkadza w dłuższej podróży, obciera skórę zwierzęcia? W każdym razie płachty zwisają przyczepione do uprzęży z boku. Po szosie snują się za to ludzie zbierający nawóz. Każdy z nich ma lekkie drewniane widły o zagiętych zębach. Nie schylając się, podnosi nimi końskie jabłka i zręcznym ruchem przerzuca je przez lewe ramię do kosza umieszczonego na plecach. Zajmują się tym starcy i dzieci.

Jeden z takich malców, spojrzawszy w kierunku naszego auta, szybko trącił w bok kolegę, widłami służącymi do wyżej opisanego celu wskazał moją osobę i obaj wybuchnęli dźwięcznym, rozbajającym śmiechem.

Góry już blisko. Szosa celuje prosto na ich stoki, stromo w tym miejscu ścięte i świecące pastelowymi barwami. Dymią tam piece rozległych wapienników. Zakręt w prawo i tuż przed przecinającym torem kolejowym jeszcze jedno spotkanie: długi rząd wolno sunących wielbłądów. Monotonnie i głucho brzęczą ich dzwonki.

W dolinę, dnem której prowadzi linia kolejowa, wychodzi dość szeroki wąwóz. Góra Smoczycy Kości to niezbyt wysoki, ale skalisty cypel jego zbocza. Nasz czcigodny praszczur mądrze sobie obrał miejsce zakwaterowania. Wyniosłość jest znakomicie

nasłoneczniona, nawet w grudniu i przy kilku stopniach mrozu silnie tu przygrzewa. W dolinie płynie potoczek.

Skały na Górze Smoczycy Kości są przeważnie szare, gładkie, chociaż nie brak i jaśniejszych, nawet białawych fragmentów. W czasach mi nieznanych, w każdym razie na pewno historycznych, wyłamywano tu kamień, o czym świadczą wyraźne w pionowych ścianach ślady kucia. Ile przy tej okazji poniszczono bezcennych szczątków? Na szczycie tej wyniosłości istnieć kiedyś musiało warowne pewnie osiedle. Wśród krzaków znać jeszcze pozostałości murów, a na krawędzi wąwozu resztki tarasów, na których leżały chyba ogrody, może uprawne pólka.

Przeciwniegle zbocze wąwozu odległe jest w linii powietrznej co najmniej o kilometr, rude, bezleśne i jałowe. Pnie się tam jakimiś krawędziami ścieżka wiodąca do ruin na cyplu. A jeszcze dalej, w zagłębieniu pod najwyższymi szczytami, widać dwie czworoboczne baszty oraz białą arkadę bramy świątyni obwiedzionej murem.

Świątynia, resztki osiedla i kamieniołomu to pamiątki po przeszłości na pewno całkiem świeżej w porównaniu z setkami tysięcy lat, jakie upłynęły od czasu, kiedy bytował tu *Sinanthropus pekinensis*. Mieszkał w do dziś zachowanych jaskiniach, gdzie w warstwach skalnego rumowiska odnaleziono jego szczątki oraz kości dawno zaginionych zwierząt. Jedne z tych pieczar są obszerne, inne mają wejścia ciasne, dość wysoko czerniejące w szarych skałach. W samym środku masywu leży kolistą zapadlina o ścianach pionowych, wysokich na przeszło trzydzieści metrów. Tutaj, schodząc warstwami w dół, odnaleziono najcenniejsze rzeczy.

Do wszystkich stanowisk wiodą wygodne dróżki. Nad urwiskami żelazne bariery ochronne. Wszędzie tablice z objaśnieniami—w języku niestety wyłącznie chińskim — a nawet z ostrzegawczymi napisami: „Ostrożnie!”.

Cały teren jest znakomicie uporządkowany, może nawet zanadto, jak na mój gust. Od obszerne go placu dla samochodów idą szerokie betonowe schody. Gmach przeznaczony dla odpoczynku turystów może w swej sali pomieścić paręset osób.

Stoją tam miękkie meble i szerokie stoły z zastawami do herbaty. Toaleta ma bieżącą wodę. Już i przy Wielkim Murze Chińskim zauważyłem dbałość o wygodę turystów — w małym schronisku też były miękkie meble - ale tutaj to już prawie luksus.

W samej głębi stoi niewielki gmach mieszczący wystawę. Po raz pierwszy zauważyłem wtedy, że Chińczycy są mistrzami w ich urządzaniu.

Ta na Górze Smoczych Kości nie jest duża. Poszczególne salki obiegają wewnątrz gmachu po linii elipsoidalnej. Przegląd zaczyna się od szczątków pracownika, kończy na gablotach mieszczących zrekonstruowane szkielety zwierząt kopalnych. Nad poszczególnymi przedmiotami szkła powiększające i lusterka pozwalające lepiej zrozumieć na przykład, które części szkieletu „przedpotopowej” żaby są prawdziwe, które zaś dorobione.

W samym środku wystawowego ciągu największe arcydzieło. Jest to duża czerwona tablica, jakby ekran, na którym umieszczono wykopane tu szczątki ryb sprzed pięciu milionów lat. Brakujące części uzupełniono, ale tak, że od razu po nieco odmiennej barwie można odróżnić autentyczny od rekonstrukcji.

Najcenniejszych szczątków pracownika pekińskiego nie ma, niestety. Podczas wojny Amerykanie wywieźli je za ocean.

Szofer dotrzymał słowa i skręcił na drogę wiodącą do Fuan Shen. Wnętrze auta od razu wypełnił kurz, który akurat tak pachniał, jakbyśmy byli nie w Chinach, lecz pod Sandomierzem. Nie pamiętam wyglądu nielicznych domków przedmiejskich, jak sroka w kość patrzyłem na pochyłą, szarą ścianę kamiennego muru. Mignął mi cień bramy i nareszcie miałem pełne oczy tego, za czym się częstokroć bezskutecznie rozglądałem w Pekinie.

Uliczka była wąska i zupełnie prosta. Jezdnia z ubitej gliny miała powierzchnię lekko wklęsłą, przypominała spłaszczoną rynną. Nieduże domki stały zwartymi, nieprzerwanymi ścianami, a przed frontem każdego wysuwało się w przód podsienie czy szeroki ganek z dachem płaskim, spadzistym, opartym na kolumnach lub graniastych słupkach barwionych na czarno. A pod

daszkami i wprost na ziemi stragany, kosze, rozesłane płachty. Na nich warzywa, jakieś bulwy, ryż, kolorowe sztuki materiałów.

I wszędzie tłum - czarny, niebieski, pstry od łat zszarganego przyodziewku, mrowiący się, ruchliwy. Jedyna istota żywa a nieruchoma to był bury osioł ze stulonymi uszami i ugiętą zadnią nogą, drzemiący pod daszkiem.

W wolno sunącym aucie ściemniało. Dziesiątki czarnookich twarzy zasłoniło szyby. Przez ramię kierowcy widziałem, że z głębi uliczki płynie ku nam ciemna ciżba.

Oślupiałem zupełnie. Nie zdecydowałem się nawet na prośbę o zatrzymanie maszyny. Zdawało mi się, że auto zakorkuje ulicę. Nie wiem zresztą, o czym myślałem. Do mózgu docierało tylko to, co chłonęły oczy. Skreśliśmy w prawo. Ta ulica była szersza, pusta, wysadzona wielkimi drzewami. Jezdnię miała także wklęsłą. Po obu stronach widniały ślepe i szare mury parterowych domostw. Do bram wiodły pochyłe dojazdy i schody, a między nimi wznosiły się płaskie obmurowane podwyższenia, podobne do tarasów.

Znowu brama, a za nią błękitnawy oświetlony zachodzącym słońcem świat, który mi się nagle wydał bezbrzeżnie szeroki. Stanęliśmy i tłum dzieciaków otoczył nas od razu.

Wzdłuż muru biegła polna droga, podobna do wąwoziku wyłobionego w żółtej glince. Dzięki temu ściana obwarowania wydawała się jeszcze wyższa. Trzeba było zadzierać głowę, chcąc widzieć jej zębatą krawędź. U podnóża muru, a tam dalej nawet w połowie jego wysokości, poruszali się jacyś ludzie. O paręset kroków droga nikła pod zwałami kamienia. Ruszyliśmy z Huan-giem w tamtą stronę.

Nie przesadzam — naprawdę serce mi się ścisnęło i stanąłem jak wryty. Ci ludzie rozwalali mur!

Zamach stalowego łomu i cios w samo spojenie między szarymi prostokątami kamieni. Uderzenie nie zostawiło ani śladu. Drugi cios, trzeci... czarna rysa równo obramiła głaz... ostrze łomu wniknęło w szczelinę. Głucho szczękając, granitowy blok leci w wąwozik drogi, na kupę wcześniej zwalonych. A tam

w dole dźwięczą oprawne w drewno długie dłuta pobijane młotami i leżą stopy tłuczni. Będzie materiał na szosy.

Robotnicy pracujący w połowie wysokości muru stali na czymś, co przypominało ścieżki i wykusze, a było po prostu górną powierzchnią nienaruszonych jeszcze bloków. Wszyscy jak jeden przerwali pracę, przyglądając mi się ciekawie.

Wolno doszedłem do narożnego bastionu. Stała na nim drewniana wieżyczka. Nie chciało się wierzyć, że ta lekka, ażurowa altanka także stanowiła część warownego umocnienia. Wyglądała ubożuchno, szara, ze zniszczonymi daszkami, jakby zliniała na słotach i wietrze.

Na wielkich przestrzeniach mur był już obdarty z kamienia. Zamiast szarej ściany widniała teraz żółta.

System budowy był tu taki, że najpierw wzniesiono wał gliny, który potem odziano płaszczem z kamienia polnego i zewnętrzną okładziną z potężnych sześcianów granitu.

Żółte jądro umocnienia jeszcze zachowuje kształty bastionów i furtek. Ale niedługo to potrwa. Deszcze łatwo sobie poradzą z gliną.

—Przecież ten mur może pamiętać nawet Mingów - mówię do Huanga głosem, który mnie samemu wydał się żalobny.

—O, nie jest wykluczone, że jeszcze dawniejsze czasy — odpowiada zupełnie spokojnie.

Już wcześniej mówiono mi w Pekinie, że Chińczycy, którzy bardzo dbają o najważniejsze zabytki, dla innych mają twarde serce. „Tyle ich jest u nas” - mówią podobno.

A ja im wróżę, że jeszcze tego pożałują! Przyjdzie czas, że mieszkańcy Fuan Shen się zawstydzą — całkiem podobnie jak dziś w Polsce wstydzą się mieszkańcy Krakowa, którzy odpowiedzialność za zburzenie fortyfikacji miejskich usiłują przerzucić na Austriaków i skrętnie tają, że Radwański — zbawca Bramy Floriańskiej i Barbakanu - był z pochodzenia wilnianinem.

Długo stałem na wzgórku przy drodze i patrzyłem na ginący mur. Przypominały mi się nagie, kamienne urwiska Gór

Zachodnich. Tam też by łatwo znaleźć tłuczeń na szosy. Ano cóż, ci, którzy u nas zniszczyli kamienice Nysy - łaknąc „odzysku cegły” — nie są widać samotni na świecie.

Już miałem odchodzić, kiedy rzuciwszy okiem na przedmiejski ogródek, dojrzałem tam przedziwne urządzenie. Była to studnia. Składała się z drewnianego poziomego walca podpartego w punkcie ciężkości skrzyżowanymi drągiem i drabinką. Oś walca wchodziła w dziurę w granitowej płycie, pionowo wbitej w ziemię. Z drugiego końca była korba zrobiona z zagiętej gałęzi. Wyślizgane dłońmi i sznurem drewno lśniło jak szkło. Niegłęboka studnia o okrągłym przekroju była wyłożona kamiennymi płytkami. Z nich także była rynienka wiodąca ku poprzecznym grządkom małego ogródka warzywnego.

Za sąsiednim płotem coś monotonicznie i cicho turkotało. Szary osiołek z zawiązanymi oczami obracał tam kamienne żarna. Obok drugi, również z płachtą na łbie, chodził w kółko uwiązany do osi kamiennego walca, który ugniatał mąkę rozsypaną po podstawie przypominającej położone na płask koło młyńskie.

Wszystko wyglądało tak samo pewnie jak za Mingów albo może nawet jak za mongolskiej dynastii Yuan. Tylko poganiająca osły dziewczynka miała na stopach gumowe trampki, całkiem takie same jak u nas.

Wieczorem długo trawiłem wrażenia. Nazajutrz trzeba było wcześniej ruszać na lotnisko, ale jakoś mi nie było do snu.

Przez okna pokoju położonego na piątym piętrze widać było wewnętrzny ogród hotelu, obrzeżony starodawnym, zębatym murem miejskim.

Udała się wyprawa! Sporo zobaczyłem! A przecież początkowo pełen byłem złych przeczuć, bo w miasteczku Wanping przeszła mi drogę kobieta z dwoma pustymi wiadrami.

Daremnie się trwożyłem, nie było złej wróżby. Owa niewiasta była przecież w spodniach.

NA
POŁUDNIE!

Nazajutrz znowu się zetknąłem z tajnikami magii. Wystartowaliśmy zaraz po świcie i ledwie maszyna się wzniosła ponad warstwę porannej mgiełki, poczułem za uchem swędzenie. Okazało się, że buszuje tam pająk należący do jakiejś nigdy nieoglądanej odmiany. Był niewielki, ale mocno brzuchaty, miękki i jaskrawo zielony. Niedobrze, pająk od samego rana, i to w samolocie! Doświadczenie dnia poprzedniego nie poszło jednak w las i zacząłem trzeźwo badać sytuację. Wiadomo, przysłowie czy wróżba — *matin... chagrin...* — pochodzi z Francji. W Chinach jest wczesny ranek, więc w Paryżu dochodzi chyba północ: *soir bon espoir* — a zatem w porządku.

W odróżnieniu od europejskich, chińskie samoloty malowane są na kolor ciemnozielony. Ostro zarysowany kontur skrzydła znaczonego białymi hieroglifami, które wyglądają jak fantastyczny ornament, przez pewien czas stanowił jedyny zdecydowany składnik widoku, bo ziemię zaścielały jeszcze opałowe mgły.

Urządzenie wnętrza niczym się zasadniczo nie różni od samolotów w Rosji i w Polsce. Obsługa całkowicie chińska. Tutejsi piloci słyną z ostrożności i starania. Pod tym względem przypominają kierowców samochodów. Chiński szofer nie rozmawia i nie pali podczas jazdy. Ja przynajmniej nigdy czegoś takiego nie zauważyłem, a przebyłem tu rozmaitymi autami grube setki, jeśli nie tysiące kilometrów. Trudno mi nawet wyobrazić sobie nietrzeźwego Chińczyka za kierownicą.

Mieszane, azjatycko-europejskie zaludnienie samolotu rychło zapadło w pokrzepiającą drzemkę. Nie chciało mi się budzić tłumacza i pytać go o nazwę wielkiej rzeki, nad którą przelecieliśmy. Miała barwę kakao. Na lewym brzegu pod kątem prostym dotykało jej dziwne urządzenie wodne koloru śniedzi. Ogromne rozlewisko kształtem przypominało lej, ale o brzegach łamiących się w odcinki zupełnie proste.

Była to Huang He, czyli Rzeka Żółta. Nie oglądałem jej z bliska, ale wiadomo z lektury, że niesie ona niezmierne masy lessowego mułu, który ciągle podwyższa jej dno. A że ludzie od dawien dawna grodzą brzegi tamami, więc rzeka miejscami płynie jakby rynną położoną wyżej niż otaczająca równina.

Duże jezioro Weishan Hu z wysoka wydało mi się płytkie. Nawet z dala od brzegów powierzchnię wody kreśliły ciemne a cienkie linie, układające się w zarysy kół i szerokich lejków. Huang Keping twierdził, że wszystko to są urządzenia służące do ułatwiania rybołówstwa lub do nawadniania okolicznych pól. Czegóż to tutaj ludzie nie wyrabiają z tą wodą, cenioną jak skarb!

Wylądowaliśmy w mieście Siuczou¹ na półgodzinny postój. Jednak te sześćset kilometrów odległości od Pekinu to już jest coś. Początkowo mniemałem, że w Siuczou panuje wiosna. Po grun-towniejszym namyśle doszedłem jednak do wniosku, że pogoda przypomina raczej tak zwaną złotą polską jesień. Drzewa nie potraciły jeszcze liści. Baskijkę wsadziłem do kieszeni zarzuconej na ramiona jesionki, szalikiem wymachiwałem do taktu kroków. Jakiś Hiszpan czy może Meksykanin, podobny trochę do amanta filmowego, a trochę do sutenera, zaczął ściągać sweter.

Do Nankinu mieliśmy jeszcze kilkaset kilometrów. Samolot odrobinę skrzył na wschód i słońce przestało mnie razić w oczy.

Z pobłażaniem wspominałem dzień przylotu do Chin. Kraj graniczący z Mongolią i pustynią wydał mi się wtedy gęsto

¹ Zapewne Xuzhou (Suczou).

zamieszkały... Mój Boże! Przecież tam było istne bezludzie w porównaniu z tym, co teraz widzę. Pola tutaj tak są gładkie i wypracowane, że wyglądają, jakby je wymyto gąbką. Ciemne plamy i plamki, rozsiane po całym widnokregu niczym u nas laski i krzaczki, to są osiedla ludzkie. Staram się nie pochylać ku oknu, a jednak w prostokącie niewielkiej szyby widzę ich ciągle od dwunastu do piętnastu.

Zbliżamy się do dolnego biegu Jangcy. Średnia gęstość zaludnienia wyraża się liczbą czterystu pięćdziesięciu mieszkańców na jednym kilometrze kwadratowym, ale miejscami się zdarza ośmiuset, a nawet tysiąc.

Im dalej na południe, tym więcej w dole matowych połysków. Szklą się lusterka wody - trójkątne, czworoboczne, podobne do rogalików i do wszelkich form, jakie tylko zna geometria. Brzegi każdego dokładnie obrysowuje ciemna kreseczka między. To pólka ryżowe. I coraz częściej między nimi widać wydłużone prostokąty świeżej zieleni — łany warzywne.

Jangcy ukazuje się z daleka, podobna do smugi jasnych chmur, rozciągniętej poniżej horyzontu. Woda tej rzeki, nie wiadomo czemu zwanej Błękitną, jest zupełnie żółta. Na ogromnej, całkowicie uprawnej wyspie, którą okalają jej ramiona, mogłoby się chyba zmieścić całe miasto.

Nankin widać po lewej ręce. Wygląda jak niski i płaski, a bardzo wielki czworobok szczelnie zamknięty ramą murów. Później się dowiedziałem, że długość ich przekracza trzydzieści pięć kilometrów. Tysiące jasnych plamek pstrzących ten szary i gruby placek to zwrócone ku słońcu szczyty domów.

Na przedmieściach Nankinu poczułem się, jakbym trafił do innego kraju, w całkiem odmienną strefę klimatyczną. Wczoraj jeszcze, po drodze do Góry Smoczych Kości, oglądałem ludzi ubranych szczelnie od brody do pięt i z futrzanymi czapami na głowach, a teraz patrzę na gołe łydki i słomiane podeszwy uwiązane do bosych stóp. Przechodnie ubrani lekko, przeważnie do figury. Nad rzeką schnie sieć podrywka rozmiarów podłogi

sporej izby mieszkalnej. Jakaś kobieta pierze, stojąc po kolana w wodzie.

Tego dnia - 2 grudnia 1956 roku - termometr wskazywał piętnaście stopni ciepła. Cóż za państwo, co za kraj! Przecież Nankin - którego nazwa znaczy Stolica Południa - leży dopiero w Chinach Wschodnich, do Kantonu jeszcze przeszło tysiąc kilometrów w linii prostej. A stamtąd do wyspy Hainan na Morzu Południowochińskim jeszcze kilkaset.

Za czasów Kuomintangu Nankin był stolicą. Znać to po strojach mieszkańców. O wiele więcej tu europejskich ubrań i krótko podciętych, zaondulowanych włosów kobiecych. Brak jednak śladów tego rozmachu budownictwa, którego pełno teraz w Pekinie. Postęp za Czang Kaj-szeka dotyczył widać naskórka, ale nie docierał do kośćca kraju. Odniosłem wrażenie, że przy szerokich i długich ulicach Nankinu jest jeszcze dużo miejsca i wiele pola do pracy dla urbanistów i architektów.

Po drodze do hotelu minęliśmy kilka bram tryumfalnych śmiałym łukiem przerzuconych nad jezdnią. Były drewniane, o ścianach pokrytych niezwiędłą jeszcze zielenią. Wzniesiono je we wrześnie na cześć prezydenta Indonezji Sukarno, którego - o ile się zdołałem dobrze zorientować - Chińczycy darzą znaczną sympatią.

Była niedziela, ale zaraz po obiedzie ruszyliśmy zwiedzać sklepy, które w Chinach i w święta są otwarte - przez dwanaście godzin na dobę. Zaopatrzenie ich niczym się nie różniło od stolicy. W wielkim domu towarowym kupić można wszystko, poczynając od butów i bielizny, kończąc na instrumentach muzycznych. Jednego tylko towaru w Pekinie zdaje się być więcej niż w innych miastach Chin — luksusowych futer, których ceny sięgają ogromnej sumy tysiąca kilkuset juanów. To nie znaczy, że na prowincji ich brak. Są, owszem, ale w ostatnich gatunkach.

W dziale spożywczym egzotykę reprezentowały rozwieszone po ścianach skóry rekinów młotów oraz setki kaczek „po nankińsku”, których mnóstwo ozdabia także mniejsze sklepy i uliczne

stragany. Wyglądają jak ptasie fladry. Są po prostu oskubane z piór, rozcięte i tak spreparowane, że skrzydła, nogi i zagięta na kark szyja leżą na jednej płaszczyźnie. Kaczka „po nankińsku” zalicza się w Chinach do wyszukanych dań.

Niżej na ladach stały dziesiątki talerzyków z mikroskopijnymi kęskami potraw. Za parę groszy można tu sprawdzić smak jada, które chce się kupić. Obok ktoś w białej kurtce prażył w wielkiej misie orzeszki czy małe bulwki.

Na chodnikach, zwłaszcza koło kin, dymią blaszane piecyki ulicznych jadłodajni. W koszach jarzyny, ciastka, słodycze o wygładzie lepkich kulek. Ludzie się o to wszystko ocierają, prawie zamiatają połamami.

Przy głównej ulicy nigdy dotąd nieogładana nowość: sklep z towarem wyłącznie dla kobiet. Jest wielki, kilka bardzo starannie urządzonych wystaw wabi kolorami.

— Ale mężczyźni też mogą tam wchodzić - uśmiecha się jeden z towarzyszy.

Istotnie, jest ich pełno i kupują, wykazując solidne znanstwo rzeczy. Ja natomiast jestem w gorszym położeniu. Strasznie mi się podoba kurteczka ze złocistego jedwabiu w zawyły wzór. Kosztuje sporo - czyli mniej więcej tyle, ile wynosi miesięczna pensja początkującego nauczyciela (całkowite męskie ubranie z bawełny kosztuje siedemnaście juanów, trzewiki na futrze — około dwudziestu). Najgorsze jednak, że to trzeba pasować na miarę, a wątpię, czy jaki majster w Polsce potrafi dobrze przerobić zapięcie. Od stojącego kołnierzyka skacze ono gdzieś na obojczyk, potem wędruje pod pachę i dalej w dół. System ten sprawia między innymi, że Chinka chcąc nakarmić dziecko podnosi połą rozpiętej kurtki i wszystko się odbywa w sposób bardziej dyskretny niż u nas.

Słońce już zachodziło, kiedyśmy się wybrali do starej dzielnicy miasta. Od razu mi się przypomniały wczorajsze widoki miasteczka Fuan Shen, tylko znacznie powiększone. Samochód sunął zupełnie wolno, dzieląc na dwoje istną rzekę ludzką. Stanęliśmy

na placyku, za którym płynęła jakaś woda zupełnie niewidoczna, bo ją zasłaniała jednolita kamienna bariera. Na prawo widniały kolumny i kapliczki o spiczastych, bardzo w górę podwiniętych rogach dachów. Dawniej była tu świątynia konfucjańska, której pawilony i podwórka, położone na różnych poziomach, stanowią teraz miejsce zabaw ludowych. Metamorfoza nie od razu się dokonała. Poprzednio, to znaczy przed rokiem 1949, eks-świątynia wraz z całą przyległą dzielnicą były siedliskiem najgorszych mętów miejskich, szulerów, złodziei i prostytutek.

Parterowe pawilony stoją w różnych kierunkach. Między nimi brukowane płaskimi płytami dziedzińce, rozmaite zakamarki i przejścia. W jednym miejscu można wypróbować na siło-mierzu moc ramienia, tam dalej zagrać w szachy lub bilard. W ciasnej budce drewnianej umieścił swój warsztat fabrykant i w jednej osobie sprzedawca dwustrunnych skrzypiec. Zapewnia, że w dwie godziny nauczy każdego grać. Dodaje jednak, że będą to dopiero podstawy kunsztu, gdyż na osiągnięcie doskonałości trzeba więcej czasu.

Przez chwilę się namyślał, ale ostatecznie rezygnuję. Nie chciałbym rozczarować uprzejmego majstra i skłonić nankińczy-ków do zbyt pochopnych wniosków co do muzycznej tępoty narodu, który tu bądź co bądź reprezentuję. Nauka poszłaby pewnie *ty*m trudniej, że na ramionach i karku dosłownie czuję ciężar tłumu, który mnie dotąd tylko otaczał, a teraz po prostu przywarł do mnie.

Jak to dobrze, że dawna świątynia Konfucjusza zmieniła charakter i zapelniają ją teraz ludzie spragnieni kulturalnej rozrywki, którzy traktują mnie widać jak chodzący egzotyczny eksponat. Nie chciałbym się jednak znaleźć w tak szczelnym otoczeniu poprzednich mieszkańców tej dzielnicy.

Może zagląda tu niewielu Europejczyków, a może do stołecznego niegdyś miasta napłynęło dużo ludzi z prowincji - nie wiem. Ale nigdzie nie wzbudzałem takiej sensacji, jak właśnie w Nankinie. Już w sklepach i na ulicy przyglądano mi się pilnie,

a ten i ów stawał mi na drodze i uparcie patrzył w twarz, ustępując na bok wtedy, kiedy już byłem o krok. Ale dopiero tutaj zaraz po wyjściu z samochodu otoczył mnie zwarty tłum. Dorosłym prędkiej się jakoś opatrzyłem, jednak chmara dzieciaków nie rezygnowała z sensacji. Huang i Jiang Zhengjin, sekretarz związku pracowników kultury, wzięli mnie między siebie, od tyłu nadciągał w sukurs ktoś z opaską na ramieniu, pewnie dozorca.

Widziałem, że jest im przykro. Usiłowali wyperswadować gwarnej czeredzie nadmierną ciekawość, lecz żaden ani razu nie podniósł głosu, nie wykonał gestu zniecierpliwienia. Żadnych takich: „Won, szczeniaki!”, nie było.

Niepotrzebnie się moi towarzysze martwili, bo nie myślałem się obrażać. Miałem okazję sprawdzić, co czuje Afrykańczyk, który w Polsce usłyszy: „O! mamó... Murzyn!”.

Schronienie znaleźliśmy w obszernym budynku, gdzie się produkował teatr cieni. Miałem szczęście, bo wcale nie tak łatwo natrafić na takie przedstawienie.

Wbrew rozpowszechnionym u nas mniemaniom cienie nie pochodzą od dłoni aktorów. Rzucają je sylwety ludzi, zwierząt i rzeczy, kunsztownie wycinane i wykzione kolorowym papierem, poruszane cienkimi patyczkami z bambusa. Na biały ekran - przy dźwiękach muzyki, w której przeważa perkusja, oraz recytacji aktorskiej - padają lekkie, barwne widma obrazów.

Pokazywano legendarne dzieje mnicha, który wyruszył do Indii po księgi święte. Treść sztuki mało mnie zresztą obchodziła. Jak urzeczony chłonałem optyczną stronę widowiska. Zdaje się jednak, że w grę wchodziło to samo podanie, które oglądałem na scenie operowej w stolicy.

Tamto przedstawienie kończyło się ulubioną w Chinach sceną walki bóstw z małpami, które odnoszą zdecydowany tryumf nad siłami niebiańskimi. Taki finał starej sztuki skłaniał mnie początkowo do snucia daleko posuniętych rozmyślań. Później jednak wyjaśniono mi niektóre rzeczy. Legenda pochodzi z VII wieku naszej ery, sztukę napisano w XV. Jest bardzo długa i odgrywa

się tylko fragmenty. Scena małpiego zwycięstwa bynajmniej nie stanowi jej finału, bo następnie wdaje się w sprawę Wielki Bud-
da i zaprowadza właściwy ład na świecie.

Przypuszczam, że niezależnie od filozoficznych założeń panującego ustroju wielu Chińczyków nie pragnie specjalnie widoku Dobrotliwego i woli oglądać w teatrze aktorów przebranych za małpy i dokonujących istnych cudów akrobacji. Nigdzie w tym kraju nie zauważyłem przejawów religijnej żarliwości czy chociażby tylko żywszych zainteresowań. Łatwo się za to rzuciły w oczy zjawiska świadczące o czymś wręcz przeciwnym. Jedno z nich wywarło na mnie wrażenie rzewne i dość nawet przejmujące. Było to właśnie w Nankinie.

Chciałem obejrzeć mury miejskie. Jiang Zhengjin ofiarował się na przewodnika, ale sam dość dawno temu zwiedzał fortyfikacje i teraz trudno mu przyszło znaleźć wejście na nie. Budynki wzniesione w przeciągu ostatnich kilku miesięcy dość radykalnie zmieniły sytuację. Trafiliśmy nareszcie w zaułek kończący się u podnóża wysokiego i zadrzewionego zbocza. Stały tam parterowe chałupki o bardzo gładkich słomianych dachach. Widok byłby prawie nadwiślański, gdyby nie ukośne podpory przy słupach ścian. Zrobiono je z bambusa.

Uliczka biegła pod białą bramą kamienną o trzech przesłach. Dalej trzeba było iść pieszo. Dwa rzeźbione lwy strzegły wstępu na strome schody. Jeden trzymał w pazurach jakieś stworzonko, drugi w beztroskiej pozie z wdziękiem się opierał na „łokciu”.

Schody były nadwerżone i dosyć trudne. Składały się z niewielkich bloków kamiennych, pokrytych zatartymi hieroglifami. Wysoko na zboczu w poprzek kierunku schodów stał biały dom parterowy z obszernym tarasem. W murowanych donicach rosło parę drzewek, na przedniej ścianie widniały majolikowe medaliony. Trwała zupełna cisza. Wszystko było czyste, sprzątnięte i całe, lecz tchnęło martwiejącą starzyzną. Przez taras przesunął się zgarbiony człowiek w czarnym wieśniaczym ubraniu.

W ręku niósł widły i staroświecką wagę drażkową. Nawet nie spojrział w naszą stronę.

Z góry dostrzegłem, że gmach ten stanowił front zamkniętego czworoboku niewielkich budynków. Był to klasztor.

Na samym łysym szczycie stała wyniosła pagoda. W jej wnętrzu wznosił się jakby ołtarz podobny do okrągłej głowicy kolumny, a dźwigający niewielki sześcian z ciemnego, polerowanego granitu. Był to relikwiarz kryjący szczątki jakiegoś świątobliwego męża, który żył przed bardzo wielu wiekami i pielgrzymował do Indii.

Od klasztoru wiodą w kierunku pagody szare schody. Są całe, nie brakuje ani jednego stopnia, ale giną niemal w bujnym zielisku i trawie. Droga, która łączy dom mnichów ze świątynią, jest zupełnie martwa, nikt nią nie chodzi.

Zaraz za pagodą grunt się gwałtownie obrywa. Ukośne płaszczyny skał czerwonych i sinych tworzą malowniczą przewieszkę nad biegnącym niżej murem obronnym tak szerokim, że mógłby posłużyć za wygodną szosę.

Z wyniosłości łatwo ogarniałem wzrokiem duże jezioro, bezpośrednio przylegające do obwarowań miejskich. Było sztuczne, wryto je dawno temu na rozkaz jednego z cesarzy. Miało pięć wysp, stanowiących dziś bardzo przyjemny park, oraz groble, po których wygodnie jeżdżą samochody. Za wodą widnokrąg zamykały wysokie, porośnięte drzewami wzgórza. Na najbliższym błyszczały kopułki obserwatorium astronomicznego. Obróciwszy się ku miastu, można było patrzeć na dzielnicę zupełnie nowych piętrowych bloków, stanowiących mieszkania załogi pobliskiej fabryki.

Rozległy widok nęcił. A jednak wolałem obracać oczy na pagodę, której ołtarz obsiadły bawiące się w chowanego dzieci, lub na przebłyskujące wśród drzew murki klasztoru. Patrzyłem na nie, kiedyśmy już schodzili w dół, z auta jeszcze się oglądałem na rzeźbione lwy i bramę. W spokoju, ciszy i zapomnieniu dogorywał tam świat wierzeń, żywych przez dwadzieścia kilka stuleci. Nikt nie zrabował granitu schodów wiodących z klasztoru ku pagodzie. Ale nikt też nie bronił ich przed zieliskiem.

„... ma się już pod koniec starożytnemu światu...”.

Tłumy ludzi odwiedzają za to co dzień miejsce położone nie daleko za jeziorem i wzgórzem dźwigającym obserwatorium. Znajduje się tam mauzoleum Sun Yat-sena.

Wyruszyliśmy wcześniej rano przy cudownej, upalnej niemal pogodzie. Jesionka i sweter zostały w szafie.

Pilnie się przyglądałem platanom, którymi wysadzona była szosa, i miałem właśnie zamiar zapytać o ich chińską nazwę, kiedy towarzyszący nam profesor nankińskiego uniwersytetu, Qin Suzhu, przerwał milczenie. Zaczął mówić o *Chłopach* i *Quo vadis*. W pierwszym dziele najwyżej cenił obrazy życia ludu i piękno przyrody polskiej, w drugim uderzyła go — jak powiedział — siła dążenia do prawdy. Z zainteresowaniem słuchał o Lipcach oraz o dzielnicy Polski, w której leżą. Zaskoczyła go wiadomość o tym, że Reymont już od trzydziestu i jeden lat nie żyje. Jakoś niezbyt sprawnie działała nasza służba informacyjna, skoro nie docierała nawet do tych, którzy się interesują polską literaturą.

Budowniczo wie grobowca Sun Yat-sena byli wierni tradycji. Mauzoleum, wzniesione w latach 1926—1929, nie przypomina ani kaplicy, ani pomnika - stanowi element krajobrazu, który zmienia i trwale kształtuje. Leży na zboczu wyniosłego, pokrytego lasem wzgórza. Nad obszernym podjazdem wysoka, biała brama kamienna o trzech przesłach, dalej pasmo monumentalnych schodów, które dwukrotnie znika pod poprzecznie ustawionymi pawilonami z granitu, i na samej górze gmach właściwego mauzoleum, kryjący pomnik i grób. Dachówka fioletowa, świątynna, ściany z kamienia o barwie naszego piaskowca, schody szare jak skóra słonia. Po obu stronach wiecznie zielone drzewa i krzewy, na górze szereg ciemnych, na tle błękitnego nieba niemal czarnych japońskich tuj.

Nigdy dotąd nie widziałem i wątpię, czy kiedykolwiek zobacze pomnik wybudowany z tak potężnym rozmachem.

Później, kiedy sobie obejrzałem więcej budynków wzniesionych za Kuomintangu, zacząłem się podejrzliwie odnosić do panujących wtedy prądów architektonicznych. Naśladowanie form

starochińskich i łączenie ich z europejską secesją nie było chyba żadnym płodnym odkryciem. Tradycyjny łamany i wyginany dach, a pod nim ściany, grubością i kształtem przypominające Egipt starożytny — to też niewłaściwa droga w sztuce. A jednak nic nie osłabiło wrażenia, jakie wywarło podnankińskie mauzoleum. Do dziś mam w oczach monumentalny szlak schodów obrzeżonych ciemną zielenią i wiodących na sam szczyt góry.

Długośmy tam stali, patrząc na odległe mury miasta i pofalowaną okolicę. Dzień był powszedni, ale tam w dole szary plac podjazdu pomału się zaludniał. Luźne grupy w strojach niebieskich i czarnych bez pośpiechu szły w górę.

Wzniesienie, o którym piszę, stanowi składową część łańcucha wcale wysokich wzgórz. Różnią się one od wielu innych oglądanych w Chinach, bo są na szczęście pokryte lasem. Stara legenda głosi, że ongi zamieszkiwały je demony, a teraz można tu podobno napotkać wilki. Opodal sterczy z lasu dziewięciopiętrowa pagoda, licząca sześćset lat wieku. Z daleka wygląda jak zaostzony biały słup z nanizanymi pierścieniami dachów. Takie strzeliste świątynie samotnie stoją po licznych wzgórzach kraju, a dawne wierzenia przypisywały im mistyczną moc łączenia ziemi z niebem.

Niezbyt daleko od miejsca wiecznego spoczynku Sun Yat-sena leży mauzoleum pierwszego cesarza z dynastii Ming, Hongwu (który zanim włożył koronę, zwał się Zhu Yuanzhang i był buddyjskim mnichem). Do grobowca prowadzi słynna aleja kamiennych posągów ludzi i zwierząt, tym bardziej malownicza, że między poszczególnymi rzeźbami rosną drzewa, których korony tworzą jakby drugie piętro szpaleru. Dawniej nie wolno było wjeżdżać w tę majestatyczną drogę, którą kamienne słupy przegradzają do dziś.

Samo mauzoleum jest chyba pierwowzorem tamtych późniejszych, wzniesionych u stóp Gór Zachodnich. I tu także stoją poprzeczne pawilony świątyń, między nimi urocze ogrody zamknięte wśród murów, a w samej głębi grobowy kurhan.

Tylko wejście jest odmienne. Tworzą je trzy równoległe mostki kamienne, przerzucone nad wąskim kanałem.

Na wysłanej granitem jezdni leżał pożółkły liść, zupełnie podobny do klonowego. Podniosłem go i rozprostowałem na dłoni. Profesor Qin Suzhu popatrzył na moją czynność i zaraz opowiedział legendę, która pamięta czasy dynastii Tang, ma więc tysiąc kilkaset lat.

Mury Zakazanego Miasta rozdzieliły miłującą się parę. Dziewczyna mieszkała w uświęconej rezydencji cesarskiej, chłopiec nie miał prawa stopy tam postawić. Nie mogli się więc ani zobaczyć, ani porozumieć. Aż pewnej jesieni oblubienica znalazła sposób. Podjęła z ziemi pożółkły liść, wypisała na nim miłosne przesłanie i przez mur warowny wrzuciła go do fosy. Błądzący nad wodą młodzian wyłowił pismo.

-1 od tej pory - kończył profesor - jesienny liść, taki właśnie jak ten, który pan podniósł, jest w Chinach symbolem miłości.

Wiele legend chińskich opiewa to uczucie. Nie spodziewałem się tego po narodzie, który uchodzi u nas za racjonalistyczny i w sentymentach skąpy. A tu tymczasem pierwszą z owych baśni opowiedział mi poważny uczonec. Widocznie w tym kraju godność naukowa nie nakazuje pogardy dla spraw, którymi się nie interesuje „mędrca szkiełko i oko”.

W południe przeżyłem w holu hotelowym chwilę zupełnego zaskoczenia.

Z szerokiego korytarza wyszła grupa dziwnych postaci. Byli to ludzie o twarzach ciemnych, prawie miedzianych. Ich krucze włosy opadały kosmykami, jeden pozaplatał je nawet w cienkie warkoczyki. Na nogach mieli buty z barwnych pasów poprzecznych. Podeszwy obuwia były grube i miękkie, czuby lekko zadarte. Ale najbardziej ich zdobiły opończe bramowane futrami podobnymi do lamparcich czy z pantery. Na pierwszym z idących rdzawa szuba opięta była na kształt togi rzymskiej. Rękaw zwiślał aż do ziemi, pierś i prawe ramię okryte luźną, białą koszulą pozostawały wolne. Następny opasał futrem biodra.

Przeszli, uparcie — niczym na dziwo niesłychane - patrząc na moje okulary, krawat oraz najnormalniejsze w świecie warszawskie ubranie.

- Tybetańczycy — szepnął Huang Keping, uśmiechając się dyskretnie.

On jeden zachował zupełny spokój i na nikogo oczu nie wytrzeszczał.

CZWARTE
NA
GLOBIE

Bylem mocno ciekaw chińskich kolei. Bo samolot to wciąż jeszcze elitarny środek komunikacji, przynajmniej na tych połączeniach globu, które przemierzyłem, to znaczy między Warszawą a Oceanem Spokojnym. To szczerza prawda, że na zachodzie Europy podróżuje się o wiele wygodniej, ale i to, co jest u nas, stanowi właściwie luksus. Wie człowiek, że ma zapewniony wygodny fotel, wyżywienie i wszelką opiekę w drodze.

Tuż przed odlotem z Warszawy pytano mnie, czy mam *Reisefieber*. O naiwności! Jakąż *Reisefieber* może odczuwać taki, co przez kilka lat musiał stale korzystać z polskich autobusów prowincjonalnych? Czymże jest lot z Warszawy do Pekinu w porównaniu z szosową odysseją na trasie Szczekociny-Kielce?

Bardzo mało wie o życiu kraju ten, kto korzysta tylko z samolotów i samochodów (obojętne - służbowych czy prywatnych). I głęboką rację mają ci u nas, którzy namawiają pewnych uczonych w piśmie, żeby od czasu do czasu zdradzili wspomniane przed chwilą środki komunikacji na rzecz zwyczajnych pociągów.

Słusznie się spodziewałem zobaczyć, jak na co dzień podróżuje się w Chinach. Nie przypuszczałem jednak, że kilkugodzinna przejażdżka z Nankinu do Szanghaju da mi aż tyle. Cóż, pociąg po ziemi się toczy.

Niewiele umiem powiedzieć o dworcu w Nankinie. Wyjścia na perony leżą na wprost głównego wejścia na stację. Wszystkie poczekalnie i inne urządzenia zostają po lewej stronie.

Pociąg już czekał. Składał się z wagonów ciemnozielonego koloru. Na sąsiednim torze stał rząd wozów towarowych, były szare, prawie czarne.

Dokładnie na trzy minuty przed terminem odjazdu przeraźliwie zabrzmiał dzwonek. Kierownik ruchu, mający na okrągłej czapce czerwony pokrowiec, machnął żółtą chorągiewką i ruszyliśmy.

Wagony nie miały przedziałów. Po obu stronach, prostopadle do ścian bocznych, stoją dwuosobowe kanapki, miękkie, kryte zielonym pluszem. Tak jest w klasie pierwszej. W drugiej oparcia są twarde. Ale i tu, i tam między każdą parą ławek jest równy im długością wąski stolik. Bywa, że zdobi go doniczka z kwiatkiem.

Zanim jeszcze pociąg ruszył, każdy z pasażerów miał już przed sobą szklanek świeżo zaparzonej zielonej herbaty. Posługacz w białej kurtce niemal bez przerwy snuł się środkowym przejściem, dźwigając duży czajnik blaszany. Huang coś mu zapłacił i na spiczastych pokrywkach naszych szklanek zaraz się pojawiły małe karteczki. Okazało się, że posiadaczowi takiego dokumentu dolewają herbaty przez cały czas podróży. Inni muszą poprzestać na pierwszej porcji.

Wagonu restauracyjnego nie było, ale każdy mógł sobie zamówić obiad. Około godziny jedenastej - wyruszyliśmy o siódmej — większość sąsiadów zabrała się do jedzenia. Obiad składał się z jednej potrawy, podanej w blaszanym prostokątnym naczyniu z przykrywką.

Zauważyłem, że wbrew rozpowszechnionym mniemaniom ludzie mają tu wcale niezgorsze apetyty. Na stacjach wokół wózków i kiosków z żywnością natychmiast robiło się tłoczno. Sprzedawano jabłka, pierniki, gorące pierogi - okrągłe, podobne do granatów - a także zimne mięso, ładnie opakowane w papier i zamknięte w płaskich koszyczkach! Tego zaopatrzenia stanowczo można Chińczykom pozazdrościć.

Czystości w pociągach także. Nie sprawdzałem i nie chciałbym przesadzać, ale chyba co pół godziny zjawiał się ktoś urzędowy

i mokrą szmatą na szczotce przecierał podłogę. Ktoś drugi czyścił stoliki. Niech się tylko pociąg zatrzyma, a już konduktor we własnej osobie — ubrany w granatowoszary, skromny mundur bez namaszczeń i ozdób - dobywa skądś szmatę lub miotkę i zaczyna pucować od zewnątrz drzwi, schodki i ściany wozu. Pod tym względem obsługa pociągu nie różni się od tutejszych szoferów, którzy też przy każdej okazji czyszczą swe maszyny. W każdym bez wyjątku aucie widziałem miotkę z piór kogucich.

Na stacjach publiczność wygląda pociągu, ustawiwszy się w kolejki. Pięć i sześć takich wcale długich ogonków potrafi zdobić peron. Stoją, czekają, nikt się nie tłoczy, nie kłóci i nie próbuje wyminąć poprzedników. Wsiadają do tego wagonu, który się zatrzymał koło nich. Jeśli jest to wóz pierwszej klasy, to ci, co mają bilety drugiej, spokojnie przechodzą środkiem do następnego. Po paru godzinach jazdy w pierwszej klasie wszystkie miejsca były zajęte, w drugiej podróźni stali stłoczeni.

Na niedużej stacji widziałem człowieka, który wysiadłszy z wagonu, zostawił swe tłumoki i walizę na opiece boskiej i poszedł gdzieś, pewnie szukać środka transportu.

Wszystko to - podkreślam - działo się bynajmniej nie w Szwecji ani nie w Szwajcarii, tylko w Azji Wschodniej, która to nazwa w umyśle przeciętnego Europejczyka zazwyczaj kojarzy się z wyobrażeniami o braku kultury.

Mogłyby jednak te chińskie pociągi ruszać się nieco energiczniej. Ten, którym jechałem, był pośpieszny i wcale nie na wszystkich stacjach się zatrzymywał. Ale w niczym żadnej torpedy czasu nie przypominał. Na postojach oglądałem podkłady. Były dość wątle. Zauważałem nawet spękane, ściśnięte drutem. Rolę śrub spełniały bretnale, których szerokie łebki przytrzymywały dolne krawędzie szyn. Taki sposób nie może sprzyjać szybkości jazdy. Większość linii chińskich jest jednotorowa.

Drzewa po obu stronach tworzą podwójny, niekiedy nawet potrójny szpaler. Są jednak młode i w dodatku bezlistne, mogą więc patrzeć do syta i na te kilka godzin cały przemienić się we wzrok.

Wygląda tak, jakbyśmy przez cały niemal czas jechali ścieżką wśród pól uprawnych, które - zwłaszcza bliżej miast — przypominają ogrodnicze grządki, nawet i w grudniu zielone. Niektóre z nich, maleńkie, mikroskopijne prawie, wciskają się na odkosy nasypu kolejowego. Jedne giną pod szczelną pokrywą jakiejś jarzyny podobnej do mchu, na innych równymi rzędkami wyrastają zielone piórka. Huang zapewnia, że to pszenica i że ją się piele.

Jeszcze na przedmieściach Nankinu zobaczyłem roboczy dwuszereg, uszykowany niczym wojsko. Ktoś stojący przed frontem wydawał pewnie rozkaz dzienny, ale ludzie trzymali w dłoniach narzędzia w niczym do broni niepodobne. Obserwowałem je później przez cały czas jazdy.

Na polach szeregi... nie, nie wiem, czy słowo „rolników” będzie ściśle odpowiadać rzeczywistości i czy nie należałoby powiedzieć: kopaczy. Przecież oni pracują motykami! Należą na pewno do spółdzielni i dlatego działają zbiorowo, w ordynku. Nie widać tu tak charakterystycznych dla naszych pól sylwetek samotnych oraczy. Albo nikogo na zagonie - albo rojno.

Termin „motyka” przywodzi zaraz na myśl narzędzie niewielkie, którym się dziabia w ogródku. Ale ta tutejsza jest czwórzębna i osadzona na długiej żerdce bambusowej. Chłop trzyma ją oburącz, podnosi aż do pionu i wali z zamachem, biorąc „k” sobie”. Oto w jaki sposób zostały uprawione te wszystkie grządki i pola. Gleba na nich nie jest zupełnie spulchniona, lecz zbita w drobne grudki.

Kilkakrotnie zaledwie zauważyłem orkę. Czarny, wyliniały bawół, leniwie przestawiając nogi, wlecze za sobą coś, co do złudzenia przypomina sochę i - jak się później przekonałem - jest nią w istocie. Narzędzie to jest całkowicie drewniane, tak lekkie, że oracz bierze je na ramię i odnosi do domu, posiada jedną rękojeść i tylko na dziobie ma żelazne trójkątne ostrze, które nie odkłada skiby, lecz podcina i podważa wielkie bryły ziemi. Potem się je rozbija motyką.

Patrzyłem, jak się wieśniak mozoli z kolebiącą się na boki sochą, i dopiero pojąłem sens tego, co mi przed tygodniem mówiono w spółdzielni rolniczej pod samym Pekinem. Nie mogłem wtedy zrozumieć, czemu jej przewodniczący tak się chwali faktem posiadania kilku dwuskibowców. Dwuskibowiec to dwuskibowiec - myślałem. —Jest też o czym mówić!

A teraz się okazało, że naprawdę jest...

Widok pierwszej maszyny do nawadniania pól poderwał mnie z miejsca. Oglądałem się za nią, przyciskając czoło do szyby i serdecznie żałując, że nie można zatrzymać pociągu. Niepotrzebnie! Miałem ich jeszcze dość się napatrzeć, nawet kupić sobie drewniany modelik. Jest niewielki, wykonany przez wiejskiego majstra *legę artis* i ma korbkę wprawiającą go w ruch.

Urządzenie to składa się z dość długiego i szczelnego koryta z desek, wewnątrz którego - wzdłuż osi — obraca się transmisja z łopatek, oczywiście też drewnianych. Porusza ją poprzeczny wał osadzony u górnego wylotu. Dolny otwór wsadza się w kanał lub sadzawkę. Łopatki wgarniają wodę w koryto i pędzą ją aż na górę, gdzie wycieka na łąn, który trzeba nawodnić. Siłę napędową stanowią najczęściej nogi ludzkie, deptające małe dźwignie umocowane do wału. Aby nie upaść, deptacze - których może być dwóch, trzech, nawet pięciu - trzymają się ramy z żerdek.

Niekiedy wał łączy się z osią drewnianego kieratu obracanego przez bawoła, który ma tak filozoficzne usposobienie, że nie potrzebuje poganiacza, sam posłusznie chodzi w kółko. Nie trzeba mu też zawiązywać oczu. Im bliżej Szanghaju, tym więcej po polach słomianych daszków nad kieratami.

Tak się przedstawia pierwszy sposób nawadniania. Drugi polega na zwyczajnym czerpaniu wody wiadrami i noszeniu jej na pola oddalone nieraz o setki metrów.

Trzeci z zaobserwowanych wtedy systemów wymaga niemałej wprawy, aczkolwiek wygląda całkiem prosto. Dwóch ludzi stoi nad wodą i drewnianym kubłem, uwiązany na dość długich sznurach, czerpie ją i przelewa wyżej. Ruch się odbywa szybko,

bez przerw i zakłóceń. Ani na chwilę nie zelżeje napięcie żadnej z czterech lin.

A oto łódź w kanale ciągnącym się wzdłuż toru. Jest szeroka i ciężko się nurza, bo wewnątrz jej wypełnia rzadka, szara maź. Dwóch ludzi czerpakami na długich drągach dobywa spod wody muł denny. Drugie czołno podsunęło się pod sam brzeg. Za pomocą takich samych czerpaków żyzny muł wędruje wyżej, na pole. Ale tam od razu się nie rozlewa, gdyż zatrzymują go uklepane z ziemi ścianki niewielkiego zbiornika. Dopiero później będzie równomiernie rozprowadzony między krzaczkami bawełny.

Bruzdami pola nawodnionego już przez deptaczkę brodzi bosa, wysoko podkasana kobieta. Drewnianą chochłą na długim bambusie czerpie wodę i ochlapuje nią grzędy.

Woda, woda, woda...

Jest grudzień - pola żółte i rude, tu i ówdzie zielone. W tym kraju nikt nawet nie marzy, że topniejący śnieg nasyci glebę wilgocią. O każdą jej kroplę trzeba walczyć, bo i z deszczem potrafi być skąpo, jak to się dzieje właśnie tej zimy.

Dobrze przynajmniej, że ludzie mają w co zanurzać wiadra i garbla deptaczek. Tutaj, niedaleko morza i ujścia Jangcy, rozciąga się kraj kanałów. Wzdłuż nich widnieją wioski przycupnięte nad brzegiem prostej wody, niczym przy drodze. Wysoko obmurowane kanały przecinają miasteczka. Koło przystani chmary płaskodennych łodzi i tłumy ludzi — widocznie tak tu wygląda wiejski lub małomiasteczkowy targ.

Nad zupełnie prostym polem pojawia się ogromny, wybruszony prostokąt, jakby wycięty z ciemnego papieru. Za nim drugi i trzeci - już pomniejszony przez oddalenie. A tam znów jacyś ludzie idą krokiem szybkim, wyteżonym, dosłownie leżąc w powietrzu. Ich opuszczone ramiona prawie dotykają ziemi.

To żagle nad niewidocznym kanałem i robotnicy ciągnący na sznurach ładowne barki.

Przedmieścia Szanghaju! — zbiorowiska strasznych, drewnianych ruder. Na otwartych ku torowi małych podwórkach dymią

przenośne piecyki, w których pewnie strawa się warzy. Obok rowy czy rynsztoki pełne zielonkawej, zapleśniałej cieczy. Domy najeżone żerdziami tak się tłoczą, że pociąg prawie się ociera o ich ściany. Dym parowozu przesłania na chwilę festony rozwieszanej bielizny.

Upłynęło może pół godziny i znalazłem się na dziesiątym piętrze hotelu, pamiętającego dawniejsze czasy, w przeznaczonym dla mnie apartamencie numer 1008. Zaniedbałem jakoś go wymierzyć, ale sądzę, że był niewiele mniejszy od mego mieszkania w Warszawie. Przez dwa wielkie okna mogłem patrzeć na panoramę śródmieścia.

Po lewej ulica biegła prosto. Z jednej strony miała ładne boisko sportowe. Z drugiej rząd kamienic o jednolitym typie. Każda była trzypiętrowa, z płaskim dachem i wyższym fragmentem podobnym do baszty. Po prawej wielkomiejskie domy aż po horyzont i stercząca nad nimi błękitna kopuła cerkwi oraz klasyczna kolumnada, powyginane ozdóbki tudzież spiczasta iglica radzieckiego gmachu wystawowego.

Zapełniona samochodami płaszczyzna tuż przy hotelu, którą początkowo wziąłem za zwykły plac do parkowania, była dachem dużego jednopiętrowego budynku.

Przedwieczorna przejażdżka potwierdziła pierwsze wrażenia. Takież ulice i domy mogłyby się znaleźć w każdej stolicy europejskiej i w każdym większym mieście — poczynając od Poznania. Chwilami tylko ogrodzenia will, uplecione z trzciny lub bambusa, przypominały mi, że nie jestem w jednej z nowszych dzielnic Wrocławia.

Rzeka Huangpu jest mniej więcej tej samej klasy co Wisła pod Warszawą, ale pełnowodna, głęboka, ujęta w beton nabrzeży portowych. Wielkie statki, okręty raczej, wyglądają jak wyspy i porykują basem. Za bulwarem i szeroką ulicą zwarta ściana gmachów wysokich, kopulastych, pretensjonalnych i brzydkich, ale monumentalnych, imponujących potęgą. Ten widok nie znajduje już żadnego odpowiednika w naszej połaci Europy. Tak

— wyobrażam sobie - muszą wyglądać główne przystanie światowego handlu, którymi przepływa pieniądz. Nabrzeże owo w mowie potocznej zwie się Bankowym.

Opodal, za dość wąskim dopływem Huangpu, wznosi się jeszcze jeden hotel mający na siedemnastym piętrze taras, którego żaden turysta chyba jeszcze nie ominął.

Zachodzące słońce zanurzone w chmurze dymów wyglądało jak miedziana tarcza. Krańców miasta nie mogłem dojrzeć. Z bezbrzeżnego pola wysokich kamienic rosły w górę smukłe wieżowce, takie jak ten, na którego szczycie jest ów taras. Za rzeką płynącą łagodnymi zakosami aż po sam horyzont płasko leżała szara dzielnica.

Podłogę apartamentu numer 1008 wyścielał mięsisty dywan. Taki sam, tylko węższy, był i na korytarzu wiodącym do szybkiej windy. Miałem więc wszystkie wygody podczas wieczornej wędrówki od okna do okna, trwającej z parę godzin.

Ruch samochodowy w Szanghaju nie jest duży i ulice szybko pustoszały. Tylko na jaskrawo oświetlonym boisku jeszcze o dziesiątej trwały mecze koszykówki, żywo oklaskiwane przez publiczność. Tłum stał zwarcie wokół pól gry, ale z mojego dziesiątego piętra widać było całe wnętrza prostokątów opasanych czarną cizbą, graczy w barwnych strojach i białe figury sędziów. Nad tym wszystkim jak rama obrazu poziomo ciągnął się błękitny napis neonowy na niewidocznym gmachu. Niezrozumiałe hieroglify tworzyły wstęgę ozdobnych arabesk.

W większych miastach Chin pełno jest neonów.

Ale w tych wioskach, które oglądałem dziś z pociągu, elektryczności na pewno nie ma, podobnie jak jej nie było w owej wspomnianej niedawno spółdzielni rolniczej pod samym Pekinem.

No, zobaczyłem dzisiaj dziwo! Odbyłem właściwie całkiem niewielką przejażdżkę pociągiem, ale wyruszyłem z Nankinu, eks-stolicy, która ma więcej mieszkańców niż nasza Warszawa, dotarłem zaś do czwartego co do wielkości miasta na kuli ziemskiej.

Szanghaj liczy sześć milionów dwieście cztery tysiące mieszkańców. Znaczy to, mówiąc obrazowo, że zmieściłaby się w nim ludność Norwegii, Albanii, Saary, Luksemburga, Islandii oraz pięciu najznacniejszych grodów województwa olsztyńskiego i jeszcze by zostało miejsce na siedemset osób. Jeśli chodzi o obroty ładunków, Szanghaj zajmował przed wojną piąte miejsce wśród portów całego świata.

Kraj położony między dwiema takimi metropoliami powinien reprezentować szczególnie wysoki poziom cywilizacji. A co ja widziałem po drodze? Nad kanałami zauważyłem dwie pompy obsługiwane przez motory, za to deptaczek — chyba setki.

Daleki jestem od zachwytów nad wyglądem polskiej prowincji, ale u nas jak się podejźdza do znacznieszego miasta, to znać zmianę w wyglądzie pól i osiedli, zagrody przyzwoitsze i więcej maszyn rolniczych. O województwach zachodnich i północnych, które stanowiły część organizmu naprawdę gospodarczo silnego, szkoda wspominać. Tutaj zaś tyle, że im bliżej Szanghaju, tym więcej pól bawełnianych.

Zwiedziłem w Polsce wiele wykopalisk archeologicznych i sporo pisałem o zamierzchłej wspólnotcie pierwotnej. A oto na drugim końcu świata własnymi oczyma zobaczyłem nie ją samą wprawdzie, ale jej technikę. No tak, niewiele chyba przesadziłem - przecież podstawowym narzędziem pracy na roli jest tu motyka. Wyższy i rzadziej spotykany stopień reprezentuje drewniana socha z żelaznym dziobem. Oto środki, za których pomocą zdobywa się żywność dla sześciusetmilionowego narodu oraz na eksport.

Dziwni ludzie bywają na świecie. U nas na przykład są tacy, którzy pisują pouczające artykuły o kolektywizacji w Chinach, stawiając ją naszym chłopom za wzór. Szeroko omawiają takie rzeczy, jak rozumną propagandę, przekonywanie, autorytet przywódców politycznych, ale ani słowem się nie zająkną o technice. A przecież ona właśnie dyktuje sposób organizacji pracy! Tylko liczny zespół może poradzić tam, gdzie wszelką robotę muszą wykonać mięśnie ludzkie. Ze względu na zupełnie inny

poziom techniczny tutejsze doświadczenia nie mogą chyba mieć dla nas praktycznego znaczenia.

Belg, z którym kwaterowałem w Irkucku, potwierdził mi dawniej posiadaną wiadomość, że w jego kraju nie ma najemnych robotników rolnych. Każda rodzina sama uprawia swoje pole, mając do tego nowoczesne narzędzia. W latach 1948-1952 z jednego hektara zbierało się w Belgii 32,2 kwintala pszenicy — wobec 12,3 w Polsce. W Chinach - przy ogromnym i godnym najwyższego szacunku nakładzie pracy chłopskiej - osiągało się 10,1 kwintala (w roku 1955 zbiory pszenicy w Belgii wynosiły 38,8 q z ha, w Polsce 14,9; danych dotyczących Chin w „Roczniku Statystycznym” brak).

Mnie się zdaje, że nasi uczeni doradcy słabo się znają na busoli. W inną stronę świata trzeba sięgać po wzory.

Na oświetlonym ciągle boisku widoki się zmieniały, ale obserwowałem je mechanicznie, myśląc o innych obrazach utrwalonych w pamięci. O prymitywnych i żmudnych sposobach nawadniania pól, o łożyskach tyłu oglądanych rzek, niemal wyschłych zimą, ale strasznych podczas powodzi, oraz o jałowych wzgórzach ciągnących się setkami kilometrów. Wycięto na nich lasy, które zawsze są zbiornikami wilgoci. A potem trzeba było porzucić i półka umocnione na stokach tarasami.

Na wybrzeżu Huangpu, niedaleko tamtego siedemnastopiętrowego hotelu, leży niewielki park. Kiedyśmy go mijali, spokojny zazwyczaj i opanowany tłumacz zwrócił się ku mnie nagle z diabłem w oczach.

- Tu, ot w tym miejscu — mówił wzburzony - wisiała tablica z napisem: „Psom i Chińczykom wstęp wzbroniony”.

Wiem, że ten kraj był wyzyskiwany nieludzko i przez bardzo długi czas po prostu nie władał własnym losem. Wiem także, że nie ci, co w nim teraz żyją i pracują, ponoszą odpowiedzialność za jego cywilizacyjne zapóźnienie. Taki Szanghaj, który zaczął robić światową karierę po roku 1842 - to znaczy od czasu, kiedy Anglicy wymusili w Nankinie upokarzający traktat i koncesje - był przecież istną pompą ssącą, zanurzoną w organizm gospo-

darczy Chin. Z pociągu gołym okiem widać, że ta olbrzymia metropolia w niczym dawniej się nie przyczyniała do wzrostu dobrobytu w okolicy bezpośrednio przyległej.

Wszystko to wiem. Jednakże o pozycji i losach kraju nie rozstrzygają najśluszniesze nawet historyczne wywody i oskarżenia, lecz realnie istniejący stan rzeczy. Nam w Polsce także nic nie pomagają wspomnienia o rozlicznych przestępstwach Austriaków, Niemców i Rosjan. Liczy się tylko to, co jest, siły, jakimi kraj w tej chwili rzeczywiście rozporządza.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła po przyjeździe do Chin, był potencjał tego państwa pełnego ludzi i pracy. Pod tym wrażeniem upływały mi pierwsze dni. Tam na północy - pod Pekinem - jest mróz i pola stoją martwe. Dopiero więc tutaj, na południu, zobaczyłem, jaki prymityw panuje dotąd w najważniejszej dziedzinie pracy, w rolnictwie. I dopiero teraz w pełni dotarło do świadomości, że i druga niezwykle ważna czynność odbywa się tu w sposób straszliwie zacofany. Chodzi o transport.

Wspomniałem, że jazda pociągiem daje pojęcie, jak się na co dzień podróżuje w Chinach. Niezbyt to było ściśle, bo kolej należy tu do zjawisk rzadkich. Ogólna długość linii jest nieco większa niż w Polsce. Z przeliczenia wypadnie, że jeśli u nas na sto kilometrów kwadratowych obszaru jest 7,4 kilometra toru, to w Chinach - około 280 metrów.

Tak pod względem technicznym przedstawiają się niektóre bardzo ważne pozycje, z jakich ten kraj musi startować.

Nie zapomniałem i nie zlekceważyłem niczego, co mnie dotychczas uderzyło w Chinach i skłoniło do głębokiego przekonania, że kraj ten zasługuje na szacunek i sympatię. Pamiętałem i Dzielnicę Ośmiu Instytutów, i rozmach budowlany, nowe szosy, szkoły i wiele innych rzeczy. Nie zapomniałem — tylko po tych obserwacjach na szlaku Nankin-Szanghaj moje reporterskie przeżycia i refleksje zabarwiać zaczął ton niedwuznacznie mroczny.

STARÓWKA

Wtym kosmopolitycznym mieście są jednak oazy krajo-
wej starzyzny.

- Zazdroszczę panu - biadał pracownik naszej ambasady, któremu później opowiadałem o nich. - Byłem naturalnie w Szanghaju, ale jak pan wie... dyplomaci *to* tylko z opery do opery i z jednego bankietu na drugi.

Stara tradycja polskiego reportażu podróżniczego wymaga narzekań na nasze zagraniczne przedstawicielstwa. Nie mogę się do niej zastosować. W pekińskiej ambasadzie spotkałem się z tym, co najwyżej cenię, czyli z zupełną prostotą przyjęcia. Nikt tam ze mną ceremonii nie urządzał i nikt też nie okazywał lekceważenia i nie kazał czekać. W konsulatach w Szanghaju i Kantonie nie byłem, wychodząc z założenia, że mają tam chyba co innego do roboty niż mną sobie głowę zawracać.

Utwierdziłem się w mniemaniu, że najlepiej jest, kiedy literat nikogo i niczego nie reprezentuje, a wyprawa jego ma możliwie jak najmniej wspólnego z oficjalnością i polityką. W tych warunkach bowiem najłatwiej - to nie znaczy, że łatwo - trafić w takie miejsca, które nie świadczą o żadnych osiągnięciach, lecz są po prostu tylko ciekawe.

Ciekawa wydała mi się już ulica szanghajskiej starówki, na której stanął samochód. Ale dopiero poprzeczny zaułek, gdzie można było wejść tylko pieszo, okazał się prawdziwym rarytasem.

Był dość długi, ale ciasniutki, u góry znacznie węższy niż w dole. Stare domy chińskie mają pięterka wysunięte w przód, rzeźbionymi ganeczkami lub głuchymi ściankami drewnianymi trochę przewieszone nad ulicą. Z obu stron pochylają się tak ku sobie te wyżki, jakby się chciały zewrzeć i zasklepić uliczkę w tunel.

Suszy się tam w górze bielizna. Koszule nanizane na bambusy na ciemnym tle drewnianych ścian wyglądają jak rozkrzyżo-wane, bezgłowe mary.

Latem w takiej cieśninie panować musi straszliwy upał. Tuż nad parterem, od muru do muru, ukośnie leżą drążki bambusa. W samym środku zaułka czernieje — zapomniana widać — rozpięta na nich prostokątna płachta płócienna. Zaraz dalej zwinięta w wałek mata. Tylko rozwiązać trzymające ją sznurki, a po pochylni trzech żółtych drążków stoczy się i rozprostuje nad tłumem słomiany daszek.

Sklepy, kramy raczej, bez przedniej ściany, całą szerokością frontu otwarte na ulicę, podobne są do mrocznych wnęk lub małych pieczar. Przyziemia zaułka wydają się drażone w głąb. Przed sklepami - niczym barykady broniące dostępu - stoły, stoliki, kruche rusztowania z drewna, a na nich towar: tutaj zwykła tandeta, tam znów coś, czego jeszcze oko nie oglądało.

W szklanym pudle podobnym do akwarium leniwo faluje bezkształtna, szara masa. Podchodzę bliżej i robi mi się z lekka nieswojo. Ściśnięte między przezroczystymi płytkami ospale kłębią się dziesiątki pokrytych brodawkami ropuch. Wyglądają jak jedno kostropate ciało. Szklane ściany sąsiedniej skrzynki pokrywają od wewnątrz jakby maleńkie dłonie i białawe, szybko dyszące brzuchy jaszczurek. Obok aż trzy gatunki węży — żółto--zielonych, ciemnych z czarnym pręgowaniem oraz również ciemnych, ale z refleksami czerwieni.

Wszystko to sprzedaje się i kupuje dla celów leczniczych. Ale te małe żółwie tam dalej to już towar dla gastronomów.

Siwy staruszek, uśmiechając się wyrozumiale, pozwala mi dokładnie obejrzeć swój kram, chociaż wie na pewno, że niczego

nie kupię. Na niskim stoliku leży coś w rodzaju drewnianej ramy szczelnie wypełnionej setkami bardzo małych sześcianików szklanych. W każdym z nich siedzi jeden świerszczyk.

Dwie kobiety przykucnęły przy sterczącej z muru rurce wodociągu. Jedna podstawiała pod strumień miskę i płucze ryż, druga na kamieniach chodnika ułożyła rybę o spiczastym pysku i węzowatym tułowiu, pilnie skrobiąc ją nożem.

W samej głębi uliczki zamkniętej ścianą drewnianego domu świergot, piski, trzepotanie. Piętami stoją tam na sobie klatki z ptakami. Obok w nieco większych setki królików.

W małym i ciemnym sklepiu zapełnionym rupieciami kupuję figurkę z czerwonego drewna. Przedstawia brodatego mnicha w powłóczystej szacie, niosącego na ramieniu księgę świętą. Człowiek, który mi to sprzedał, miał sześć palców u prawej dłoni.

Sąsiednia ulica wydała mi się dość szeroka, lecz było to tylko złudzenie po tamtej zatłoczonej ciasnocie. Tutaj się mieściły warsztaty rzemieślników - otwarte od frontu tak samo jak sklepy. Ramowe piły nigdy nieoglądanego kształtu cięły drewno na równiutkie deseczki, podobne do sierpów strugi kroiliły bambus, z trzeciej wnęki buchały kłęby białego pyłu. Odwrócony tyłem stał tam człowiek z maską na twarzy. W biodrach mocno go obciskała biała szmata, za którą pionowo zatknięty był elastyczny bambus. Wykonywał ruchy tak szybkie, że nie mogłem się połapać. Tyle zrozumiałem, że od wierzchołka bambusowej tyczki odchodzi sztywno napięty drut czy sznur, którym robotnik trzepie biały kłęb bawełny.

Wśród tego wszystkiego, wśród otwartych wnęk pełnych drewna, desek, bambusowych sprzętów i wszelkiego rupiecia, jadowicie syczał acetylenowy palnik. Spawano ogniwa grubego łańcucha.

Nie umiem określić, jakimi szliśmy szlakami. W zmianie otoczenia połapałem się dopiero wtedy, kiedy ujrzałem majestatycznego lwa kamiennego — z nosem wetkniętym w ściankę lichego

kramu. Niedaleko drugi zwierz znajdował się w takim samym — mniej więcej — położeniu. Przejście między nimi wiodło w ciemne wnętrze, które się okazało nawą świątyni.

Ołtarz stał w pomieszczeniu ciemnym, ciasnym i dusznym od mdłego zapachu zatłonych kadzidlanych pręcików. Na samej jego płycie oraz na postumencie z kutego żelaza, podobnym do wąskiego koryta, płonęły czerwone świece. Z góry, od ozdoby kształtem przypominającej ambone, zwisała lampka oliwna. Z obu stron wyszczerzały się pod ścianami maskary ogromnych posągów.

Nad ołtarzem, pomiędzy rozchylonych firanek tronu, wychylało się złociste bóstwo.

Kobieta w średnim wieku na klęczkach odprawiała modły. Przypadała czołem do ziemi. Szybko z góry na dół machała złożonymi dłońmi, w których trzymała pęczek *dymiących troci*-czek. Umieściła je na ołtarzu i zdjęła stamtąd walcowate naczynie z jakimiś pałeczkami w środku. Hałaśliwie nimi potrząsnęła - jeden z patyczków wypadł, natychmiast otoczyły ją męskie postacie i powiodły gdzieś w głąb. Byli to wykładowcy wróżb, ze znaków na owym drewnianym odczytujący odpowiedź bóstwa.

Patrząc na to wszystko, dobrze zrozumiałem Huanga, który wyglądał na zażenowanego, ilekroć go zapytałem o świątynię.

Okazało się, że ani ten posąg, ani inne na dalszych ołtarzach nie były wizerunkami Buddy. Przedstawiały całkiem historyczne postacie miejscowych bohaterów, z biegiem czasu awansowanych do rzędu niebian.

Wychodząc, minęliśmy dużą izbę, umieszczoną tak jak u nas zakrystie. Na głównej ścianie widniał jaskrawy portret Mao Tse--tung. Takież podobizny zdobiły wnętrza stojących wokół świątyni budek, w których nad zetłętymi ze starości księgami ślęczeli zgrzybiali wróżbici i wykładowcy snów.

Następną sensację zapowiedział dziwny mostek. Był kamienny, zaopatrzone w solidne bariery i przedziwnie kręty. Zygzakiem, kilkakrotnie się załamując w kąty proste, przecinał

duży staw, ciasno ujęty w ramę domów i bardzo daleki od ideału czystości.

Huang zostawił mnie na ulicy, zapowiedziawszy, że można będzie coś ciekawego zwiedzić, ale trzeba przed tym kogoś odszukać. Już się zaczęli gromadzić ciekawi, kiedy wrócił w towarzystwie uroczej, filigranowej dziewczyny, ubranej w czarne, ładnie pikowane spodnie i jasny lejebik. Witając się, zaczęła przeproszać, że... nie wiedząc o moim przybyciu, nie czekała przed bramą.

Była kustoszem zabytku leżącego w samym centrum szanghajskiej starówki.

Hałasy dzielnicy handlowej zostały za bramą. Wkroczyliśmy na kręte, wykładane łupanym kamieniem ścieżki i na sztuczne skały ogródka. Był tu stawek z mostkiem o trzech załamaniach, nawodny pałacyk oparty na słupach, altanki, wiekowe, lecz małe drzewa, zatarte kształty rzeźbionych kamieni, złote rybki w sadzawce i kryte galerie zdobione płaskorzeźbami. Niewielki budynek w rogu szczylił się ongi godnością najwyższego miejsca w Szanghaju, z którego otwierał się widok na morze — odległe dziś o kilkadziesiąt kilometrów.

Wszystko w tej dziwnej dzielniczce, rozdzielonej teraz ulicą na dwie części, było szare.

Wysłuchałem oryginalnej historii zabytku, którego budowę rozpoczęto w roku 1503. Wysoki urzędnik cesarski miał bardzo ambitną macierz, która koniecznie pragnęła korzystać ze wspałałości Zakazanego Miasta, ale nie miała tam prawa wstępu. Wobec takiego stanu rzeczy kochający syn wniósł dla rodzicielki ten właśnie pałac razem z ogrodami, sztucznymi skałami i wszystkim, co wedle ówczesnych pojęć powinno było zdobić rezydencję. Ze względu na szczupłość miejsca ścieżki i przejścia uczyniono kręte, łamane, sztucznie je w ten sposób wydłużając.

Dobry syn popełnił jednak karygodną nieostrożność - na murach umieszczono dwie wielkie, do dziś istniejące podobizny smoków. Wieść o tym doszła do uszu cesarza, który zabronił

ambitnej kobiecie mieszkać, nawet przebywać w zbudowanym dla niej pałacu. W Chinach tylko władca miał prawo do wizerunku smoka.

Nazajutrz ruszyłem podziwiać kunszty, które wspaniale rozkwitły w Chinach cesarskich i magnackich, ale do dziś trwają, ujęte już w inną formę organizacyjną. Zaproponowano mi zwiedzenie spółdzielni rzemieślniczej, w której się rzeźbi drogocenne kamienie, kość słoniową i koral.

Ulica wydawała się pusta, ale jak tylko auto stanęło, natychmiast otoczyła je chmara dzieciaków. Chcąc się przywitać z dwoma przedstawicielami spółdzielni, musiałem wyciągnąć rękę ponad zadartymi łebkami czerechy. W jednej chwili podniosło się ku mnie ze trzydzieści łapiąt. Przyzwoitość nakazuje nie omijać nikogo z obecnych. Ścisnąłem więc owe prawice pęczkami.

Pracownie mieszczą się w gmachach niskich, parterowych. Wszedłszy na pierwsze podwórze, zauważyłem przez okno człowieka pochylonego nad czymś, co mi się wydało podobne do długiego wałka postrzępionej waty. Był to kiel słonia na warsztacie rzeźbiarskim. W sali zarządu pokazano mi inny, już wykończony.

Z powierzchni została tylko misterna siatka, na niektórych okazach naśladująca zarys łuski rybiej. Głębsze słoje kości poprzemieniały się w krajobrazy pełne maleńkich postaci ludzkich, drzewek, skał i altanek w starochińskim stylu. Wyrzeźbiony tak kiel ma u dołu - w połowie długości - odpowiednią podstawkę. Powinno się go podziwiać w położeniu poziomym.

Mniejsze kawałki kości naśladują kształty rozchylonych muszli, kryjących wewnątrz bogate pejzaże. Poszczególne partie ścianek różnią się grubością, przenikające je światło zmienia natężenie, subtelne cacko gra ciepłymi refleksami.

Zgodnie z odwieczną tradycją Szanghaju tutejsze wyroby z kości słoniowej zachowują kolor naturalny. Majstrowie z Pekinu zwykli barwić swoje rzeźby.

Zarząd spółdzielni urządził dla mnie prawdziwą wystawę. Wielki stół, przy którym piliśmy obowiązującą herbatę, aż mie-

nil się kolorami. Pokrywały go rozmaite rzeźby, przeważnie jednak z kosztownych kamieni.

Ani trochę się nie znam na drogocенnościach i nie mam pojęcia o nazwach. Pod tym względem dobraliśmy się z Huangiem jak w korcu maku - on też się nie wyznaje i nie wie, jak tłumaczyć miana chińskie. Przekłada więc dosłownie, co niekiedy wcale ładnie wychodzi. Dowiaduję się więc, że materiał, z którego zrobiono tę oto ciemnobłękitną ważkę, to „kamień siniego zwierciadła”. Inne naczynka, figurki i najrozmaitsze przedmioty są żółte, białawe, zielone, niebieskie... Malachitowej barwy kaczka trzyma w dziobie bursztynowego koloru rybkę. Majster wyżył różne tony jednego kawałka kamienia.

Surowiec też wygląda ciekawie. Bryła wielkości i kształtu jaja strusiego, rozłupana przez pół, świeci wewnątrz żółto jak ciemny miód, powierzchnię zaś pokrywa szara zwierzina skalna.

Znalazłem się w kropce, kiedy jeden z gospodarzy zapytał mnie uprzejmie o kamienie, które kryje bogata ziemia polska. Przypomniały mi się ubożuchne ametysty Gór Świętokrzyskich, ale usiłowałem ratować twarz, wdając się w szerokie rozważania o bursztynie.

- Pewnego gatunku wyrobów nie było na stole. Pokazano mi tylko parę okazów leżących w pudłach wysłanych białym jedwabiem. Były to rzeźby z koralu. Sam rodzaj materiału narzucił wykonawcom formy smukłe, subtelne. W gałązki purpurowych krzewów wplatały się wiotkie postacie ludzkie w powłóczyстых szatach.

Nie wypadało pytać o ceny tych cudeniak. Jakże takie wyobrażenie o nich daje informacja, którą ktoś mimochodem rzucił: jeden jin, czyli pół kilograma, koralowego surowca kosztuje siedemset sześćdziesiąt juanów (cena roweru wynosi sto czterdzieści osiem juanów).

Okazało się, że stosunkowo najmniej kłopotu jest z tym, co wygląda najbardziej zawile, a mianowicie z rzeźbami z kości słoniowej, która jest podatna, dość miękka i nie pęka. Specjalnie

tym się zajmujący pracownik czarnym tuszem rysuje na powierzchni wzór, a potem majster dłubie cienkim narzędziem, podobnym do dłutka. Najpierw, oczywiście, kształtuje samą powierzchnię, przemieniając ją w subtelną siatkę, przez której otwory sięga rylcem do głębszych słoików kości. W ten sam sposób robi się ażurowe kule, zamknięte jedna wewnątrz drugiej i ruchome.

Na wyrzeźbienie całego kła trzeba pół roku, mniejsze figurki wymagają dwóch miesięcy. Robota nad małą urną z „kamienia sinego zwierciadła” trwała trzy miesiące.

Kamień i koral obrabia się na warsztacie czymś, co trochę przypomina dentyścianą wiertarkę. Dość długi pręt żelazny, zakończony maleńką i płaską głowicą, leży poziomo. W ruch wirowy wprawia go pas idący od nożnego pedału. Wspomniana głowica jest z materiału podobnego do szarego laku i dobrze twardego, który jednak sam nie dałby rady kamieniowi. Wszystko wykonuje więc właściwie mialki, mokry piasek, który trzeba ciągle nakładać na trące narzędzie.

Przy każdym warsztacie jest miednica z wodą, w hali bez ustanku słychać mokry świst.

Bryły surowca rozcina się za pomocą drucianej cięciwy bambusowego łuku lub mosiężnej tarczy o krawędziach zupełnie tępych. I tu także decydującą rolę gra mokry piasek, nakładany łopatką.

Obejrzałem w Chinach niejedno muzeum. Wśród zabytków z czasów bardzo dawnych stały takie same rzeźby z kamienia i kości, jakie tu teraz widzę na warsztatach.

Kto chce zostać majstrem tego kunsztu, ten się musi uczyć przez dziesięć lat i przejść siedem stopni wtajemniczenia. Najstarszy pracownik spółdzielni, zajmujący się dziś już tylko najsubtelniejszą robotą, czyli rysowaniem wzorów na surowcu, uprawia zawód od przeszło półwiecza. W tej chwili spółdzielnia ma trzydziestu uczniów. Szkolenie zaczyna się przeważnie w piętnastym roku życia. Przy jednym z warsztatów widziałem siedemnastolatka, który z zielonego, szklisto połyskującego kamienia kształtował postać ludzką.

Spółdzielnia powstała w grudniu 1955 roku, skupiając wtedy stu trzydziestu czterech ludzi. W chwili kiedy ją zwiedzałem, liczyła dwustu trzydziestu dwóch członków. Jest tu tyleż stopni zarobku, ile szczebli zawodowych - siedem. Na początku najwyższy dochód miesięczny wynosił siedemdziesiąt sześć juanów, najniższy trzydzieści osiem. Średni zarobek równał się wtedy pięćdziesięciu trzem juanom. Obecnie — maksimum to dziewięćdziesiąt osiem juanów, minimum - czterdzieści pięć, średnia

- siedemdziesiąt jeden juanów i sześć mao.

Dla porównania wspomnieć warto, że profesor uniwersytetu bierze miesięcznie dwieście juanów i więcej, kierownik szkoły

- siedemdziesiąt kilka.

W Nankinie rowerowy riksarz za jedno mao wiezie pasażera jeden kilometr. Paczka najlepszych papierosów kosztuje czte- ry mao i trzy feny.

Spółdzielnia sama wysyła swoich ludzi po zakup surowca i szuka dróg zbytu. Wiele jej wyrobów idzie na eksport przez Hongkong. Rzeźby z kości słoniowej zakupują władze centralne, które później troszczą się o ich rozprowadzenie.

W wielkich sklepach Pekinu i innych miast oraz na wystawach tłok przy gablotach z daleka zapowiada, że można w nich obejrzeć wyroby z kości słoniowej. Widywałem sztuki maleńkie, pokryte pismem o znakach tak mikroskopijnych, że bez szkła powiększającego niepodobna było ich odczytać. Ale sztuki najokazalsze, całkowicie rzeźbione kły, widziałem tylko w szanghaj-skiej spółdzielni.

W RAJU
ZIEMSKIM

Wniebie raj, a na ziemi Suzhou i Hangzhou" - głosi bardzo stare przysłowie chińskie.

Suzhou, które uchodzi za chińską Wenecję, widziałem po drodze z Nankinu do Szanghaju. Z sześciu tysięcy kamiennych mostów, które podziwiał Marco Polo, zauważyłem tylko jeden. Był istotnie wysoko sklepiony, prawie ostrołukowy i „galery” swobodnie pod nim przepływały. Pomimo tych zgodności i pomimo tego, że rzuciłem okiem tylko na przedmieścia, skłonny jestem podejrzewać znakomitego podróżnika o przesadę. Któż mi zaręczy, że on te mosty tak już dokładnie policzył?

Do sceptycyzmu skłoniły mnie obserwacje poczynione w Hangzhou, którego nazwa — zdaniem Marca Polo - „wyklada się miasto nieba, gdyż nie ma ono sobie równego w świecie ani nie masz, w którym znalazłbyś rozkoszy tyle, że człek sądzi się w raju”.

Od południa pod miastem — pisze dalej Marco Polo - leży jezioro mające trzydzieści mil obwodu. Nad nim wznoszą się piękne i liczne pałace oraz piękne domy szlachty i panów tak wspaniale zbudowane, że nie mogłyby być lepiej rozplanowane i ozdobione. Poza tym znajdują się tam liczne opactwa i klasztory bałwochwalców, których liczba jest ogromna. I to wam jeszcze powiem, że na środku jeziora są dwie wyspy, a na każdej z nich pałac przedziwny, bogaty, tak wspaniały, że wydaje się pałacem cesarskim, tyle w nim komnat i sal, aż uwierzyć trudno. I gdy ktoś chce urządzić wesele albo inną jakąś ucztę, udaje się do tego pałacu... i znajduje tam wszystko gotowe, czego tylko

potrzeba do przyjęcia... Zdarza się czasem, że naraz i stu ludzi chce wydać przyjęcie czy wesele, a jednak wszyscy znajdą pomieszczenie w rozmaitych komnatach i galeriach, w takim porządku, że jedno towarzystwo drugiemu nie przeszkadza...

Zwykłemu śmiertelnikowi niewygodnie i nawet niebezpiecznie się spierać z imię Markiem Polo, który w Chinach awansował niezwykle wysoko i w jednej ze świątyń Kantonu zasiada na honorowym miejscu, tuż przy ołtarzu, rozpoczynając szereg pięciuset złożonych figur tamtejszych świętych. Szacunek dla prawdy zmusza mnie jednak do walki z własnym onieśmieleniem oraz do zgłoszenia pewnych zastrzeżeń.

Na Jeziorze Zachodnim (które istotnie jest „słodkowodne”, ale bynajmniej nie przezroczyste, lecz całkiem mętne) są trzy wyspy - wszystkie sztuczne, usypane na rozkaz rozmaitych cesarzy. Najmłodszą zbudowano za ostatniej dynastii, Qing, w długi czas po zgonie uczonego Italczyka i nie liczba ich jest w tej chwili przedmiotem sporu. Odważam się wątpić o jednym tylko, o tym mianowicie, czy naprawdę na każdej z nich mogło się jednocześnie odbywać sto wesel lub innych bankietów.

Łódź przybiła do kamiennego nabrzeża najdalej w jezioro wysuniętej i najstarszej wysepki, która istnienie swe zawdzięcza władcom z dynastii Song. Marco Polo na pewno tu był. Przyjechał przecież wkrótce po detronizacji tej rodziny, kiedy w Chinach rządziła już mongolska familia Yuan, wywodząca się od Dżyngis-chana.

Nie wiem, czy termin „wyspa” nadaje się na określenie tego, po czym depczę. Jest to raczej sztuczny kamienny atol, którego laguna jest z kolei pocięta i pokratkowana innymi tamami z granitu. Nie brakuje i mostka o dziewięciu prostokątnych załamaniach, altan, sterczących z wody skał o kształtach lwów i smoków, a także drzew rosnących na wąskich groblach. Wszystko razem jest spore, ale uczujące tłumy nie zmieściłyby się na pewno.

- Cesarz chciał mieć na jeziorze sztuczną wyspę, a na niej jeszcze sztuczne jezioro i na nich znowu wysepki — objaśnia Huang.

Przyznam się, że mi te wszystkie wymysły i sztuczności zaczęły tego psuć nerwy. W ich wynaturzonym otoczeniu wspomnienie o surowej celowości budowli romańskich działało jak łyk świeżego powietrza.

Opodal południowej grobli wystawały z wody trzy kamienne figury, przypominające wielkie pionki szachowe. W ich wybrzuszonych czerniały okrągłe otwory. Były to cesarskie lampiony. W wydrążonych wnętrzach można ustawić latarnie i zalepiwszy owe okrągłe luki kolorowym papierem, w bezksiężycową noc podziwiać grę światła na fali.

Na razie był jednak pochmurny i dość zimny dzień. Wzdłuż grobli, mozolnie walcząc z falą, płynęła łódź kopiasto wyładowana ziemią i kamieniami. Wiosłowały dwie kobiety. Te sztuczne wyspy trzeba ciągle umacniać i naprawiać, bo woda niszczy nabrzeża.

Od setek lat poeci opiewają uroki Hangzhou. Ostatnia cesarzowa Chin, odbudowując po europejskim pogromie pekiński Pałac Letni, wysłała tu na specjalne studia malarzy, którzy później fragmentami tego pejzażu zdobili tamtejszą galerię, długą na siedemset metrów.

Przyjechałem w zimie, kiedy niektóre drzewa straciły liście i krajobraz zubożał w barwy. Pomimo to nie mogłem się dość napatrzeć jezioru, które z trzech stron otaczają wysokie wzgórza, czwartą zaś zamyka widok miasta. Na wiosnę i w lecie, kiedy wszystko zazielenieje i zakwitnie, musi tu być naprawdę pięknie. I w grudniu zresztą pełno smętnego uroku, zwłaszcza w okolicach „licznych opactw i klasztorów bałwochwalców, których liczba jest ogromna”.

Zwiedziłem ich sześć, z daleka pokazano mi jeszcze kilka.

Mówią ludzie, że w świątyni Lingyin trzeba oglądać ją samą, w Qing Lian - ryby w sadzawkach, a w Huang Long Dong, czyli w Pieczarze Żółtego Smoka - widoki. W Świątyni Leżącej Tygrysy - dodaję od siebie - należy się koniecznie napić herbaty, która jest tam podobno najlepsza w Chinach, i obejrzeć sztuki z wodą.

Zawiera ona dużo soli mineralnych czy innych substancji i jest ogromnie spoista. Stawiają przed wami filiżankę nalaną po brzegi i ostrożnie wpuszczają do środka monety. Po pewnym czasie woda się wydmie, utworzy nad krawędziami z lekka wypukłą czapeczkę, ale się nie przeleje.

Świątynię Yue Feia, położoną w samym mieście, powinni - dla utwierdzenia się w wierze — oglądać przede wszystkim pa- cyfiści oraz antimilitaryści. Przekonują się tam bowiem, że generał może mieć roszczenia naprawdę niebezpieczne, zostać nawet bogiem i wraz z całą bliższą i dalszą rodziną zasiadać na ołtarzach, odbierając cześć religijną.

Yue Fei to postać najzupełniej historyczna, zasłużony wódz, który bronił niepodległości kraju przed najeźdźcami z północy i w roku 1141 został zgładzony przez spiskowców. Świątynię postawiono w następnym stuleciu. Na jej terenie mieści się również grób bohatera oraz jego syna. Właściwie jest to cały cmentarz przeznaczony tylko dla nich dwóch i ozdobiony aleją z kamiennych posągów. Można tam zobaczyć spróchniały pień drzewa, pod którym skonał Yue Fei. Najciekawsze jest jednak co innego - po obu stronach bramy klęczą kamienne podobizny zdrajców, którzy uśmiercili herosa. Zbrodniarzom towarzyszą w hańbie... ich żony.

Uważnie się przyglądałem zatartym przez czas posągom, przedstawiającym obnażonych do pasa ludzi z rękami skrepowanymi z tyłu. A może to i dobry sposób? Skoro się pomnikami czci zasługi, to można by nimi także piętnować przestępstwa. I kto wie, czy ta druga metoda nie byłaby skutecznym środkiem pedagogicznym, czyby nie ostudzała nadmiernych ambicji? Szczególnie rozumne i przewidujące wydało mi się to, że na cmentarzu ustawiono nie tylko wizerunki wiadomych mężów stanu, lecz także ich małżonek. Nie lada mędrcom był ten, który to wymyślił.

W każdym razie pomniki zbrodniarzy wywarły na mnie bez porównania silniejsze wrażenie od posągów ofiary zdołających ołtarze.

Świątynia Liuhe leży trochę za miastem, ale warto się tam pofatygować. Nie tyle zresztą dla niej samej, co dla widoków. Pierwszą świątynię zbudowali w tym miejscu Songowie w roku 970. Obecna kilkupiętrowa pagoda, wysoka na pięćdziesiąt dziewięć metrów i stojąca w dodatku na wyniosłym brzegu, pamięta rok 1900 zaledwie i nie jest zbyt ciekawa. Ale można wejść na sam szczyt i podziwiać urocze Wzgórza Pięciu Obłoków. Albo - przeszedłszy na drugą stronę kolistego balkonu - patrzeć na majestatyczną rzekę Qiantang Jiang i liczne łodzie na niej, których pokłady widać z tej wysokości jak z samolotu.

W dzień, w czasie odpływu, rzeka podlegająca oddechowi morza nieco się zwięża i odsłania przy brzegach pasy ciemnego mułu. Po zachodzie słońca staje się perłowa i błękitna, a prostopadłe żagle dżonek wydają się czarne.

Przecina ją nowoczesny most, którego górny poziom służy samochodom, dolnym zaś przechodzi tor kolejowy na Kanton. Zapytałem naturalnie o datę jego budowy i dowiedziałem się, że stanął w latach 1935—1937, a konstruktorem był inżynier Mao Yisheng, obecny dyrektor Instytutu Badawczego Kolejnictwa.

Muszę otwarcie wyznać, że pytania o daty budowy rozmaitych co ciekawszych rzeczy zadawałem we wszystkich miejscowościach Chin, jakie odwiedziłem, czyniąc to nie tylko przez ciekawość, ale z pewną chytrą premedytacją. Taki już jest podły los reportera, który zawsze i wszędzie musi uważać, czy nie robią zeń tuby propagandowej. Jeśli — kombinowałem sobie - ciągle mi będą mówić: „Tak, to myśmy wybudowali”, to znaczy, że chcą mnie bujać. Nie znając języka, nie mogę sam niczego sprawdzić, ale rewolucja zwyciężyła tu zaledwie przed siedmiu laty, nie ulega zaś wątpliwości, że wiele nowoczesnych urządzeń stanęło dawniej.

W rezultacie nabrałem zaufania do rzetelności informacji, i to we wszystkich zwiedzanych miastach. Bo w każdym z nich nieraz słyszałem odpowiedź: „Nie, to zbudowano jeszcze przed oswoobodzeniem”.

Zaufanie do rozmówców było koniecznie potrzebne, bo czasami opowiadano mi o sprawach, które w zestawieniu z naszymi praktykami lat ostatnich sprawiały wrażenie bajki o żelaznym wilku. Z jedną taką spotkałem się w Hangzhou.

Już w czasach Marca Polo słynęło ono z jedwabiu i do dzisiaj uchodzi za stolicę Chin w tym względzie. Pilnie obejrzawszy tkaniny wystawione na sprzedaż w dużym kiosku hotelowym, zapragnąłem obejrzeć fabrykę, która leży w samym mieście. Jej bardzo czyste wysadzane zielenią podwórza świadczą o kulturze gospodarzy i usposabiają przychylnie. Ale najbardziej zainteresowało mnie co innego. Od roku 1954 fabryka ta należy do przedsiębiorstw państwowo-prywatnych.

Założono ją w 1922 roku. Miała pięćdziesięciu sześciu robotników. W końcu roku 1956 było ich tysiąc dziewięćset siedemdziesięciu, na rok następny przewidziany jest dalszy wzrost załogi aż do liczby dwóch tysięcy czterystu ludzi.

Dyrektora zakładu mianował rząd. Jest to były pracownik jakiejś instytucji państwowej. Pomaga mu sześciu wicedyrektorów. Trzej z nich to byli kapitaliści. Jest wśród nich i eks-właściciel tej właśnie fabryki, który oprócz pensji otrzymuje procent od kapitału włożonego dawniej w przedsiębiorstwo.

Wy tłumaczono mi przykładowo, jak to wygląda. Wyobraźmy sobie, że jakiś eks-rekin włożył w fabrykę dwieście sześćdziesiąt tysięcy juanów. Obecnie, to znaczy utraciwszy tytuł krwio pijcy i ciemności, zachowawszy za to możliwość pracy w swojej specjalności, otrzymuje od rządu trzysta tysięcy juanów rocznie jako procent.

Sądzę, że wiadomość ta może zdolna jest zrujnować zdrowie niektórym naszym teoretykom, wiernym starobiblijnej zasadzie: „Nic skażonego nie śmie wejść do służby bożej”. Chcąc kojąco oddziaływać na ich nerwy, śpieszę dodać, że podejrzanie wolno-myślny i tolerancyjny Pekin wypłaca owe procenty nie jednorazowo, lecz w czterech ratach.

Ogółem fabryka zatrudnia dwudziestu czterech byłych kapitalistów. Trzej z nich, jak już wiemy, to wicedyrektorzy. Ośmiu

jest naczelnikami oddziałów, takich na przykład, jak: finansowy, planowania i tak dalej, lecz zawsze według specjalności. Dalszych pięciu to p.o. naczelnicy, pozostali zaś pracują jako robotnicy.

Z przedstawionych faktów wynikać się zdaje wniosek, że w Chinach kwalifikuje się teraz człowieka nie według tego, co dawniej robił, lecz według tego, co umie i jest wart.

Rozmówcy moi musieli coś słyszeć o sławetnym pryncypiali-zmie — tak to nazwijmy — jaki cechuje sposób myślenia władarzy niektórych krajów europejskich. W udzielanych mi informacjach wyczułem bowiem ton łagodnej perswazji czy chęci wytłumaczenia omawianych zjawisk, całkiem zresztą prostych.

— To są byli kapitaliści - mówiono, kładąc nacisk na słowo „byli”.
- A człowiek, jak sami głosimy, się zmienia.

Fakty i cyfry, które wymieniano, świadczyły, że tak wielka liczba pracowników z „haczykami” nie doprowadziła fabryki do upadku. Wydajność pracy wzrosła sześciokrotnie, ilość wyrobów o czterdzieści procent. Zarobki wynoszą od czterdziestu jeden do stu siedemdziesięciu juań miesięcznie, średnio — sześćdziesiąt siedem juań i pięć mao. Przy zakładzie jest szpital, żłobek, ogródek jordanowski i biblioteka. Ciężarna kobieta korzysta z pięćdziesięciu sześciu dni urlopu macierzyńskiego. Niewiasta, która ukończyła pięćdziesiąty rok życia, może przestać pracować, zachowując prawo do siedemdziesięciu procent uposażenia. Mężczyznom przywilej ten przysługuje po ukończeniu sześćdziesięciu lat.

Techniczne wyposażenie fabryki - zdaniem moich informatorów — jest w znacznej mierze przestarzałe. Dopiero część warsztatów, dzięki ulepszeniom lat ostatnich, korzysta z napędu elektrycznego. Dawniej wszystko wykonywano ręcznie.

Baśń o żelaznym wilku skończona. Zanotowałem dane dotyczące ciekawej organizacji fabryki i duch się we mnie skurczył, przychodziła bowiem kolej na omawianie jej produkcji. Słyszałem o niej już od dawna, oglądałem gotowe wyroby, których oprawne w ramy egzemplarze wisiały na ścianach pokoju, gdzie

mnie przyjmowano. Były to maszynowo haftowane portrety wybitnych mężów stanu oraz pejzaże. Jedne z tych podobizn były czarno-białe, inne barwione. Pejzaże stanowiły przeważnie naśladownictwo malarstwa olejnego, i to tej jego odmiany, która ma niewiele wspólnego ze sztuką, sporo za to z oleodrukiem.

Istota rzeczy polega tu zresztą na kopiowaniu. Widziałem ludzi — na pewno zdolnych, może nawet utalentowanych — którzy z benedyktyńską cierpliwością przerysowywali na milimetrym papierze to, co figurowało na specjalnie w tym celu pokratkowanych odbitkach fotograficznych. Inni zajęci byli barwieniem czarno-białych, seryjnie haftowanych obrazków. Patrzyłem, jak żółty kolor pomąłu pokrywa korpusy dwóch lwów i jak się zaczyna pysznić purpura lampas na spodniach Józefa Stalina.

I takie rzeczy, będące najbardziej chyba idealnym zaprzeczeniem tego, co się zawiera w pojęciu sztuki, wyrabia kraj, który posiada odwieczne i ciągle żywe tradycje haftu ręcznego. Na wystawie sztuki ludowej w Nankinie widziałem stroje ludowe, kapy i makaty wykonane przez zwykłe wieśniaczki, zrzeszone w pomocniczych zespołach spółdzielni produkcyjnych. Były naprawdę godne starych haftów z prowincji Henan albo świetnych okryć z doby ostatniej dynastii, które w nankińskim muzeum — dla ochrony przed słońcem — wiszą za specjalnymi kurtynami.

Fabryka w Hangzhou wyrabia również bardzo ładne tkaniny odzieżowe z jedwabiu naturalnego i sztucznego. Czemuż nie obraca wszystkich sił na rozwinięcie tej gałęzi produkcji, czemuż się para haftowaniem kopii fotografii? Ano pewnie i dlatego także, że popyt na nie jest nie lada jaki. Większe partie towaru zamawiają i kupują: Korea, Wietnam, Niemiecka Republika Demokratyczna, Wielka Brytania, Związek Radziecki, Indie oraz Czechosłowacja. Polska też coś niecoś nabywa, a kto by o tym wątpił, ten niech się pilnie rozgląda po ścianach warszawskich urzędów, gdzie od czasu do czasu można zauważyć haftowaną podobiznę Marksa lub Engelsa. Cierpkich uwag zawartych w tym rozdziale nie kieruję więc tylko pod adresem Chińczyków.

Wystawy tych haftów odbyły się w wielu krajach i miastach, między innymi w Warszawie, Moskwie i Londynie.

Księga pamiątkowa fabryki zawiera entuzjastyczne uwagi wpisane w języku francuskim, niemieckim, rosyjskim (a pewnie i w innych, których nie rozumiem). Natrafiłem również na dwie polskie adnotacje. Jedna pochodziła od grupy inżynierów, drugą wpisał profesor Stanisław Hiickel z Politechniki Gdańskiej. Obie były bardzo grzeczne i pełne uznania dla... organizacji oraz technicznych urządzeń zakładu.

Artystyczna tandeta zalewa Chiny. Pisałem już o tym oraz o niewątpliwej, moim zdaniem, winie Europy, która w cieniu techniki przemysła ogromnie podejrzanego pojęcia o pięknie. Przekonać się o tym można już w Pekinie. Po drodze z lotniska do śródmieścia mijają się gmachy wystawowe zbudowane przez architektów radzieckich w „stylu” zupełnie potwornym, ale na szczęście niewysokim. Drugi taki okaz, znacznie niestety wyższy, przyozdabia samo centrum Szanghaju. Jeśli więc wziąć pod uwagę jeszcze i Ułan Bator, o którego dworcem lotniczym już wspominałem, to stwierdzić wypadnie, że okres tak zwanego komenderowania sztuką - a mówiąc mniej grzecznie, lecz za to ściślej: okres jej haniebnej niewoli — nie przeminął bezkarnie. Aż nazbyt widoczne, namacalne i na razie przynajmniej nieusuwalne ślady znać na przestrzeni od Morza Wschodniochińskiego aż za Wisłę. W linii prostej wyniesie to przeszło siedem tysięcy kilometrów (nie jestem jednak pewien, czy i w kierunku Łaby jeszcze czegoś nie ma). Interesujące, że architektura, która miała być „narodowa w formie”, i w Szanghaju, i w Ułan Bator, i w Warszawie jest mniej więcej ciągle taka sama.

Nie chciałbym jednak upraszczać sprawy. Przyczyn złego może być wiele. Łatwo się zachwycać dziełami starej sztuki i biadać nad nędzą tego, co dzisiaj udaje arcyzm. Warto pamiętać, że tamto piękno służyło wąskiemu kręgowi ludzi, którzy dziedziczyli kulturę po przodkach. Same ich domy, opasane murami, frontami otwartych galerijek obrócone ku ślicznym

wewnętrznym ogródkom, świadczą, że ci, co w nich mieszkali, tworzyli środowiska niewielkie, zamknięte i odgródzone od otoczenia. Nawet w głuchej wiosce pod Kantonem w domku obszarnika widziałem ciekawe płaskorzeźby kamienne i malowidła. Widziałem, bo brama domostwa mieszczącego dziś klub spółdzielni stała otworem dla każdego. Dawniej było zupełnie inaczej.

Rozpowszechnienie kultury oznacza między innymi, że wielomilionowy tłum zaczął sięgać po to, co jemu w danej chwili wydaje się piękne. A ponieważ od niedawna tak się dzieje i nikt dotąd nie zbałał praw rządzących tymi zjawiskami społecznymi, więc najroztropniej będzie powstrzymać się od wyrokowania i zapisywać raczej fakty.

Do niewątpliwych faktów zalicza się żywe poczucie piękna u ludu chińskiego. Świadczą o nim nie tylko wyroby rzemiosła artystycznego, które można oglądać na wystawach. Jeszcze lepszy dowód stanowią przedmioty najbardziej codziennego użytku, jak maty do wyścielania podłóg, pokładów łodzi i najprostsze meble, sporządzone z niezawodnym wyczuciem formy oraz możliwości materiału. Sądzę więc, że już w tej chwili rozstrzyga się kwestia decydująca o przyszłości sztuki w Chinach. Chodzi o to, co przeważa - rodzime tradycje, skłonności i zamiłowania czy też wzory... importowane.

Każdy turysta poświęca wiele czasu na podziwianie dachów chińskich zabytków, które pod różnymi szerokościami geograficznymi wyglądają rozmaicie. Na północy linie są spokojniejsze, rogi lekko podgięte i ozdobione rzędami siedzących przeważnie potworków. Na południu spiczasty narożnik gwałtownie się wygina ku górze, wyniosły grzbiet dachu zdobią lustra, kolorowe szpice i majolikowe sylwety ryb stojących na szczykach i zadzierających ogony w niebo. A ponadto jeszcze barwne postacie ludzkie o dramatycznych gestach. Jedno tylko i tu, i tam jest wspólne: sposób krycia dachówką na przemian wklęsłą i wypukłą.

W Pekinie rozmawiałem na ten temat z Janem Zamoyskim. Okazało się, że niezależnie od siebie doszliśmy do jednakowego wniosku. Pierwowzorem dachów świątyń i pałaców cesarskich były pewnie zwykle domy drewniane, kryte łupanym bambusem.

Stara architektura chińska nie była towarem importowanym.

W nadmorskiej wiosce Xiepu zdarzyło mi się coś, w czego prawdziwość nigdy bym nie uwierzył, gdybym na własne oczy nie widział. Poszedłem tam po prostu do „sławojki” przy gmachu gminy. Dwa sedesy miały drewniane pokrywy, ustawione ukośnie, rzeźbione w ryby oraz motyw roślinny i malowane. Dokładnie sprawdziłem, że jedna była rzeźbiona na górnej powierzchni, druga na dolnej. Ornament był stary, splekany.

Widywałem również polichromowane płaskorzeźby na łodziach, mianowicie na oparciu ławeczki sternika.

Spotykałem zwykłych chłopów, niosących kosze, wiadra i garnki o kształtach, a nieraz i kolorach skończenie pięknych.

We wszystkich miastach, które odwiedziłem, mówiono mi, że w dziedzinie rzemiosła artystycznego popyt o wiele przerasta podaż.

Bez wątpienia potężny jest potencjał, z którego wyrosnąć może nowa, niebędąca martwym tradycjonalizmem sztuka Chin. Jej przyszłość zależy chyba od ram, jakie stworzy nowy rozdział historii tego kraju. Z doświadczenia już wiadomo, że sztuczny import i komenda uśmiercają sztukę.

Hangzhou znakomicie się nadaje do rozważań o tym, jak bardzo charakter okresu dziejów odbija się na twórczości kulturalnej i artystycznej. W licznych i pięknych zabytkach tego miasta nie znać ani majestatu, ani potęgi. Do dziś zdaje się je owiewać wdzięk słabości, urok prawdziwie jesienny.

Hangzhou było stolicą Chin w okresie poniżenia i upadku, zakończonym podbojem państwa i katastrofą.

W roku 960 objęła rządy dynastia Song. Intronizacja miała przebieg dość niezwykły: pijani żołnierze ubrali swego dowódcę

w żółty płaszcz władcy i ogłosili go cesarzem. Poprzednia epoka w dziejach Chin też nie była wspaniała. Zowie się ona okresem „pięciu małych wieków”¹ (907-960), w czasie którego wstąpiło i zleciało z tronu pięć dynastii.

Songowie utracili wkrótce całą północ państwa, podbitą przez plemiona Kitanów, Tangutów oraz Kinów i zmuszeni byli przenieść stolicę do Hangzhou, położonego na południe od rzeki Jangcy, której nie mogły przebyć konne wojska barbarzyńców. Dokonali tego dopiero Mongołowie. W 1275 roku wysłany przez Kubilaj-chana wódz Bajan zdobył Hangzhou i w pełni się zastosował do mądrych wytycznych polityki mongolskiej. Pokonanych nie tępią, nawet nie prześladowano. Ale aż do roku 1368 panowała w Chinach obca dynastia Yuan, którą pozbawili władzy dopiero Mingowie, znowu reprezentujący element narodowy.

Ostatni władcy z dynastii Song utrzymywali się przy władzy tylko dzięki haraczom składanym silniejszym sąsiadom, a grzecznie zwanym podarkami. Ale w dziedzinie kultury epoka ta należy do szczególnie świetnych. Wszystko, co wtedy powstało, cechuje subtelny intelektualizm. W sztukach plastycznych — zwłaszcza w malarstwie — znać wyraźnie tendencje mistyczne. Ówczesny neokonfucjanizm głosił, że wszelka niedoskonałość pochodzi z niedostatecznej znajomości wszechrzeczy, a przezwyciężyć ją może tylko rozmyślanie, albowiem istotą życia jest zasada etyczna, jednoznaczna z rozumem.

Tak politycznej słabości państwa towarzyszył rozkwit wyrafinowanej kultury, której urokom szybko ulegali mongolscy zdobywcy kraju. Sam Kubilaj-chan był już głęboko zsinizowany. Lecz jurny Europejczyk Marco Polo słabo się rozumiał na subtelnościach. Odszukał w Hangzhou jakiegoś starca, który mu powiedział o wspaniałym pałacu, haremie pełnym „panien” i o cesa-

¹ Przyjęte dziś nazewnictwo dla tego okresu to Epoka Pięciu Dynastii i Dziesięciu Królestw.

rze: „Niekiedy w towarzystwie królowej lub kilku owych panien wypływał dla rozrywki na jezioro łodziami wyścielanymi jedwabiem, a czasem płynął odwiedzić świątynie bogów...". Kiedy indziej zabawiał się w ogrodach seraju.

Tam gonitwy z psami, tam łowy na wszystkie zwierzęta; panny zmęczone do gajów wchodziły, nad jeziorami odpoczywały, tam szatki zrzuciwszy, nagie w wodę wstępowały i pływały jedne w tę, inne w tamtą stronę. Zaś król z największą rozkoszą przyglądał się temu... I tak na ustawicznych zabawach z niewiastami trawił czas, nie wiedząc, co to jest rzemiosło wojenne. I to było przyczyną, że Wielki Chan, dla zniewieściałości jego i gnuśności, zabrał mu państwo ku wielkiemu jego wstydowni i hańbie.

Z ogrodów haremu nie ma już ani śladu, wstyd i hańba dawno zwietrzały, ale można jeszcze w Hangzhou oglądać pamiątki po tej epoce, pełnej smutnego wdzięku.

Koło świątyni Lingyin, u stóp stromej skały pokrytej drzewami... i rzeźbą, jest niewielki stawek, podobny raczej do naturalnego rozlewiska. Pośrodku bije fontanna Songów. Nad nieruchomą powierzchnią wzdyma się bańka wody, przypominająca polne źródło. Jest tak mała, że wszedłszy w płytki staw, mógłbym ją chyba przykryć złożonymi dłońmi. Melancholijny wodotrysk słabych cesarzy nie wydaje szmeru. Tylko w skałach lekko szumi krynica.

Spomiędzy krzaków i drzew porastających stromiznę kamiennego zbocza wyzierają mądrze i wyrozumiale uśmiechnięte oblicza bóstw indyjskich. Ta góra to istne sanktuarium umarłych wierzeń. Rzeźbione postacie nadnaturalnej wielkości pokrywają jej powierzchnię, w pieczarach są mroczne kaplice. I tam także na podwiniętych nogach, z rękami złożonymi na kolanach zasiadają tysiącletnie posągi.

Górze tę, na której miejscu leżała dawniej wioska, bogi przeniosły powietrzem aż z Indii. Tak przynajmniej głosi miejscowa legenda. Pewien mądry mnich wiedział, co ma się zdarzyć,

i chciał ratować ludność osiedla, lecz nie wolno mu było zdradzić tajemnicy. Krytycznego wieczoru we wsi odbywało się wesele, na które przybyli wszyscy mieszkańcy. Mądry mnich wtargnął tam w przebraniu, porwał pannę młodą i zaczął uciekać. Wszyscy dobrzy zaraz się ujęli za krzywdą oblubieńca, wypadli zza stołów i rzucili w pogoń. Ale cóż to wszystko mogło obchodzić złych? Zostali na miejscu, jedząc i pijąc. Nadlatująca góra pogrzebała ich żywcem.

W jednej z pieczar kaplic, gdzie na ołtarzu widnieje posąg niebianina, przewodnicy każą pilnie przyglądać się sklepieniu. Pokręciwszy trochę głową, można naprowadzić oko na mały otvorek, przez który widać światło dnia. Draży on skałę aż do samego szczytu i wydaje się tak niewielki, że dałoby się chyba zatkać go pięścią.

Za bardzo dawnych czasów żyć miała w Hangzhou wielce się miłująca para. Zły magnat porwał dziewczynę i uwięził ją w tej jaskini. Chłopiec wkrótce „umarł z żalości”. Przemieniony w ptaszka krążył wokół góry, słyszał płacz lubej, ale był bezradny. W końcu zaczął kuć skałę dzióbkiem i po wielu latach wydrążył ów otvorek, istniejący do dziś. Ale dziewczyna nie mogła się tamtędy precyzyjnie. Dopiero po śmierci, kiedy bóstwa i ją także przemieniły w ptaka, wyfrunęła na wolność i połączyła się z wiernym kochankiem.

Hangzhou jest całe oplecione legendami. I podobno wszystkie one w ten czy w inny sposób opiewają uczucie miłości.

Jedna z nich, zwana Baśnią o Białej Żmii, dostarczyła nawet wątku do sztuki dramatycznej granej w całych Chinach.

Owa żmija żyła na wyspach Jangcy, lecz mogła przybierać postać kobiety. Przemieniona lubiła spędzać czas w Hangzhou. Kiedyś podczas spaceru nad jeziorem zaskoczył ją deszcz, a los zdarzył, że właśnie nie miała parasola. Skorzystała więc z uprzejmości spotkanego młodzieńca, który osłonił ją swoim i odprowadził do domu (ten fragment legendy jest na wskroś realistyczny; Chińczycy bardzo nie lubią moknąć — nawet oficerowie, jak

już wspominałem, używają parasoli, na polach widuje się dzieci wędrujące do szkół koniecznie z parasolami, nie zapominają o nich i wieśniacy). Ze spotkania tego wynikły: miłość, małżeństwo i dzieci. I wszystko by było dobrze, gdyby nie zły mnich, który przejrzał tajemnicę i zdradził mężowi, że żona co roku piątego maja musi się przedzierzgnąć w żmiję i dlatego na ten dzień wyjeżdża lub się odosabnia. Małżonek się przeraził, ale nie zdradził uczucia. Nawet i wtedy się nie ugiął, kiedy go zły mnich uwięził. Za to między Białą Żmiją a niegodziwym kapłanem roz-gorzała walka, która dzięki czarom poruszyła niebo i ziemię. Ona zatopiła świątynię mnicha, lecz on dopadł swej przeciwniczki w górach, zagrzebał ją w ziemi i nad grobem wznosił pagodę, która dopiero po latach runęła podmyta łzami syna Białej Żmii.

Nie wiem, jak tę ostatnią wiadomość pogodzić z faktem, o którym mi opowiadano, a mianowicie, że pagoda związana z tą legendą jeszcze niedawno temu stała w okolicach Hangzhou. Zostawmy to jednak w spokoju. Wielki Mur Chiński także tylko w baśni runął od łez skrzywdzonej kobiety.

Inny pomnik do dziś stoi w Hangzhou i wolno przypuszczać, że opowieść, którą on właśnie zamyka, już nie jest legendą. Bohaterką zdarzeń jest Su Xiaoxiao, która żyła za Songów. Xiao-xiao znaczy po chińsku: maleńka.

Miłość jej do pewnego młodzieńca zaczęła się na mostku Złota Wstążeczka, który istnieje jeszcze teraz. Oblubieniec wywodził się niestety z rodziny bardzo dostojnej. Rodzic kazał mu porzucić Hangzhou i wracać na dwór cesarski, gdzie czekała go wysoka godność.

Osamotniona Xiaoxiao żyła w rozpacz i po pewnym czasie wyszła za mąż, co jej jednak nie ukoilo. Błądząc kiedyś nad jeziorem, przez okno biednego domku zauważyła smutnego chłopca. Wyszło na jaw, że boleść jego miała źródła całkiem prozaiczne. Brakowało mu po prostu pieniędzy na przygotowanie się do egzaminów państwowych.

Wzruszona jego smutkiem Xiaoxiao postanowiła dopomóc mu z własnej kiesy. Młody człowiek zwycięsko przebrnął przez arcytrudny egzamin. Jako urzędnik wysokiej rangi powrócił do Hangzhou, chcąc się odwdziaczyć dobrodziejce. Ale już jej nie zastał przy życiu.

— A oto jest jej grób — powiedział Huang, który tak widocznie wymierzał opowiadanie, żeby zakończyć przy samym pomniku.

Mogiła wygląda jak niewysoki, pionowy walec obmurowany kamieniem i przykryty obłą czapą z szarej, wypalanej i polerowanej gliny. Wznosi się wewnątrz niedużej altany, której dach jest również szary. Tylko czerwone kolumnienki i złote hieroglify na nich, biegnące pionowo, błyszczą jaskrawymi kolorami.

Grób stoi tuż przy chodniku, obok mostka wiodącego na wysepkę. Mieszkańcy miasta zżyli się z nim widać i traktują zabytek swojsko. Jakaś dziewczyna zbacza z chodnika, opiera nogę o krawędź mogiły i poprawia sznurowadło.

Parę lat temu pewien dziennikarz zażądał zburzenia grobowca Su Xiaoxiao. Głosił, że ludowemu państwu nie potrzeba starych mogił, które sterczą na wybrzeżu jeziora przed samym podjazdem reprezentacyjnego hotelu.

Opinia publiczna była jednak zdania wręcz przeciwnego. Grobowiec Małejkiej ocalał i obecnie nic mu już nie zagraża.

SKRA
J
LAĐU

W Hangzhou doszło nareszcie do decydującej rozmowy w sprawie, o którą się zacząłem dobijać jeszcze w Polsce. Chciałem mianowicie zobaczyć chociażby skraweczek chińskiego wybrzeża w jakimkolwiek zapadłym kącie. Już w Warszawie zgłosiłem tę prośbę za pośrednictwem Związku Literatów. W Pekinie powiedziano mi, że to się da załatwić w Szanghaju, tam znów, że w Hangzhou. A tutaj wylazło sztydło z worka i okazało się, że sprawa wcale nie jest prosta.

Siedzieliśmy w niezwykle wielkiej sali restauracyjnej miejscowego hotelu, za pomocą pałeczek pochłaniając rybę z jeziora, która ma to do siebie, że wolno ją gotować najwyżej trzy minuty, bo straci smak. W głębi za zsuniętymi stołami ucztowała liczna wybieczka z Mongolii Wewnętrznej. Nad lśniącoymi obrusami pochylały się ciemne, odkryte głowy kobiet i lisie kołpaki oraz białe, szerokoskrzydłe kapelusze mężczyzn, którzy tak samo jak Tybetańczycy nosili barwne opończe na kształt tóg rzymskich.

Oprócz Huanga Kepinga biesiadował ze mną Lin Shifu, sekretarz związku pracowników kultury i literatury w prowincji Zhejiang, która liczy tyłuż mieszkańców, co cała Polska. Był to człowiek zupełnie jeszcze młody, co mu nie przeszkadzało pamiętać okupację, własny udział w walce podziemnej oraz starszego brata, zamordowanego przez Japończyków. Chińczycy w ogóle są bardzo opanowani, lecz on i wśród nich zdawał się wyróżniać tą cnotą. Wyglądał na takiego, co jednego słowa bez rozwagi

na wiatr nie puści. Jego ciemne oczy spoglądały przenikliwie, ale nie bez życzliwości. Był poza tym człowiekiem w rozmowie niebezpiecznym: wiedział, jakie większe jednostki morskie wodowały polskie stocznie, i dopytywał o produkcję Żerania w ostatnim roku. Błogosławiłem chwilę, w której włożyłem do walizy „Rocznik Statystyczny”.

On właśnie powiedział mi bez ogródek, że nad morzem wciąż jeszcze bywa niebezpiecznie.

- Ponosimy pełną odpowiedzialność za naszych gości - wyjaśnił, dodając wzmiankę o wysoko postawionym pisarzu węgierskim, który parę lat temu daremnie usiłował się dostać na wybrzeże.

Prawie straciłem nadzieję, ale powiedziałem, że wszelkie skutki, jakie dla mnie osobiście mogłyby wyniknąć z wyprawy, biorę na siebie i gotów jestem zaraz podpisać cyrograf.

Nazajutrz Huang zjawił się w moim pokoju o siódmej trzydzieści, czyli na pół godziny przed umówionym terminem.

- Pojedziemy do Ningbo — oświadczył najspokojniejszym w świecie tonem, jakby w ogóle nie było poprzednich pertraktacji. - Tam przenocujemy i zwiedzimy w okolicy wioskę rybacką.

Przed podjazdem zamiast naszej warszawy stał silny angielski landrover. Oprócz Huanga Kepinga, Lin Shifu, szofera i niżej podpisanego wsiadło doń jeszcze dwóch młodzieńców. Razem sześciu chłopów!

- Będzie pan pierwszym europejskim literatem, który tam dojedzie od czasu wyzwolenia - rzekł Lin Shifu, kiedyśmy ruszali. — Wybrzeże pan zobaczy, ale wypłynąć w morze jednak nie można.

Most na Qiantang Jiang został za nami. Jedziemy szosą nieasfaltową wprawdzie, lecz bardzo dobrze utrzymaną i wygodną. Jest całkiem podobna do naszych, tylko mostki na niej dziwne, bez poręczy i jednolitej nawierzchni. Zamiast niej na belkach podkładu leżą dwa pasy z desek, przeznaczone dla kół pojazdów, i między nimi trzeci - dla kopyt końskich. Nie wiem, na czym polegają zalety tego systemu. Pewnie na oszczędności drewna.

W każdym razie nadaje się on tylko dla szoferów tak uważnych, jak chińscy. Ot i ten nasz natychmiast zwolnił, zobaczywszy przed sobą dwoje wędrownych ślepców, prowadzonych przez trzy małe pieski. Szli, trzymając w dłoniach krótkie laski z bambusa i macając nimi drogę.

A teraz znów idzie człowiek ubrany w czarny chałat do ziemi i podobny do mnicha włóczęgi. Nad głową pionowo sterczy mu gryf strunowego instrumentu, jakichś skrzypiec czy gęśli, których korpus spoczywa w uwiązany na plecach białym worku.

Rozparty na przedniej ławce landrovera, skąd najlepiej widać, chłonałem te szczegóły, szczęśliwy, że nareszcie zboczyłem z utartych szlaków. Poprzedniego dnia spotkałem w Hangzhou grupę jugosłowiańskich filmowców, których i przedtem oglądałem, bo jechaliśmy tym samym wagonem z Nankinu do Szanghaju. Nic mi nie wadzili, ale ostatecznie wyprawa reporterska musi się czymś odróżniać od turystycznych wycieczek, odbywanych po jednej i tej samej komfortowej trasie.

I oto nareszcie głęboka prowincja, prawdziwa wieś, gdzie nikt się nie szykuje na przyjęcie zagranicznych gości.

Kraj, którym jechaliśmy, stanowił jedno wielkie pole przetrzone w ogrodnicze grządki o bokach uklepanych i wygładzonych ścieżkach. Pólka ryżowe nie psuły tej harmonii, były bowiem niewielkie i równiutko obwiedzione podwyższonymi miedzami. Część grządek pokrywała świeża zieleń. Zielony również był bambus, a widniejące tu i ówdzie ogromne drzewa z kształtu podobne do naszych dębów miały pełne korony.

Dosłownie przez cały czas towarzyszył nam widok osiedli ludzkich i grobów.

Te ostatnie rozsiane są wszędzie - wprost po polach, zaraz za ostatnimi domami wsi i miasteczek, tuż przy szosie i aż po widnokrąg. Wzgórza i wcale wysokie górki pokryte nimi bywają po same szczyty. Wyglądają jak w rudej wysypce, bo mogiła tutaj ma najczęściej kształt ziemnego kopca porośniętego trawą, o tej porze roku już zwiędłą. Są co prawda i groby okazalsze, koliste,

obmurowane, z czapą ziemi na szczycie. Często i na takiej czapie można zobaczyć maleńką grządkę. Rośnie na niej tylko kilkanaście pędów, ale w tym kraju każdy spłachetek gruntu i każda kępka warzywa się liczy.

Przestrzenie zajęte przez groby stanowią w Chinach cały problem gospodarczy. Przecież tutaj wieśniak posiadający hektar gruntu uważany był za bogatego! Kulturalny i święcie przestrzegany zwyczaj zabrania naruszania mogił, których wszędzie mnóstwo. Szczęsiusetmilionowy naród żyje z tej ziemi i składa w niej swoje śmiertelne odsetki.

Nie wiem, jak to będzie w przyszłości, ale natrętnie powraca myśl, że chyba bez krematoriów się nie obejdzie.

Przez długi czas szosa biegnie wzdłuż kanału, który pamięta czasy ogromnie dawne. Stoją nad tą wodą kamienne bramy, całkiem podobne do tych, które otwierają dostęp do świątyń i mogił cesarskich. Albo kapliczki o zadartych rogach dachów. Brzeg kanału na wielkich przestrzeniach cembrowany granitem. Nim też wyłożona jest ścieżka holownicza, która w miejscach, gdzie woda szerzej się rozlewa, przechodzi w długą na setki metrów kładkę z płyt granitowych opartych na słupach zrobionych z poziomo ułożonych bloków granitu. Prosty przeważnie kanał trafia po drodze pod pradawne mosty kamienne, których górna powierzchnia wspina się niemal jak łuk gotycki, otwór zaś podobny jest do koła uciętego u dołu taflą wody.

Ruch na kanale duży. W obie strony suną ciągle łodzie większe i mniejsze, wleczone na linach przez ludzi idących ścieżką lub żaglowe. Najwięcej jednak wiosłowych.

Proceder wiosłowania wygląda tu inaczej niż u nas, ale pogawędkę o nim warto odłożyć do sposobniejszej pory. Dopiero w Kantonie wszelkie sprawy związane z transportem wodnym występują bowiem w całej malowniczości i krasie.

Miasteczko Shaoxing leży mniej więcej na połowie drogi, którą mieliśmy odbyć. Na szczytach przyległych wzgórz widać al-tany i białe pagody, po których nawet z daleka znać wiek. Nie

są bynajmniej zrujnowane, tylko ich kształty przypominają po trosze otoczaki czy zwietrzlinę skalną.

Shaoxing jest szeroko znane w Chinach, jednak nie z powodu zabytków, lecz jako rodzinne miasto Lu Xuna, wielkiego pisarza, twórcy nowoczesnej literatury chińskiej, który ujrzał tu światło dzienne w roku 1881, umarł zaś na gruźlicę w Szanghaju w roku 1936. Dzieła jego były tłumaczone na liczne języki świata, także i na polski. Tom *Opowiadań* wydany przez Czytelnika, a potem wznowiony przez Prasę, rozszedł się u nas całkowicie. W listopadzie 1956 roku, w dwudziestolecie śmierci, odbył się w Pekinie międzynarodowy zjazd ku czci pisarza, połączony z otwarciem poświęconych mu muzeów w stolicy i w Szanghaju. Polskę reprezentował dr Olgierd Wojtasiewicz, tłumacz dzieł Lu Xuna.

Shaoxing też posiada muzeum pamiątek po największym ze swych obywateli. W tamtą właśnie stronę zaczynamy się przeciskać uliczkami, które wytyczano i zabudowywano, ani trochę nie przewidując, że będą nimi jeździć szerokie landrovery.

Na pierwszym zakręcie dostrzegam to, czego w większych miastach nie zauważyłem ani razu — pieszego rikszarza. Stoi oparty o dyszel swego powoziku, ćmi papierosa i pilnie obserwuje naszą maszynę. Głowę ma odkrytą, ubranie w łątach i gołe łydki.

Przekupnie jarzyn zajęli całe chodniki. Niektórzy muszą odsuwać swe stragany, bo inaczej auto się nie przecisnie. Kobiety przędzące w słońcu przed ścianami domów na wszelki wypadek podkurczają nogi. Gdybym wyciągnął rękę, pewnie potrafiłbym zerwać ten pęk słomianych łapci wiszących przy wejściu do sklepu.

U nas małe miasto prowincjonalne to domki luźno rozsypane przy ulicy, płoty wzdłuż chodnika, za nimi ogródki warzywne i sady, przestrzeń i rozległe widoki. Tutaj to zabudowa tak zwarta, ciżba tak wielka, że chyba tylko przedwojenne warszawskie Nalewki można z tym porównywać, z tą różnicą, że domy są parterowe. I jeszcze te otwarte od frontu sklepy, które się

zdają zrastać w jednorodny rząd pieczar wiodących w jakieś wspólne wnętrze.

Samochód ledwie sunie. Z wąziutkiego chodnika stacza się nagle pod samo koło malutka dziewczynka. Cudownie zwrotna maszyna skręca w miejscu, widzę, jak dziecko pada w rynsztok lekko trącone rogiem wozu. Leży, zanosząc się od krzyku. W jednej chwili zbity tłum zatyka całą uliczkę.

Siedzę w aucie, z rezygnacją czekając awantury, o której nie wątpię. Poturbowali dziecko, biała gęba w aucie... „Kismet, tak chciało przeznaczenie!”.

W tłumie dostrzegam jednego z towarzyszy, który wysiadł tylnymi drzwiami. Rozmawia z matką ciągle krzyczącego dziecka, pisze coś i wręcza jej kartkę. Ludzie słaczają się pod ściany, czyniąc nam przejazd. Ruszamy. Nikt nie wygraża, nikt nawet głosu nie podnosi.

Bo też — prawdę powiedziawszy - kierowca nic nie zawinił. Ale też nie wszystkich i nie wszędzie stać na sąd spokojny i sprawiedliwy.

Tyle się czytało o wojnach trapiących Chiny, o walkach generałów noszących nazwiska bardzo trudne do zapamiętania. Słysnął kiedyś w świecie marszałek Zhang Zuolin oraz syn jego, Zhang Xueliang, w którego pekińskim pałacyku rezyduje teraz polski ambasador. Na szczęście jednak wojny te nie musiały być zbyt niszczące pewnie dlatego, że watażkowie nie władali nowoczesną techniką.

Lu Xun opuścił swój dom rodzinny jako kilkunastoletni, nikomu nieznany wyrostek. Pierwszy utwór literacki ogłosił w roku 1918. Dawni władcy kraju mocno nie lubili tego rewolucjonisty i ani myśleli się troszczyć o pamiątki po nim. Dopiero po oswobodzeniu, czyli w trzynaście lat po przedwczesnej śmierci pisarza, można było o nich pomyśleć.

Obecne muzeum Lu Xuna w Shaoxing składa się z czterech części. Oprócz właściwej wystawy — gdzie było dość tłoczno od zwiedzających - należy doń również dom rodzinny i dom krew-

nych ozdobiony malowidłami z czasów powstania tajpingów, który dotąd jeszcze jest zamieszkały. Lecz wkrótce ma być opróżniony i traktowany jako zabytek. A po drugiej stronie uliczki i kanału jest jeszcze do obejrzenia szkoła, w której się uczył przysły pisarz, oczywiście dziś już będąca tylko eksponatem, ale jedynym w swoim rodzaju.

Jest to bardzo niewielka kwadratowa salka. Uczniów było zaledwie kilku, każdy zasiadał przy osobnym stoliku, nieraz bokiem lub tyłem do nauczyciela. Katedra tego ostatniego stoi pośrodku, obok fotele dla jego przyjaciół. W głębi typowa sofa czy kanapa chińska zrobiona zupełnie na wzór cesarskich, które oglądałem w Zakazanym Mieście. Tylko tamte bywały z czerwonej laki, ta zaś ze zwykłych malowanych desek. Okrągłe drzwi prowadzą do izdebki, w której wykładał syn głównego pedagoga, drugie do maleńkiego ogródka na tyłach domu.

Jedno tylko w tym przybytku wiedzy jest takie samo jak u nas w Europie: narzędzie kaźni, drewniana linijka do bicia po łapach.

W domu rodzinnym, w izbach o podłogach z płyt kamiennych stoją jeszcze sprzęty typowe dla kulturalnej, lecz niezamożnej rodziny chińskiej z końca ubiegłego stulecia. Łóżka mają baldachy, zamiast materaców są w nich ramy z naciągami z włókien roślinnych. W głębi za domem jest ogródek warzywny, którego wygląd nie uległ żadnej zmianie od czasów młodości Lu Xuna.

A gdzie u nas są bodaj ślady po domu, w którym się urodził Stefan Żeromski?

Podczas ostatniej wojny japońskie samoloty zbombardowały domy po drugiej stronie zaułka. Gruzy usunięto, zakładając na ich miejscu trawnik. Od ciasnej bramy domostwa idzie się teraz do szkoły otwartą przestrzenią. Kanał jest cembrowany kamieniem, a kładki nad nim to długie płyty wyciosane z granitu. Domy mieszkalne stoją zwarcie na dość wysokim nabrzeżu. Zimno mi się zrobiło, kiedy na jednej z takich kładek zobaczyłem

trzyletniego może berbecia. Pękata figurka, ustrojona w kolorowy waciak, beztróska wędrowała po kamiennej desce bez poręczy o jakieś trzy metry nad lustrem głębokiej wody.

Miałem się wkrótce przekonać, skąd się tu wszędzie wzięło aż tyle kamienia. Młody dyrektor muzeum, Fang Tie, nie tylko pokazał nam wszystko szczegółowo i poczęstował świetnym obiadem, ale zaofiarował się na przewodnika. Wsiadł z nami do auta, chcąc pokazać Jezioro Wschodnie położone niedaleko za miastem.

Właściwie jest to prastary kamieniołom, zalany wodą pochodzącą pewnie z kanału oddzielonego od „jeziora” wąskim pasem gruntu, na którym stoją wiekowe budynki. Już zbaczając z szosy, widzi się na horyzoncie ogromną kurtynę z szarych skal. Wsiadłszy do łodzi, ma się je tuż przed sobą, bo urwisko jest tylko z jednej strony, zupełnie jak dekoracja w teatrze gigantów.

Czółno pomału wsuwa się w przesmyk, za którym jest mroczna studnia, jakby okrągławy staw między pionowymi skałami, wysokimi na kilkadziesiąt metrów. W górze przewieszki, na półkach zielone krzaczki i małe drzewka. Ściany są szare, szurpate, znać, że cały ten widok to ręczna robota. W głębi jeziora arkada podobna do olbrzymiej bramy. Ludzie, którzy kuli w kamieniu te wstęgi i tajemnicze hieroglify na nich, musieli pracować, siedząc w koszach zawieszonych na linach.

Woda jest przezroczysta jak szkło, zielonkawa, ale dna nie widać. Głębia jest podobno równa wysokości ścian. I tu także bliżej płaskiego brzegu kazali cesarze wznieść sztuczne skałki, przerzucić mostki i postawić altanki.

Przycupnięty na maleńkiej ławeczce z rzeźbionym oparciem przewoźnik pędził łódź, krytą daszkami z plecionki, jednym wiosłem. Ponieważ jednak ruch, jaki wykonuje, polega nie na przyciąganiu, lecz na odpychaniu odręcznej, więc używa do tego bosej stopy, której palce są długie i chwytne.

Landrover został przy szosie, bo droga wiodąca do jeziora jest chwilowo zajęta. W położonej nad nią wiosce odbywa się wła-

śnie zbiorowa młocka ryżu i powierzchnia drogi nadaje się znakomicie do rozesłania mat, na których przesycha złociste ziarno.

Spółdzielcy mają młynek do jego czyszczenia, obracany korwą i całkiem podobny do naszych. Ale tam dalej stoi młocarnia nieoglądanego kształtu. Jest to poruszany nożnym pedałem poziomy wał drewniany, którego powierzchnię pokrywają tępe zaczepy z drutu. Stosuje się jednak i całkiem prymitywne metody. Tęgawa, przystojna i jak się zdaje wesoła niewiasta nabiera w każdą garść po pęku słomy i trzepie kłosami o kanciasty kamień ustawiony pionowo. Musi mieć baba niezgorszy temperament, bo robota aż furczy.

Zdołałem coś niecoś zaobserwować, wędrując tym rolniczym krajem. Cierpliwy kierowca stosował się do wszelkich moich życzeń i dzięki temu mogłem na przykład wysiąść i obejrzeć sobie z bliska orkę w owe sochy, które po raz pierwszy zauważyłem z okna wagonu. Niezbyt to doskonałe narzędzie, a w dodatku uprząż przykra, obciera boki bawołu.

Nad sporym rozlewiskiem pracowały aż trzy deptaczki, przelewając wodę wyżej. Huang powiedział mi, że w ten sposób osusza się staw, żeby zebrać ryby. Kiedyśmy na drugi dzień wracali, poziom wody znacznie się obniżył, ale deptanie wciąż trwało.

Mijając wsie położone tuż przy szosie, jedzie się właściwie zwartą aleją sławojek. Ściany ich są przeważnie ze słomianej plecionki. W ogóle każdy taki budynek sprawia wrażenie dbałości o wygodę użytkownika, jest osłonięty z trzech stron i z góry. Tylko zwrócony ku drodze front jest otwarty, pozbawiony jakiegokolwiek zasłony. Widać, że ten, co sławojkę wznosił, pragnął zachęcić przechodnia, by wstąpił na chwilę do tej właśnie... Pojedyncze wychodki stoją wcale gęsto i z dala od osiedli. Jedne mają skrzynię całkowicie drewnianą, w innych zastępuje ją duża kadz gliniana, z której sterczy rękojeść kopyści. Zauważyłem, że płyn, którym się polewa grządki, jest brązowawy.

Widziałem po drodze starych ludzi i dzieci zajętych pasieniem pary lub nawet pojedynczych kaczek czy gęsi. Ale przez

cały czas pobytu w Chinach raz tylko oglądałem niezbyt zresztą okazałe stado bydła. Ludzie tu prawie nie używają nabiału. Język chiński nie posiada własnej nazwy sera, a ponieważ słowo to po angielsku brzmi *cheese*, szachy zaś *chess*, więc w restauracjach bywają śmieszne nieporozumienia. Rolnicy zaś, którzy nie mają obornika, muszą dbać o wszelki inny nawóz. Słyszałem, że gospodarz potrafi uprzejmie dziękować przechodniowi, który na jego polu załatwi potrzebę naturalną. Kwestie te traktowane są w Chinach całkiem po prostu i nawet kobietę można zapytać o drogę do toalety. Myślę, że to mądrzejszy sposób od naszych ceremonii, które już na szczęście ustępują z placu.

Właśnie zaszło słońce, kiedy wjechaliśmy w dolinę dość wąską, której idealnie płaskie dno po obu stronach bez jakichkolwiek stopni pośrednich przechodziło w strome zbocza wysokich wzgórz. W głębi szosa wspinała się na łagodną wyniosłość. Z jej szczytu otworzył się raptem widok na ogromną wodę, niemającą już żadnej oprawy krajobrazowej. Morze!

Mignęło mi tylko w oczach, bo szosa skręcała w prawo, ku dalekim światłom portowego miasta Ningbo. Nie prosiłem o zatrzymanie maszyny. Pewne wojskowe środki ostrożności zauważone po drodze - mające niekiedy postać baterii ciężkich dział przeciwlotniczych na pozycji — przekonały mnie, że w tych stronach różnie bywa, a nie ma na świecie takiej straży granicznej, która by rada patrzyła na cywilów wałęsających się po nocy, gdzie ich nie posiano.

Na parę dni przed moim przybyciem do Hangzhou w jego okolicy strącono czangkajszekowski samolot. Południowa Korea i Tajwan leżą nie za górami, lecz za tym samym morzem, nad które przyjechaliśmy.

Ningbo oglądałem już po ciemku, przy blasku licznych neonów i bardzo mało o nim wiem. Sklepy, które na noc zamykano, zakładając otwarte frontony pionowymi deskami, były niewątpliwie dobrze zaopatrzone. Od obuwiu i tanich materiałów aż po wachlarze i parasole nie brakowało niczego. Nowoczesny

most na rzece, odbudowany po oswobodzeniu, wyglądał wcale imponująco.

Hotel stał gdzieś w głębi, przy zaułkach cichych, ogrodzonych ślepych murami, i był bardzo przyzwyczajony. Dostałem duży, dwuosobowy pokój z łazienką. Jedno tylko nie bardzo mi się podobało — oto w tej części Chin nie ma w mieszkaniach żadnego systemu ogrzewania, ani pieców, ani kaloryferów. Toteż zimno było jak w psiarni. Za późno się połapałem, że chcąc podnieść w pokoju temperaturę, trzeba otworzyć okno. Ale pod dwoma puchowymi kołdrami świetnie się śpi. Łóżka z naciągami z włókien roślinnych, takim samym jak w domu Lu Xuna, są bardzo wygodne.

Zanim się o tym przekonałem, trzeba było zjeść kolację, oczywiście chińską. Ledwieśmy do niej siedli, w uchylone drzwi zajrzało europejskie oblicze. Właściciel jego ruszył ku mnie z wyciągniętą prawicą. Tylko przez chwilę się wahałem, po jakimś czasie go zagadnąć.

- *Gawaritie po russki?*

- *Nu wotl I kakże mnie nie gawarit' po russki, jeśli ja sam Russkij?*

Był to technik, specjalista w dziedzinie łączności, od dłuższego czasu pracujący w Chinach. Dowiedziawszy się o moim zawodzie, wyraził żal, że brakuje mu tego, co uprzejmie określił jako talent.

- Mógłbym niejedno napisać - mówił - bo sporo widziałem.

W tym i bieda, że z wszystkich odmian czy gatunków inteligentnych najmniej wiedzą o życiu współczesnym chyba właśnie literaci.

Nazajutrz wróciliśmy w pobliże tego miejsca, skąd po raz pierwszy ujrzałem Morze Wschodniochińskie.

Samochód trzeba było zostawić przy szosie, bo stara, kamieniem wykładana dróżka nad kanałem wcale się dla aut nie nadawała. Zaraz na prawo leżało to, co widywałem we wszystkich niemal osiedlach chińskich, czyli boisko do koszykówki. Jak wszędzie, tak i tu nie było pionowych słupów, tablice z koszami

umieszczono na pochylonych w przód stojakach, o które gracze nie mogą się porozbijać.

Rybacka wieś Xiepu leży w ciasnym przesmyku między wzgórzami, gdzie setki lat temu była zatoczka morska. Jest zabudowana bardzo ciasno - ściana styka się tu ze ścianą, dach z dachem - szara, murowana i cała moszczona granitem.

Granitowe są tu nawierzchnie wąziutkich uliczek, podnóża i narożniki domów, beczułkowate bazy drewnianych kolumnienek podpierających dachy. Podeszwy butów zaraz mi się niebezpiecznie wyslizgały.

Kroczę niby jaki biskup w środku między dwoma przedstawicielami władz partyjnych i prezesem spółdzielni, którzy czekali na nas tam przy kanale. Z tyłu dudnią obcasami moi towarzysze i jeszcze kilku mężczyzn. Długo idziemy uliczką szeroką najwyżej na trzy kroki, która przecina ryneček, niewiele większy od spo-rej izby mieszkalnej. Kramy pyszną się kolorami chustek i materiałów. Wiszą pęki purpurowych świeczek świątynnych. Jest i szersza ulica, rzemieślniczo-handlowa, przy niej dwie parujące zapachami otwarte jadalnie, sklepy i warsztaty. Wieś - jak widać — nie może się uskarżać na brak zaopatrzenia w towary, zwłaszcza że Ningbo ze swymi dużymi magazynami leży zupełnie blisko.

Jeden z rybaków zaprasza na chwilę do swego domu. Na progu młoda kobieta z dzieckiem na ręku, ubrana naturalnie w spodnie. Nie wiem, czy ktokolwiek używa tu w ogóle kiecek. Dwie mroczne, pustawe izby. Sprzętów w nich mało, ale na prawo są jeszcze drzwi wiodące do sypialnej części domu. Kuchnia leży w głębi, oddzielona od poprzedniego pokoju nie tylko progiem, ale i wąskim, otwartym kanalikiem, ściekiem raczej, wiodącym na zewnątrz. Są aż dwie płyty murowane, z kotłami na wodę wpuszczonymi na głucho. Otwory paleniskowe przypominają dość wąskie szpary. Nie mają drzwiczek, więc dym musi się wydostawać na zewnątrz, ale to nic nie szkodzi, bo kuchnia nie posiada sufitu, ściany zaś są cienkie i ażurowe, przeświecające

szparami. W kącie stoi duża dzieża na wodę, pod ścianą szafa. Całe mieszkanie ma podłogi ułożone z płyt kamiennych.

Zasiadamy nareszcie na pięterku jakiegoś okazalszego gmachu, który - jak się wkrótce okazuje - był dawniej tawerną, gdzie uprawiano się gry hazardowe i paliło opium. Teraz mieści się tu zarząd spółdzielni.

Hoża, połyskująca złotym zębem dziewczyna o kruczych, krótko podciętych włosach wnosi zieloną herbatę i papierosy. Chwila milczącego skrepowania, którą przerywam, zagajając rozmowę pierwszy.

Odbywa się ona w sposób dość oryginalny. Huang Keping po prostu nie rozumie tutejszego dialektu, przekłada więc moje słowa na język używany w Pekinie, a Lin Shifu zaraz je powtarza po tutejszemu. Odpowiedź odbywa tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Wymaga to sporo czasu, mogę więc zerkać w okno, za którym widnieje zielona korona drzewa o liściach błyszczących, podobnych do orzecha, tylko większych. Strome zbocza wzgórz tworzą jakby otwarty w głębi korytarz. Są całe pokryte grobami, między którymi leżą małe grządki na takiej nieraz pochyłości, że dostrzegam rzędziki, a nawet pojedyncze kępki warzywa.

Spółdzielnia jest młoda. Powstała w 1955 roku z połączenia trzech grup wzajemnej pomocy, założonych zaraz po oswoobodzeniu, i w tej chwili skupia dziewięćdziesiąt pięć procent rybaków osiedla. Liczy ono trzy tysiące mieszkańców i oprócz rybackiej ma jeszcze spółdzielnię rolniczą, szewską, krawiecką i powroźniczą.

Przyjechałem w takiej porze, kiedy wszyscy prawie rybacy znajdują się już na dalekich połowach. Właśnie w zimie docierają aż na Morze Japońskie. Rozpoczynając rejs, trzeba zabierać ze sobą lód. Dawniej rybacy sami się musieli troszczyć o zbyt, teraz odstawiają zdobycz do państwowych magazynów w Ningbo i w Szanghaju.

Przeszło rok temu marynarka Korei Południowej napadła na Morzu Japońskim i uwięziła ośmiu mężczyzn z tej wsi. Przekazani na Tajwan dotychczas nie powrócili.

Pokazywano mi w Xiepu domy zbombardowane przez lotnictwo Czang Kaj-szeka.

Flota spółdzielni składa się z siedemnastu dużych łodzi żaglowych i trzydziestu trzech mniejszych. Oprócz tego są dwa kutry motorowe, po czterdzieści koni mechanicznych każdy. Kupiono je z pomocą państwa, które pokryło połowę ceny. Jeden kuter kosztuje siedemdziesiąt tysięcy juanów.

Spółdzielnia sama sporządza większość sieci. Robi nawet łodzie, zapraszając w tym celu majstrów sąsiednich kooperatyw.

Pytanie o wysokość zarobków wywołało dłuższą dyskusję między obecnymi rybakami, z czego prosty wniosek, że odpowiedzi zawczasu nie uzgadniano. Ostatecznie dowiedziałem się, że dobry rybak może w przeciągu trzech miesięcy zarobić do trzystu osiemdziesięciu juanów, najlepsze zaś siły — jeszcze o czterdzieści procent więcej. Przed założeniem spółdzielni średni trzymiesięczny zarobek wynosił sto juanów.

Trudności językowe uniemożliwiły dopytywanie o szczegóły, nie wiem więc, czemu liczą tu zarobki według kwartałów. Sądzę jednak, że pozostaje to w ścisłym związku z samym sezonowym charakterem pracy. Jak już wspominałem, w zimie statki docierają aż na Morze Japońskie, w lecie nie wypływają dalej niż na pięćset kilometrów. Na jesieni zaś połowy odbywają się przy wyspach odległych o dwieście kilometrów. Najdłuższe rejsy trwają czterdzieści pięć dni.

Na parterze tego samego domu kilku wiekowych starców naprawiało uszkodzone sieci. Skinieniami głów odpowiedzieli na mój ukłon. Żaden nie okazał nieprzystojnej ciekawości na widok obcej twarzy i cudzoziemskiego ubrania. Sami mieli na sobie zwykle tamtejsze czarne lub niebieskie, spłowiałe i połatane waciaki.

I ja też starałem się nie okazywać nadmiernego zainteresowania, zerkając na nich krótko, lecz pilnie. To ci przecież, którzy żeglując w młodości po ciepłych morzach Południa i Wschodu, spotykać mogli Jacka Londona, może nawet Conrada!

Działali w sposób znamionujący nie lada wprawę. Każdy trzymał w prawej dłoni kościane czółenka z nawleczoną nicią oraz krótkie nożyczki o szerokich uszach, lewą rozciągał czarną, podziurawioną sieć. Błyskawiczny ruch prawicy, cięcie i węzełek gotów.

Pożegnawszy starców, ruszyliśmy całą gromadą popatrzeć na rozleglejsze widoki.

Domy wsi kończyły się jak nożem uciał. Ponad krawędzią czegoś, co przypominało groble, dojrzałem wysoko na tle nieba zadarte, dwurożne rufy dwóch sporych stateczków - i nagle zdumionym oczom moim ukazał się wielki obszar czarnego mułu, którego powierzchnię kręto bruździły wymyte przez wodę kanaliki. I tylko daleko, o całe kilometry pewnie, bezbrzeżna płaszczyna spokojnie grała matowymi połyskami. Dzień był bowiem dość pochmurny.

Patrzyłem, zaskoczony, i dopiero po dobrej chwili przyszła mi do głowy myśl całkiem prosta: przecież to nie Bałtyk... Jest właśnie czas odpływu, wkrótce morze powróci tutaj i podniesie na sobie te łodzie, które teraz stoją na odsłoniętym dnie i dlatego się wydają tak wysokie. Od dzioba każdej biegł łańcuch przytwierdzony do pała.

Tama nosiła wyraźne ślady uderzeń wielkiej fali. Kiedy się skończyła, weszliśmy na ścieżkę z płyt granitowych, a potem na stopnie kute w litej skale lub układane z kamienia. I oto już szczyt niezbyt wysokiego cypla. Na nim ruiny latarni morskiej zburzonej siedem lat temu przez oddziały uciekające na Tajwan.

Przed nami — niezbyt daleko - trzy wysepki, dwie malutkie, jedna nieco większa. Podobne są do kopulastych kołpaków. Tylko brzegi mają strome, dobrze widać omyte. Na szczycie najwyższej również ruiny latarni.

Rozumiem - te bardzo szerokie sine smugi tu na wprost i tam na prawo, gdzie pasmo górskie znika w niebieskawej mgłę, to morze. Ale te żółte ławice na lewo i tam na horyzoncie to chyba piasek? Powracająca fala pewnie go pokryje.

— Nie, to też woda — mówi Huang. - Przecież właśnie dlatego to morze nazywa się Żółte.

Informacja nie była zbyt ściśła. Morze Żółte jest znacznie bardziej na północ, a to tutaj nosi nazwę Wschodniochińskiego. Ale widocznie już tu się zaczyna pojawiać charakterystyczna barwa. I to nie jest wykluczone, że ludzie miejscowi inaczej wykreślają granice mórz, niż to czyni mapa. Zresztą owa żółcizna widnieje właśnie ku północy.

Zatoka ma kształt dość spiczastego leja, otwartego na pełne morze. Mniej więcej pośrodku leżą owe wysepki, przy których łowią ryby starcy i kobiety.

Nie umiałem sobie wytłumaczyć wyglądu dna odsłoniętego przez odpływ. Pochodzenie krętych kanalików było jasne: wymyła je uciekająca woda. Ale skąd te setki i tysiące małych, podłużnego kształtu zagłębień?

Codziennie — powiedziano mi — około dwustu osób wychodzi ze wsi zbierać to, co pozostawiło morze. Wartość zdobyczy bywa znaczna, sięga niekiedy pięciuset juanów.

Patrzyłem na żółte i sine, niegroźnie połyskujące płaszczyzny. Tymczasem rybacy dostrzegli coś, co się znajdowało tuż u podnóża skał, i śmiejąc się, pokazywali to palcami. Pomału pełzło tam szare, pokryte skorupą straszdyło, przeoczone widać przez zbieraczy. Podobne było do kraba.

Tak to więc wygląda na wschodnim krańcu lądu Eurazji. Jeśli mapa nie kłamie, to odbiwszy od tych wybrzeży i żeglując prosto na wschód, można dopłynąć do zachodnich wybrzeży Ameryki. Południowe cyple Japonii pozostaną na lewo, ku północy.

Wieś Xiepu leży mniej więcej dokładnie na trzydziestym stopniu szerokości północnej.

Łagodnie tu jakoś wszystko wygląda. I to spokojne morze w oddali, i brzegi, i wieś, której szare domy jakby się wylewały spomiędzy dwóch stromych wzgórz, usianych grobami rybaków.

Prezes spółdzielni grzecznie się uśmiecha i prosi na posiłek. Miał to być wczesny skromny obiad, była zaś istna ucztą z taką ilością miejscowych potraw, że nie potrafię ich wymieniść.

Ludzie w Polsce dopytują, czy naprawdę potrafię jeść ryż pałeczkami. O święta naiwności, przecież z ryżem najmniejszy kłopot. Ale poradzić sobie z małymi raczkami czy krabami gotowanymi w skorupach, to dopiero wyższa szkoła jazdy! Wszyscy obecni przy stole posiadli ją w doskonałości, tylko ja jeden się babrzę, że pewnie przykro patrzeć.

Jakżebym 'chciał zostać tu dłużej wśród tych dzielnych i skromnych ludzi, pójść jeszcze raz na wybrzeże, zobaczyć, jak morze będzie powracać i pędzona przyplływem fala uderzy w tamę. Ale Lin Shifu dyskretnie pokazuje mi zegarek. Wiem, wiem... o szóstej zamykają most na Qiantang Jiangu — ten koło Hangzhou - i kto nie chce nocować w polu, ten musi się śpieszyć. Trudno, prowincja Zhejiang ma ogromne wybrzeże, a tamci zza morza jeszcze czasem nie dają spokoju, trzeba więc dobrze strzec ważnych punktów.

Pora wsiadać do maszyny i jechać, nie zatrzymując się nigdzie.

BRAMA
DO CHIN

Tytuł tego rozdziału wymyślili geografowie muzułmańscy, którzy bardzo dawno temu pisywali, że miasto Chanfu jest bramą do Chin.

Owo tajemnicze Chanfu to dzisiejszy półtoramilionowy Kanton. Ale tylko Europejczycy i Amerykanie używają tej nazwy. Po chińsku mówi się: Kuangdzou.

To droga stwarza bramę. Szlak, o którym myśleli arabscy uczeni, wiedzie z Oceanu Indyjskiego przez Morze Południowochińskie w deltę i koryto Rzeki Perłowej.

Ujrzałem ją w pochmurne rano 14 grudnia. W przeciągu następnego tygodnia miałem wiele godzin spędzić przy oknach pokoju na dziesiątym piętrze hotelu Ai Qun, nie mogąc się nasycić widokiem.

Pierwszy zaraz dzień udzielił mi lekcji i nauczył rozpoznawać, co się dzieje na morzu odległym o kilkadziesiąt kilometrów. U przeciwległego brzegu rzeki czerniało kilka domków nawodnych. Stały na dość wysokich i cienkich palach, mając pod pomostami żółtawy nurt. Spojrzawszy w tamtą stronę nieco później, zobaczyłem, że tym razem słupy wyrastają z czarnej, skalistej wysepki, jakby z podłużnej rafy. Również kolorowa tyka sygnału świetlnego, która jeszcze niedawno sterczała z fali, wyglądała teraz jak dziecinna zabawka o niedużej i płaskiej podstawie.

Na oceanie i morzu był odpływ. Posłuszna mu rzeka odsłoniła wyniosłości dna.

Mieszkańcy jej znali na wylot te tajemnice. To tylko przybysz znad nieruchawego Bałtyku mógł się pomylić co do kierunku nurtu, zapatrzysz się na zieloną łodygę, którą przypyływ pchał pod prąd.

Co rano stada łodzi najrozmaitszych kształtów i wymiarów szybko płynęły w lewo, ku portowi i delcie. Wracały również gromadnie, ciężkie od ładunku, zanurzone nieraz po krawędzie burt, ale wspierane przez przypyływ. Patrzyłem kiedyś, jak usiłowało z nim walczyć długie czółno z pięciu ludźmi załogi. Rozpaczliwie bili wodę krótkimi ruchami wiosła, ale pchnięty naprzód dziób łodzi spełzał nieco w tył, zanim zdążyli znowu zagarnąć. Znikli mi z oczu gdzieś między palami nawodnych chałup a składami i przystaniami wybrzeża.

W tym samym czasie środkiem rzeki płynęła pod prąd łódeczka podobna do odwłoku owada. Spod walcowatego daszka z jasnej plecionki w jedną stronę wystawał dziób, w drugą rufa, a po bokach niespiesznie się poruszały dwa pióra wiosła. Z wysokości okna człowieka nie można było spostrzec, stateczek wyglądał jak samoistny stwór.

Rzadko się na Rzece Perłowej pojawia wiosłarz pracujący w taki sposób, jak to się czyni u nas. Im dalej na południe Chin, tym powszechniejsza się staje zupełnie inna metoda. Zamiast siedzieć tyłem do kierunku jazdy, wiosłarz postępuje odwrotnie: stoi obrócony twarzą ku dziobowi czółna. I nie ciągnie ku sobie, lecz odpycha dwie krzyżujące się odręczne lub jedno długie wiosło.

Czarne sampany suną pędzone wielkimi wiosłami, umieszczonymi na kształt sterów. Rękojeści ich leżą pochyło nad rufami, utrzymywane pod właściwym kątem przez liny lub łańcuchy przymocowane do pokładów. Każde z nich obsługuje cała rodzina, ruchem wahadła chodząc od burty do burty. Pióro wiosła nie wynurza się z wody i grzebie w niej niby ogon ogromnej ryby, tamci zaś całą gromadą, wznosząc ramiona ku belce... pięć kroków w przód... pięć wstecz, pięć w przód... pięć wstecz...

Teraz płynie sampan mający ponadto, wzorem płetw rybich, po jednym dużym wiosle z każdego boku. Przy każdym pracuje dwoje ludzi ulokowanych na desce wysuniętej z kadłuba statku za burtę. Ci stoją w miejscu, nie czyniąc ani kroku. Tylko ich korpusy uczipione u odręcznej jednostajnym ruchem chylą się naprzód i w tył. Pióro wiosła również się z wody nie wynurza, bączkuje.

Spod dachu kryjącego wysoką rufę snuje się delikatna smużka dymu. Sześćdziesiąt tysięcy kantończyków rodzi się, żyje, pracuje i umiera na pokładach szesnastu tysięcy łodzi transportowych, sampanów i dzonek.

Znowu drewniany stateczek z dwójgiem ludzi na sztywnej desce za burtą. To chłopak i dziewczyna, ale ją odróżnić można tylko po długich warkoczach. Oboje są w czarnych bluzach i takiej samej barwy spodniach, dość krótkich i bardzo szerokich u dołu. Wiatr rozdyma je w istne balony, to znów obciska cienką tkaninę wokół nóg prostych i smukłych. Małe, bosc stopy jakby przyrosły do deski, ani ich ruszy z miejsca mocny zamach tułowia.

Główne osiedle tych ludzi rzeki leży w obrębie śródmieścia Kantonu.

Odpływ potężnie obniżył poziom wody i motorówka nie może przybić do budynku będącego celem wyprawy. Przystaje więc w miejscu, gdzie między dwoma szeregami zestosowanych bokami i zakotwiczonych sampanów wije się coś na kształt wodnej uliczki. Wysoko zadarte, płasko ścięte rufy i dzioby statków tworzą ramy widoku.

Podpływa mała łódeczka kryta daszkiem z plecionki. Wiosłuje młoda kobieta, obrócona twarzą ku dziobowi czółna. Krzyżujące się odręczne chodzą w jej dłoniach niezawodnie. Na barwnej i postrzępionej macie słomianej, wyścielającej środek łodzi, leży sobie na brzuszku paroletni berbec. W pasie obejmuje go mocny sznurek, drugim końcem uwiązany do poziomego bambusa pod daszkiem.

„Nad wodą wszystko musi być na sznurku" — powiedziano mi kiedyś w katedrze hydromechaniki Politechniki Gdańskiej.

Budynek, do którego przybiliśmy, był drewniany, lekki, obwieszony balkonem z poręczą. Znajdował się opodal brzegu, ale nie pływał. Stał na grubym podkładzie, uczynionym jakby z rur o nieokreślonej, brudnoszarej barwie. Potem mi wyjaśniono, że to zwykła tratwa z bambusa, na której domek pływa, kiedy jest wysoka woda, i bezpiecznie osiada w czasie odpływu, jak właśnie teraz.

Ludzie rzeki także zorganizowali liczne spółdzielnie. Domek na tratwie mieści zarząd jednej z nich.

Zasiadamy przy dużym stole w izbie środkowej, która jest raczej kwadratową sienią. Od sąsiednich pomieszczeń dzieli ją drewniane przepierzenia, pokryte ogłoszeniami, afiszami oraz pisanymi ręcznie wyliczeniami.

Usadzono mnie na honorowym miejscu na wprost drzwi wiodących na balkonik i rzekę. Wnętrze izby jest dość mroczne, za kwadratową ramą wejścia otwiera się widok, który do złudzenia przypomina jasno oświetloną i bardzo głęboką scenę. Dekoracje boczne są nieruchome, tworzą je korpusy zakotwiczonych łodzi. Po lewej stronie z szeregu wysuwa się rufa ciemnobrunatna, ozdobiona jaskrawozieloną, prostokątną łąką. W głębi obrazu na tle nieco zamglonego przeciwnego brzegu trwa ruch. Cicho i szybko przemykają czółna wiosłowe. Z rzadka, majestatycznie wsunie się między nie wysoka dżonka o żaglu ciemnym, prostokątnym lub podobnym do skrzydła nietoperza.

Na balkoniku majstruje coś bosi chłopczyk. Liczne zgromadzenie dorosłych nie przeszkadza mu ani trochę. Kiedy się pochylił, wypinając ku nam siedzenie ciasno obciążone czarnym płótnem, zauważyłem na jego plecach coś w rodzaju małego plecaka z rurek krótkich i żółtych. Był to bambusowy pływak umocowany na szelkach ze sznurka.

Od razu wyjechały na stół filiżanki oraz ogromne termosy, które stanowią jedną ze specjalności przemysłu chińskiego (wi-

działem je potem wystawione na sprzedaż aż w Moskwie w Głównym Uniwersalnym Magazynie przy placu Czerwonym). Ale zamiast herbaty piliśmy tym razem niczym niezabarwiony wrzątek.

Z podobną praktyką spotykałem się i w niektórych wiejskich spółdzielniach. Nie uraziło mnie to ani trochę. Całkiem odwrotnie — byłem rad, że odnoszą się do mnie jak do człowieka zasługującego na szczerze traktowanie i że nie urządzają szopek. Spółdzielnia nie ma ani grosza na tak zwaną reprezentację, stawia więc na stół "to, co można mieć za darmo. Miejscowy oddział Związku Pisarzy mógł oczywiście zawczasu przysłać paczkę herbaty, mógł ją również przywieźć w kieszeni tłumacz i niepostrzeżenie wręczyć, komu potrzeba. Nie zrobiono tego ani tu, ani gdzie indziej, dając w ten sposób drobny, ale niezbity dowód uczciwego stosunku do reportera, który przyjechał zobaczyć prawdę. Myślę, że niektóre państwa europejskie, rozmiłowane w tradycji „potiomkinowskich domków", mogłyby się tego i owego od chińskich spółdzielni z pożytkiem nauczyć.

Troskliwość o gościa była równa tej, jaką okazują w instytucjach częstujących najbardziej wyszukаныmi gatunkami herbaty. Niech tylko trochę przestygła niedopita filiżanka, zaraz - wylawszy resztki wody w szparę podłogi - napełniano ją świeżym wrzątkiem.

Prezes spółdzielni mówił, stojąc.

Dla tych ludzi łódź jest zarówno domem mieszkalnym, jak i warsztatem pracy. Żyją z transportu, wożąc w górę i w dół rzeki wszelki towar, jaki tylko jest. Mniejsze, spacerowe łodzie służą komunikacji osobowej.

Trzeba szczególnie szczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby rodzina składała się akurat z tylu dorosłych, ilu ich potrzeba do obsługi statku stanowiącego jej własność. Na pokładach jednych sampanów bywały więc zbyteczne ręce, podczas gdy na innych ich brakło. W tym ostatnim wypadku należało najmować się roboczą. Czterooosobowa rodzina posiadająca dziesięcotonowy

sampan, chcąc zdobyć niezbędne do życia czterdzieści juanów miesięcznie, musiała zarobić o całych sto więcej. Tyle bowiem kosztował najemnik oraz remonty łodzi. Teraz, kiedy spółdzielnia przydziela dodatkową siłę roboczą i płaci za naprawy, ta sama rodzina ma miesięcznie pięćdziesiąt juanów.

Nie jest to zbyt wiele, ale potrzeby tych ludzi nie są wygórowane, stopa życiowa na pewno niska. No i za komorne nikt nie potrzebuje płacić.

Przybiliśmy do wysokiej czarnej dżonki. Wąska belka biegnąca po zewnętrznej stronie burty stanowi jedyną drogę wejścia. Udało mi się ją przebyć bez pomocy ze strony uprzejmie wyciągniętych ramion, a jednocześnie nie wejść do kronik ludzi rzeki jako ten, co spadł do wody z zakotwiczonego statku.

Część dziobowa i rufa są pokładowe i podniesione wysoko, resztę kadłuba zajmuje otwarta ładownia. W razie potrzeby można ją przykryć beczkowatymi daszkami z plecionki, opierając je na palikach pionowo sterczących z obu burt. Jeśli to nie jest konieczne albo kiedy statek jest pusty, daszki te nakłada się na bliźniacze im przykrycie domku na rufie.

Pod pokładem dzioba, w pomieszczeniu całkiem podobnym do płaskiej skrzyni, są legowiska do spania. Reszta załogi-familii gnieździ się w beczkowato sklepionym, otwartym z przodu kubryku na rufie, którego podłogę wyścielają maty ze słomy ryżowej, a pod sufitem na poziomych bambusach suszy się bielizna.

Spomiędzy jej festonów zwiesza się dość długi sznurek zakończony pętlą beczynnie spoczywającą na podłodze. Uwolnione z niej dziecko siedzi bowiem na odzianych w czarne spodnie kolanach rodzicielki. Za to nieduży, szaro pręgowany kot pozostaje na uwięzi. Cienka linka trzyma go „pod pachami”.

Kryta wyżka sternika znajduje się tuż za kubrykiem. Takie rozmieszczenie podwyższających się dachów stwarza ów jedyny w swoim rodzaju wygląd łodzi, jeśli ją oglądać z boku. Rufa wtedy wydaje się potężna, ciężka, mocno rozbudowana w górę i na boki.

Drag sterowy aż lśni, tak go zdążyły wyślizgać dłonie ludzkie. Oba uchwyty wyrzeźbił nieznaną artystą. Obok jest jeszcze drewniany kołowrót z łańcuchem do podnoszenia i opuszczania steru. Przez szpary podłogi widać żółtą wodę. Kajuta sternika tworzy przewieszkę, nadając łodzi charakterystyczny, podcięty od tyłu profil.

Na dziobie sąsiedniego sampana stał jego gospodarz, mężczyzna w średnim wieku, dość wysoki i tęgi. Był boso. Widocznie w jego pojęciu nadszkakiwanie cudzoziemcom (tak bardzo rozpowszechnione w pewnym znanym mi kraju środkowoeuropejskim) nie należy do prawideł dobrego tonu. Poczekał, aż ja pierwszy się uklonię, i dopiero wtedy zdradził, że w ogóle zauważył wizytę.

W kajucie dwie niewiasty szorowały podłogę, która i bez tego aż lśniła. W budce sternika czynna była kuchnia. Stanowiły ją dwa nieduże piecyki blaszane, opalane drobno porąbanym drewnem. Rury ich łączyły się w jedną, wpuszczoną w otwór na dachu. Na pierwszym w płaskiej misie prażyły się okrągłe bulwki, naczynie ustawione na drugim szczelnie kryła błyszcząca, kopulasta przykrywa miedziana z okrągłą gałką na szczycie.

Z daleka widniały korony dużych drzew, ale nie zwracałem na nie uwagi, zapomniawszy, że w ogóle istnieje stałe wybrzeże. Miałem je jednak wkrótce zobaczyć, podwieszony łodzią. Było nadzwyczaj imponujące, wysokie chyba na dwa metry, gładko obmurowane kamieniem. Górą biegł bardzo szeroki, idealnie gładki chodnik z ławkami. Szeregiem rosły tam kolosalne drzewa o korze szarej, pokrytej zgrubieniami przypominającymi schorowane i rozdęte żyły. Ogromne gałęzie ocieniały cały deptak i sięgały daleko nad wodę. Zwisały z nich wiotkie warkocze korzeni powietrznych.

Za szerokimi kwietnikami, w sporych ogrodach stały piętrowe gmachy w bogatym i brzydkim europejskokolonialnym stylu. Nie brakowało i kościoła z krzyżem na pojedynczej wieży. Był szary, raczej niewielki i pozbawiony wyrazu. Stanowił dziwną mieszaninę rozmaitych porządków architektonicznych.

Nabrzeże to leżało na śródmiejskiej wyspie, którą od stałego lądu oddziela wąska odnoga podobna do kanału. Dawniej była to dzielnica angielska. Krajowcy mogli tu wchodzić tylko jako służący. Żadna łódź chińska nie miała prawa przybić do tego wspaniałego bulwaru.

Zbliżał się wieczór i łodzie stawały na nocleg. Korpusy większych czerniały dalej, na głębszej wodzie. Całą przestrzeń między nimi a brzegiem zajmowały setki mniejszych, wiosłowych, krytych daszkami z plecionki, opiętych barwnymi matami. Coraz się któraś bez szmeru wsuwała w nieruchomy szereg i szybkie ręce wiązały sznur do bambusowej tyczki, wbitej w dno. Tu i ówdzie snuł się dym z kuchenki. W walcowatych koszach uwiązanych pod rufami mościły się do snu kury. A w samej głębi — o setki metrów — za tysiącami masztów, drążków, ruf, dziobów, walcowatych i płaskich daszków, za domkami na tratwach sunęły po głównym nurcie wysokie żagle niewidocznych dżonek.

Opodal, tuż przy brzegu, stały trzy budyneczki podobne do przystani. Wokół każdego biegł lekki kryty balkonik. Przez szpary w podłogach sieni biegnących na przestrzał widniał muł dna, odsłoniętego przez odpływ. Były to szkoły, w których się uczy dzieciarnia ludzi rzeki.

Właśnie dobiegła końca ostatnia lekcja i bachorki formowały się na balkoniku w kolejkę. Kilkoro stało już w ogonku na pomoście, który od drzwi owej sieni pochyło zbiegał w wodę. Wszystkie były bosc, ubrane przeważnie na czarno, z torebkami przewieszonymi przez ramię. Czekwały grzeczne, nie przepychając się i nie kłócąc.

Uliczką utworzoną przez zakotwiczone łodzie nadpływało płaskie czółno. Wiosłował młody człowiek w europejskim ubraniu. Przybił do pomostu nie burtą, jak to się u nas praktykuje, lecz płasko ściętym dziobem. Zaraz dwoje największych dzieci uchwyciło rogi łodzi, przytrzymując je, podczas gdy inne gramoliły się do środka. Usiadły cicho wianuszkami. Młody człowiek odbił, zgrabnie obrócił i powiosłował w uliczkę.

Tak się tu odbywa powrót ze szkoły do domu.

O dostarczenie pociech do klasy troszczą się już sami rodzice.

Takich szkół jest teraz w tej wodnej dzielnicy aż dziewięć. Dawniej nie było ani jednej i wśród mieszkańców Rzeki Perłowej panował dziewięćdziesięcioprocentowy analfabetyzm. W pierwszych latach po wyzwoleniu trzeba było zwalczać zakamieniały konserwatyzm i niechęć do szkół. Teraz już idzie łatwiej i rodzice sami się zaczynają troszczyć o naukę dzieci.

Mówiła mi o tym miejscowa nauczycielka, dziewczyna zupełnie młoda. Włosy miała zaondulowane, na sobie beżowy lejbnik europejskiego kroju i takiejże barwy spodnie. Huang Keping, który po kantonku z trudem się porozumiewa, z nią rozmawiał zupełnie swobodnie. Bo też oboje używali „języka pekińskiego”, który w Chinach stanowi mowę powszechną, aczkolwiek wcale nie dla wszystkich zrozumiałą.

Szkoła, którą zwiedziłem, liczy sześciuset siedemdziesięciu uczniów, dwudziestu jeden nauczycieli i czterech innych pracowników. Założono ją w roku 1951. Klas ma szesnaście, ale sal tylko dwanaście i dlatego nauka musi się odbywać na zmianę, aż do wieczora. Niemal wszyscy uczniowie to dzieci mieszkańców rzeki.

Dawniej byli oni elementem pogardzanym. Prawa Chin cesarskich nie dopuszczały ich do urzędów ani do egzaminów państwowych.

Tradycje tego ludu są stare, sięgają epoki Ming, kiedy to przodkowie ich, uchodząc prześladowań, schronili się na rzekę.

To pierwsze pokolenie pewnie się uważało za nieszczęśliwych wygnańców. Następne jednak nie tylko przywykły, ale pokochały swój wodniacki byt. Obecny rząd Chin nic by nie miał przeciwko odesłaniu do muzeum tych form życia, pamiętających czcigodną epokę dynastii Świetnej. Świadczy o tym pokaźna suma dwustu tysięcy juanów przeznaczana co roku na przesiedlanie ludzi rzeki na łąd stały. Ale robota idzie opornie. Mieszkańcy

dżonek i sampanów nie kwapią się jakoś do przenosin pod dachy murowanych domów.

Intencje rządu są na pewno słuszne. Trudno na serio myśleć o prawdziwym wzroście kultury i stopy życiowej ludzi gnieźdzących się w ciasnych kubrykach lub w ciemnych pudłach pod pokładami. Ale i to jest chyba prawdą, że obraz świata się zuboży, kiedy ostatni lokator dżonki na stałe spakuje manatki.

Prędzej czy później nastanie jednak ten dzień i znowu się wzbogaci historia Kantonu, który istniejąc już dwa tysiące lat, tyle widział dziwnych przemian. O ludziach rzeki będzie się wtedy wspominać, jak się dziś wspomina o sławetnej instytucji Ko-hong, która powstała w roku 1720 i trwała przeszło wiek.

Była to spółka trzynastu najbogatszych kupców kantońskich, wyposażona przez rząd cesarski w monopol handlu z cudzoziemcami. Uczestnicy jej robili fantastyczne majątki, ale zarazem żyli w nieustannym utrapieniu, lawirując między rozmaitymi pożądlivościami i nie tracąc też z oczu własnej korzyści. Należało tak skalkulować cła i ceny, żeby samemu zarobić i mieć na haracze dla cesarza, wicekróla Południa, mandarynów i całej sfery urzędników.

Wąski skrawek wybrzeża w samym mieście był wtedy przeznaczony na składy towarów i mieszkania „zamorskich diabłów”, którzy nie mieli prawa przywozić swoich kobiet ani wypływać na rzekę. Podobno jednak zdarzały się żądne wrażeń europejskie damy, które w męskim przebraniu docierały aż tam, gdzie teraz stoi wysoki gmach hotelu Ai Qun.

Europejskie żaglowce kotwiczyły się wtedy w dole rzeki, w porcie Whampoa, wyładowując towary na sampany i łodzie.

Rzeka jest tam znacznie szersza niż w mieście, płynie odnogami między wyspami, na których rosną setki palm bananowych. Przy brzegach brodzą czarne pękate bawoły o rogach rozłożystych, podanych w tył. Na odległej wyniosłości widnieją kolorowe daszki świątyni, przy której w porze „odpustowej” zbiera się do czterdziestu tysięcy wiernych i wyrasta miasteczko kramów.

Murowane nabrzeża i budynki portu oraz kominy zakotwiczonego tam jugosłowiańskiego statku znikły za zakrętem. Płyniemy wolnym już szlakiem rzeki, mijając żaglowe dżonki walczące z prądem. Fale są żółtosiwe, z zielonymi refleksami na grzebieniach. Jeszcze jedna wyspa i nurt się nareszcie wyprostowuje, sam dla siebie stanowiąc kres, znaczony tylko prostokątymi, coraz to mniejszymi w perspektywie żaglami.

Daremne marzenia o wyjściu w morze! Po obu stronach delty Rzeki Perłowej leżą terytoria brytyjskiego Hongkongu i portugalskiego Macao.

Zeng Shifeng, naczelnik portu w Whampoa, powiada, że pora zawracać. Jest to mężczyzna w sile wieku, ostrzyżony na jeża, zbudowany jak atleta. Jego szeroka twarz łatwo się uśmiecha. Wybrał się razem z nami elegancką motorówką, zaopatrzoną w potężny kosz mandarynek. Nie omieszkał przypomnieć, że właśnie tu, gdzie teraz jesteśmy, przed stu siedemnastu laty rozpoczęła się niesławna wojna opiumowa.

W 1839 roku cesarski komisarz Lin Zexu przeciął dostawę żywności dla europejskiej dzielnicy Kantonu i głodem zmusił kupców do wydania zapasu opium, które zmieszał ze słoną wodą i zatopił w morzu. Było tego dobre dwadzieścia tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt skrzyń. Podobno cesarz zdobył się na energiczny rozkaz dopiero wtedy, kiedy jego ukochany syn zmarł nędną śmiercią wskutek nadużycia opium. Ale Brytyjczycy odpowiadzieli jeszcze energiczniej. Pierwsze starcia nastąpiły na Rzece Perłowej — gdzieś tu całkiem niedaleko - w pobliżu miejsca zwanego Wrotami Tygrysa. Już w 1842 roku Anglicy mieli w rękę Kanton, Amoj, Ningbo, Fuzhou oraz Szanghaj, zdobyte dzięki przewadze uzbrojenia. Wszędzie tam powstały europejskie koncesje, po których teraz pozostały już tylko liczne i nieraz bardzo solidne budynki. Za to tu i ówdzie można oglądać nowe formy organizacji stosunków handlowych z Europą. Tak na przykład w porcie Whampoa porządny dom piętrowy stanowi pomieszczenie Towarzystwa Żeglugi Polsko-Chińskiej.

Dziwny doprawdy widok, zwłaszcza jeśli pamiętać, iż rzecz się dzieje odrobinę na południe od zwrotnika Raka. Wisi arkusz papieru, po którego lewej stronie przeczytać można słowa: „Zamykać drzwi”, po prawej zaś tę samą zbawienną radę powtarzają chińskie hieroglify.

Z polskiego personelu zastaliśmy tylko Zbigniewa Nawrota. Powiedział nam, że lada dzień ma przybyć do Whampoa statek „Curie-Skłodowska”, pożyczyl najświeższe - to znaczy sprzed kilku tygodni — numery krajowych tygodników literackich i zwierzył się z poważnego zmartwienia. Polska kolonia w Kantonie liczy trzy rodziny, wobec czego nie ma kompletu do brydza.

Zdaje się, że całkiem niedyskretnie się przyglądałem temu skromnemu i cichemu blondynowi o chłopięcym niemal wyglądzie. Zastanowiło mnie, że tak niegroźną powierzchowność ma człowiek, który przejawiał tyle charakteru i siły woli, kiedy go wraz z załogą „Gottwalda” uwięziono na Tajwanie. Należał tam przecież do tych, co byli duszą oporu.

Nie wiem, jak wygląda polski konsulat w Kantonie. Cały czas spędzony w tym mieście poświęciłem na zgłębianie jego niezwykłego uroku.

Od czasu wojny opiumowej zaczął się Kanton przebudowywać. Znikł jego dawny wygląd, o którym świadczą już tylko stare ryciny. Wzdłuż większości ulic stanęły wysokie kamienice, jakże jednak różne od tamtych, sztabpowych i banalnych, które zapełniają Szanghaj.

Chodniki w Kantonie bieżą przeważnie pod podcieniami. Pierwsze piętra domów - niemal z reguły jasno malowanych - są podcięte, oparte na potężnych murowanych słupach. Nowa zabudowa skopiowała więc niejako dawny chiński porządek, który chronił przed upałem i deszczem nie tylko mieszkańców, lecz i przechodniów. Średnia temperatura najzimniejszego miesiąca wynosi w Kantonie +13,1 stopnia Celsjusza (w Pekinie - 4,3, w Harbinie zaś —19,7!). Mówiono mi, że śnieg padał tu ostatni raz kilkaset lat temu. Przyjechałem w grudniu, a miasto

i okolice kipiały zielenią, nawet kwiatami. Cóż tu się musi dziać na wiosnę!

Któregoś wieczoru, wędrując pieszo, trafiłem nagle w tunel barw. Była to wąska stara uliczka. Żaden pojazd nie mógł nawet marzyć o przedostaniu się przez nią, bo w samym środku - niczym rafa na rzece — sterczał rząd lekkich straganików przekupniów owoców. Z głębi sklepów pozbawionych przednich ścian biło światło. Ale pochyłe daszki płócienne i jaskrawe wstęgi szyldów, tworzące pogmatwany pułap, nie puszczały go w górę, nie dawały mu uciec. Blask'ładował więc na perkalach i jedwabiach rozpiętych w wystawowe wachlarze, na pękach strojów dzieciennych, na kolorowych matach rozesłanych wprost na bruku. Z wnek sklepowych lać się zdawała żywa czerwień, a głąb tunelu zamykała jaskrawa zieloność dwóch koron drzewnych pod elektrycznymi lampami.

Mrowił się zbity tłum, jakby całe miasto wyznaczyło sobie spotkania właśnie w tym miejscu.

O co jak o co, ale o tłok bardzo łatwo w Chinach. Jednakże kto nie był w Kantonie, ten nie może pojąć, co naprawdę znaczy ciżba. Ludzie południa kochają się w gwarze i ruchu ulicznym. W sobotnie wieczory i w niedzielę trudno nieraz się przepchać między słupami podcieni.

W Kantonie niewiele purytańskiej jednolitości strojów, jaka cechuje Pekin. Dużo tu ubrań jasnych, lekkich, ale jeszcze bodaj więcej charakterystycznej dla południa czerni, która jednak w tym klimacie i otoczeniu wcale nie wygląda żalobnie. Głowy przeważnie odkryte lub przystrojone w olbrzymie plecione kapelusze, płaskie, o szczytach w rozmaity sposób spiczastych. Podziwiałem hieroglify zdobiące ich runda. Mniemałem, że to odwieczna tradycja każe je malować. Wyjaśniono mi jednak, że są to budujące hasła, na przykład: „Wykonaj plan!”. Prasa chińska nieraz już pisała o bezsensie tej propagandy malowanej na kapeluszach lub drukowanej na bieliźnie, ale jakoś nie pomogło.

Dzieci nosi się tu na plecach. Uroczo wygląda taki rozkrazony na grzbiecie rodzicielki bachorek, dokładnie wypełniający

sobą kolorową płachtę, której cztery taśmy kobieta zawiązuje sobie przez piersi. Z tobołka zwisają dwie boscie nóżki, w górze łapki. Czarny łebek przywarty do matczynego karku. Widywałem na rzece Chinki, którym taki plecak wcale nie przeszkadzał wiosłować.

Istnieje przysłowie, które poucza, jak należy postępować, aby osiągnąć w Chinach szczęście. Trzeba zatem:

„Urodzić się w Suzhou, mieszkać w Hangzhou, jeść w Guangzhou i umierać w Liuzhou”.

O Hangzhou, które uchodzi za raj ziemski, już pisałem. Suzhou - do którego mnie niestety nie zawieziono — słynie z pięknych kobiet, w okolicach Liuzhou rosną duże lasy, więc umierać tam wygodnie, bo nie będzie kłopotu z trumną. Co się zaś tyczy Guangzhou, czyli Kantonu, to jest on zamieszkanym przez plemię przemiłych smakoszy - może nawet obżartuchów - i kunszt kulinarny osiągnął tam niebotyczne wyżyny.

Żyje obecnie w Szanghaju pewien kucharz znający sto dwadzieścia sposobów przyrządzania kury. Pochodzi, rzecz jasna, z Kantonu.

Podczas jednej z uczt usłyszałem, że nie zamówiono najwytworniejszego z dań miejscowych, ponieważ nie było pewne, czy mi ono do gustu przypadnie. Potrawa ta - zwana, o ile wiem, „walką smoka z tygrysem” — składa się z mięsa żmii i kota. Musi być obstalowywana na trzy dni naprzód, bo oba wspomniane stworzenia trzeba przecież złapać.

Nie żałowałem, że mi nie przyszło jej spróbować. Całkiem mi wystarczyło, kiedy się dowiedziałem, że jem ośmiornicę.

Zostałem raz zaproszony na „herbatę po kantońsku”. Trochę się zdziwiłem, bo termin wyznaczono akurat w porze obiadowej. Ale jeszcze bardziej się zdumiałem, zobaczywszy w holu wielkiego gmachu — przypominającego hotel — długą kolejkę do windy. Zasiedliśmy przy okrągłym stole na którymś tam piętrze, przeszedłszy liczne korytarze i galerie. Herbata była, owszem. Ale od początku kelnerzy zaczęli przynosić w czymś podobnym

do naszych sitek najrozmaitsze gatunki pierożków w cieście. Jedne były z mięsem, inne z jarzynami, rybą, ryżem... tylko Pan Bóg i kucharz wiedzą, z czym jeszcze. Nikt o to nie pytał i sami kantończycy często nie mają pojęcia, co w danej chwili jedzą, bo utajony w kuchni artysta uprawia prawdziwą twórczość, komponuje co dzień co innego. Po pierożkach wyjechała na stół ryba, inne potrawy, zupa, którą w Chinach zawsze podaje się na końcu - z „herbaty po kantońsku” zrobiła się lukullusowa uczta. Ją właśnie oznacza owa niewinna nazwa.

Galerie i korytarze zalegał tłum, ludzie starsi i młodszy, kobiety z dziećmi na ręku, wiekowe babki. Wszyscy cierpliwie czekali na swoją kolej i miejsce przy stołach. Na dole, przy windzie, ciągle było tłoczno.

Któregoś wieczoru do późna ucztowaliśmy w innej restauracji. Przez okrągły otwór zastępujący drzwi nieustannie dolatywał równy a głośny szum. Wychodząc, przystanąłem na chwilę przy poręczy galerii. Środek gmachu zajmowała ogromna sala. Zamiast ścian miała długie balkony, któredy się wchodziło do mniejszych pokoi.

Przy stolikach migwały pałeczki. Nikt się nie awantuował i nie wrzeszczał, to gwar zwykłych rozmów tysięcy ludzi huczał jak morze.

Nie chciałbym osłabiać powagi starego przysłowia. Myślę jednak, że nie tylko jeść, ale i mieszkać w Kantonie musi być przyjemnie. W każdym razie nie zamieniłbym go na żadne z poznanych miast chińskich.

NA
ZWROTNIKU

Jakoś tam jednak funkcjonują te nasze obgadane warszawy. Najeździłem się tu nimi jak nigdy dotąd i stwierdziłem, że to nawet całkiem przyjemnie, napatrzywszy się do syta palm bananowych oraz ananasów na grządkach, zajrzeć szoferowi przez ramię i przeczytać: Fabryka Samochodów Osobowych.

Niemają benzyny kosztował gospodarzy mój pobyt w Kantonie, zwłaszcza zaś wypadły w okolice. Trzeba było jednak chociażby po łębkach obejrzeć dziwny kraj, gdzie rolnik trzy razy do roku zbiera plony, a rowy przydrożne obrasta agawa, z której się robi sztuczny jedwab.

Wieś Hongcun leży przy bocznej szosie, czerwonej jak krew, biegnącej nad kanałem wśród zieleni, której by pozazdrościł każdy park europejski. Od stycznia 1956 roku jest tam spółdzielnia produkcyjna wyższego typu, powstała ze zjednoczenia pomniejszych kooperatyw, a skupiająca trzy tysiące pięćset osiemdziesięciu członków, zamieszkałych w dziewięciuset trzydziestu pięciu zagrodach. Na każdy dom przypada więc prawie czterech dorosłych, nie licząc dzieci. Ziemi jest sześć tysięcy siedemdziesiąt mu, co po naszymu oznacza niepełne trzysta siedemnaście hektarów. A więc niedużo więcej niż jedna trzecia hektara na zagrodę.

Jednakże taka średnia jest wyliczeniem czysto teoretycznym i nie obrazuje dokładnie ani dawniejszej, ani obecnej gospodarki, świadcząc tylko o wielkiej gęstości zaludnienia. Dzisiaj

praca odbywa się zespołowo, co stwarza zupełnie nowe warunki. O tym, jak było dawniej, można się przekonać, odbywszy po wsi spacer.

Nad wielkim stawem rybnym wznosi się kilka okazalszych domów zdobnych w łamane dachy, płaskorzeźby i malowidła. Nie są to wprawdzie pałace, ale w porównaniu z kurnymi chałupkami, które oglądałem na skraju wsi, wywierają pewne wrażenie. Okazało się, że na wspomnianych już trzystu siedemnastu hektarach oprócz chłopów rozmaitych stopni ubóstwa żyło też kilku obszarników. Jeden z nich jest teraz członkiem spółdzielni.

Myślę, że cała ta ludność dawno by wymarła z głodu, gdyby chciała sadzić kartofle i siać żyto. Na szczęście okolice położone na zwrotniku Raka mogą sobie pozwolić na inne kultury.

W jednym z sadów, gdzie rzadko rosnące drzewa zostawiały sporo miejsca, gromadzono do ważenia i wysyłki główny produkt spółdzielni. Były to ananasy i banany znoszone w koszach tak wielkich, że dziw brał, w jaki sposób dwoje ludzi może sobie poradzić z każdym. Nieco dalej sucho chrzęściło pod lekkim wiatrem pole trzciny cukrowej. Łodygi jej były u dołu fioletowe, wyżej jakby pokryte siwą pleśnią.

Z sześciu tysięcy siedemdziesięciu mu ziemi należących do spółdzielni połowa przeszło — trzy tysiące siedemset mu - to pola ryżu wodnego. Na drugim miejscu idą sady i ogrody owocowe, które zajmują tysiąc czterysta dwadzieścia mu. Dalej trzcina cukrowa — osiemset mu. Stawy rybne mają osiemdziesiąt siedem mu powierzchni.

Istnieje też i gospodarstwo pomocnicze. Chlewnia liczy trzydzieści jeden świń zarodowych i sto trzydzieści dwie tuczne. Na stawach i kanałach hoduje się tysiąc sto kaczek.

Ale na wszystkie dziewięćset trzydzieści pięć zagród przypada tylko dwieście dwadzieścia pięć sztuk bydła.

Są to bawoły używane jako siła pociągowa. Krowy ich nie dają mleka.

Od czasu założenia spółdzielni plany wzrosły. Średni dzienny zarobek jednej siły roboczej wynosi jeden juan, jedno mao i jeden fen.

Człowiekowi przyzwyczajonemu do widoku naszych jabłek, gruszek, śliwek i ulegalek mogą naprawdę zaimponować grządki pełne ananasów, palmy obrosłe pękami bananów lub inne, dźwigające owoce o kształtach dyń. A jednak kiedy się przyglądałem chińskiej wsi, ciągle powracał ów mroczny ton, którym mnie zaraziły spostrzeżenia poczynione między Nankinem a Szanghajem.

Pracowitość tego ludu przechodzi wszelkie wyobrażenia. Ale pierwotność metod pracy w niektórych dziedzinach może przerazić.

Widowałem istne sznury wieśniaków, którzy w kubelkach czy koszach uwiązanych do nosideł setki metrów dźwigali na pola nawóz. Inni nawet podczas deszczu polewali pola.

Za nawóz służy trawa, mierzwa, muł, gdzie się da popiół badyli palonych na miedzach. Daremnie wciąż wytrzeszczałem oczy, upatrując bydła. Raz tylko na fermie doświadczalnej pod Nankinem zobaczyłem krówkę, która poczuła widać właśnie przyływ temperamentu, zadarła ogon i puściła się w płasy. Wydała mi się znacznie piękniejsza od diwy filmowej.

Każdy kawałeczek gruntu jest tu w wielkiej cenie, ale można też zobaczyć znaczne połacie nieużytków. Przez okna pociągu, którym jechałem z Hangzhou do Kantonu (podróż trwa przeszło półtorej doby), widziałem całe pola czerwonych i żółtych pustek, na których gdzieniegdzie tylko z rzadka rosła wątła sośnina. I te nieszczęsne bezdrzewne wzgórza, których zżar-ta przez erozję powłoka wygląda jak schorowana i pokryta strupami skóra! Widok ich straszyl niemal wszędzie, gdziekolwiek się tylko ruszyłem w Chinach.

Z Hangzhou do Kantonu jedzie się przez prowincje: Zhejiang, Jiangxi, Hunan i Guangdong. Jest to przeważnie kraj ryżu... i żywiolowych kłęsk. Nad wąskimi, zapiaszczonymi rzekami obracają

się ogromne koła, które podnoszą wodę na wyżej znajdujące się lany.

Ten ostatni rzeczownik nie bardzo pasuje do rzeczywistości, bo pólka ryżowe są przeważnie małe i położone na różnych wysokościach. W przeciągu tysięcy lat człowiek zmienił tutejszy krajobraz, niwelując wyniosłości i ścinając ich zbocza. Pólko, gdzie ryż rośnie w wodzie, musi być przecież zupełnie poziome. Od sąsiedniego dzieli je zatem skarpa wysoka nieraz na dobry metr lub więcej. I jakże tu teraz ma wyglądać nowoczesna uprawa maszynowa na tych tarasach i schodach, których poszczególne stopnie miewają kształt rogalika, a wielkość izby mieszkalnej?

Pod samym Kantonem natrafiłem raz na obraz pełen kontrastu. Snuło się po polu kilka soch zaprzężonych w melancholijne bawoły, a tuż za miedzą huczały trzy traktory. Maszyna się jednak nie wdrapie na tamte amfiteatry, a gdyby nawet jakim cudem dokonała tego, to w żaden sposób nie obróci.

Rozmyślając o tym wszystkim, nie wiedziałem jeszcze jednej rzeczy, a mianowicie, że na każdym z tych pólek jest inna gleba. Przez setki lat uprawiano je bowiem indywidualnie, stosując różne sposoby nawożenia. Połączenie owych chemicznych różnaitości w całość mogłoby spowodować skutki całkiem niepożądane.

O własnych siłach nie mógłbym poznać tych tajemnic. Powiedział mi o nich jeden z pracowników Południowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego pod Kantonem. On także wytłumaczył mi, jak to jest z trzema zbiorami do roku w tej części Chin.

Ryż wodny sadi się w marcu i zbiera w lipcu, a powtarza te czynności w sierpniu i połowie listopada. W drugiej połowie tego miesiąca sieje się pszenicę, którą się żnie w marcu. Jak widzimy, ziemia tutejsza pracuje okrągły roczek.

Badacze ze wspomnianego Instytutu głoszą jednak, że zamiast pszenicy lepiej jest w listopadzie posiać zielone nawozy.

Zakład ten istnieje od niedawna, bo dopiero od kwietnia 1956 roku. Wyrósł z istniejącej przedtem stacji doświadczalnej, a przygotowania do jego założenia trwały trzy lata. Podlega Ministerstwu Gospodarstwa Wiejskiego, przy którym ma wkrótce powstać specjalna akademія, sprawująca zwierzchnictwo nad wszystkimi instytutami w państwie. W tej chwili jest ich około jedenastu. Każdy z nich włada licznymi stacjami doświadczalnymi w podporządkowanych sobie prowincjach.

Instytut kantoński rozpada się na jedenaście grup badawczych, które zgłębiają praktyczne zagadnienia związane z uprawą ryżu, bulw, bawełny, herbaty, orzecha ziemnego, trzciny cukrowej, mandarynek, bananów, mnóstwa innych owoców i warzyw eksportowych. Pozostałe grupy zajmują się hodowlą jedwabnika, trzody i bydła, chemią gleby, ochroną roślin, mechanizacją rolnictwa, ulepszaniem narzędzi, meteorologią, fizjologią roślin i wreszcie sprawami dotyczącymi spółdzielni produkcyjnych.

Trudno mi było wdawać się w szczegóły, nie znając terminologii. Wysłuchałem ogólnej charakterystyki Instytutu, obejrzałem jego budynki i popatrzyłem trochę, jak się wznosi dwa wielkie nowe bloki, przeznaczone na bursy dla pracowników i laboratoria.

Maszyn nie było. Zarówno wodę, jak cegły i zaprawę dźwigali ludzie. Rusztowania z bambusa wiązane łykiem były bardzo gęste, tworzyły wokół murów sześcienny, nieprzejrzysty dla oka kosz.

Tuż obok na półkach doświadczalnych rzędami rosła pszenica, którą się naprawdę piele. Dalej przy płotkach z krzyżujących się prętów trzciny zieleniały grzędy pomidorów.

Wędrując potem kantońską prowincją, oglądałem drewniane sochy, które tylko w szczegółach się różnią od swych siostrzyc, używanych o tysiące kilometrów pod Nankinem czy Ningbo. Widziałem tutejszą bronę, która wygląda jak ciężkie i wysokie grabie drewniane, wleczone przez bawołu. O wiele lżej było patrzeć na te zabytki, dla których właściwym miejscem jest muzeum, pamiętając o jedenastu badawczych instytutach, gdzie

specjaliści szykują zmiany. Większość personelu tych instytutów stanowią fachowcy z wyższym wykształceniem.

Przyroda pozwalająca na dwa i trzy zbiory rocznie zrobiła swoje: pomimo okrutnego zacofania techniki rolniczej kraj liczy sześćset milionów obywateli, którzy mają co jeść, chociaż właśnie żywność jest w Chinach towarem drogim i nie ma jej nadmiaru. Kwestia zaludnienia wygląda tu zresztą oryginalnie. Środek, a zwłaszcza wschód i południe kraju są bardzo zatłoczone. Niektóre okolice w dolnym biegu Jangcy-ciangiu liczą do tysiąca ludzi na kilometrze kwadratowym. Jednocześnie w takim Xinjiangu mieszka 2,8, w Qinghai 2,3 osób na kilometrze kwadratowym. Xinjiang i Qinghai są to olbrzymie prowincje położone na północnym zachodzie, przytykające do Tybetu. Średnia gęstość zaludnienia Chin wynosi w tej chwili sześćdziesiąt jeden osób na kilometrze kwadratowym, czyli o dwudziestu siedmiu ludzi mniej niż w Polsce!

Od wyzwolenia do końca roku 1956 sześćset osiemdziesiąt tysięcy ludzi przesiedliło się na zachód i północny zachód kraju. W skali ogólnej nie jest to zbyt dużo. Wolno jednak przewidywać, co się tu dzieć zacznie, kiedy technika i technologia powiedzą swoje słowo, kiedy zgęstnieje sieć komunikacyjna, naukowo opracowane zostaną metody pracy na roli i dadzą rezultat olbrzymie posiewy leśne, rozpoczęte po roku 1949. Wiele ziem dotychczas pustynnych przetworzy się wtedy w urodzajną glebę. A czym się wówczas staną błogosławione kraje południa, gdzie rolnik sieje i zbiera trzy razy do roku? Statystyka poucza, co już dziś jest możliwe do osiągnięcia pod warunkiem poprawy metod pracy. W latach 1948-1952 w Chinach zbierano przeciętnie 24,8 kwintala ryżu z hektara (w Indiach 11,1, w Pakistanie 13,8), w Japonii zaś 40.

Wyjeżdżałem do Chin, mając zupełnie określone poglądy na rolę nauki, technologii i techniki we współczesnym społeczeństwie. Zapatrywania te kształtowały się w zetknięciu z polską rzeczywistością, wynikały z obserwacji naszych powojennych

zrywów i marzeń, sukcesów, niepowodzeń i żalonych pomyłek. W Chinach przekonania owe utwierdziły się w sposób znakomity. W tym kraju po prostu gołym okiem widać, że tylko swobodny rozwój nauki i jej praktycznych zastosowań pozwoli ludziom osiągnąć dwa cele, których słuszność chyba nie ulega wątpliwości, a mianowicie: zmieścić się na powierzchni ziemi i jadać do syta.

Ogromny wzrost zaludnienia globu jest faktem rzucającym się w oczy. W roku 1955 światowy rekord przyrostu naturalnego pobiła Kanada: 20,2 na tysiąc ludności. Drugie miejsce zajęła Polska - 19,4, dalej szły: Związek Radziecki - 17,2, Jugosławia i Stany Zjednoczone mające przyrost niemal równy: 15,5 i 15,3. Francja, która w latach 1935-1939 na każdy tysiąc mieszkańców traciła 0,6, w roku 1955 miała 6,4 przyrostu.

W Chinach łatwo się przekonać, jakie trudności czekają taki kraj, który gwałtownie rosnąc w liczbę, dopuści do zaniedbania nauki i techniki. Trzeba się uczyć, patrząc na ten przykład oraz na metody zwalczania złego dziedzictwa.

Mało widziałem w Chinach i nie mam prawa do syntez. To jednak, co zdołałem zaobserwować, skłania do tezy, że w tym kraju szanuje się zdrowy rozsądek. Taki na przykład kantoński Instytut musi mieć roczny plan działania. I-o dziwo! - planu tego nie przysyła fachowcom żaden stołeczny dostojnik, o którym nie wiadomo, czy potrafi odróżnić ryż od ananasa. Plan się układa na zebraniu specjalistów Instytutu, stacji doświadczalnych oraz miejscowej administracji rolnej i już gotowy podaje ministerstwu do wiadomości.

Wspominałem, że przygotowania do założenia Instytutu trwały trzy lata. Istnieje, jak wiadomo, inny sposób postępowania, polegający na tym, że się zakłada „instytut naukowo-badawczy”, nie mając ani lokalu, ani fachowców, „ani żadnej rzeczy, która jemu jest”, z wyjątkiem naturalnie listy płac i dostojęstw.

Oprócz rolniczego istnieje też pod Kantonem Instytut Hodowli Roślin.

Nie zwiedzałem go, lecz wyobrażam sobie, ile ma on do roboty tu, gdzie wegetacja i w grudniu imponuje, a co krok to drzewo lub zioło, którego nawet nazwać nie potrafię. Dla jakich specjalistów nie ma zresztą roboty w tym przedziwnym kraju? Prastara cywilizacja chińska rozpościera się przecież na ziemiach, które z punktu widzenia nauki współczesnej stanowią często teren dziewiczy. Ileż tu jest jeszcze do odkrycia, zbadania i wyzyskania!

Niedawno na przykład, bo zaledwie w roku 1930, ludność pewnej wsi doniosła władzom o zdrojach gorącej wody, bijących z ziemi w dolinie rzeki Linzhi He. Od niepamiętnych czasów źródła te służyły miejscowym wieśniakom do celów raczej niezbyt doniosłych. Dopiero wskutek tego meldunku stwierdzono, że można w nich nie tylko sparzać bity drób, lecz również leczyć choroby serca, nerwów, żołądka, nadciśnienie, artretyzm i reumatyzm.

Gorące Źródła leżą kilkadziesiąt kilometrów od Kantonu, w okolicy górzystej i uroczej. Linzhi He znaczy Mała Rzeczka, która to nazwa tylko w skali chińskiej może być uznana za trafną. O dwadzieścia kilometrów na południe od Gorących Źródeł koryto jej przegrodzi wkrótce zaporą i duży obszar kraju uzyska nowe źródło energii elektrycznej.

Tam gdzie ją widziałem, Linzhi He nie zmieniła jeszcze charakteru. Wodę ma lazurową, przejrzystą, pod brzegami i na głębiach przechodzącą w szmaragd. Błękitne, powyginane pasmo płynie między złotymi usypiskami piachu w obramowaniu wysokich i gęsto zadrzewionych brzegów. Są tu i palmy, i sosny chińskie, wysmukłe a subtelne, takie właśnie, jakie oglądać można na obrazach starych mistrzów tego kraju. Rosną duże kępy bambusa, który wymiary tegiego drzewa łączy z wiotkością liściastego krzewu, falującego pod lada wiatkiem.

Sprzyjało mi szczęście w tych wyprawach na prowincję. Bo w samym Kantonie trzeba było jednak chodzić w jesionce i swetrze. Akurat musiałem trafić na przyływ zimniejszego powie-

trza! Słońce jakby się uparło i wylało zza chmur tylko wtedy, kiedy ruszaliśmy na wieś. Za to jak przygrzało, to od razu sobie człowiek przypominał, że jest na zwrotniku.

W pełnym blasku oglądałem uroki Gorących Źródeł, gdzie na niezbyt dużym trawniku przed głównym gmachem rośnie czterysta gatunków kwiatów i ziół dekoracyjnych, a majolikową poręcz nad basenem zdobią jeszcze wazonny chryzantem. Małe, kolorowe wille po obu stronach rzeki należały ongi do rozmaitych kupców i dostojników, potem opustoszały podczas wojny i służyły miejscowym wieśniakom za chlewy. Teraz — odremontowane i przywrócone do pełnej krasy — wchodzi w skład państwowego uzdrowiska, które się wzbogaciło o niedawno wybudowane gmachy wypoczynkowe oraz sanatorium.

Chociaż bawiłem tam tylko kilka godzin, przydzielono mi do dyspozycji apartament na pierwszym piętrze, oznaczony numerem 409. Dowiedziałem się, że w tutejszych „domach wczasowych”, przeznaczonych wyłącznie dla osób wysoko postawionych, może się wygodnie pomieścić dwieście rodzin, które w Chinach przeważnie bywają liczne. W dole - nad basenem - są pawilony wypoczynkowe utrzymane w starochińskim stylu oraz restauracja. Nieco wyżej, na zboczu, osobny gmach mieści salę taneczną.

Sanatorium, z którego korzystać mogą tylko „kadry” powiatowe i wyższe, ma miejsce na stu chorych.

Apartament 409 - dokładnie taki sam jak inne w głównym budynku - składa się z luksusowo urządzonego pokoju na jedną osobę i ma kryty, kamienny balkon przez całą szerokość. Rozpościera się stamtąd widok na ów trawnik o czterystu gatunkach kwiatów. Ogromna łazienka posiada basen kąpielowy, do którego doprowadzona jest gorąca woda z leczniczego źródła.

W sanatorium pokoje są jednoosobowe, ale urządzone bez porównania skromniej. Nie posiadają balkonów. Toaleta jest jedna na każdym piętrze. Zabiegi hydroterapeutyczne odbywają się w salach o jednej wannie na kilka osób i kilku pojedynczych. Jedna taka sala służy pacjentkom, druga pacjentom.

Osobiście wolałbym, żeby wszystko było odwrotnie. Jeśli już koniecznie ma być luksus, to niech służy chorym, a dostojni wczasowicze niech się trochę ograniczą.

Gorące Źródła widują również zagranicznych gości, i to rangi o wiele wyższej niż polski reporter. Podobno po ostatnim zjeździe Komunistycznej Partii Chin pewna liczba osób z zagranicy przebywała tu przez miesiąc i dłużej. Nie dziwię się — sam widok Gorących Źródeł zachęca do odpoczynku i kuracji.

Moi informatorzy mówili mi o tym wszystkim w najlepszej wierze i na pewno byli przekonani, że wyjadę zbudowany na duchu. Cóż oni są temu winni, że mózg polski jest widać *naturali-ter* buntowniczy i że skutek propagandowy był odwrotny do zamierzonego?

Po dość forsownej przechadzce do okolicznych wodospadów oraz po przyjemnej kąpieli w owej łazience z wodą leczniczą roz-siadłem się samotnie w apartamencie numer 409 i pograżyłem w rozmyślaniach.

Temat ich był dość prosty: ile trzeba by czasu, żebym ja sam - żyjąc w takim luksusie jak ten tutaj - nie tylko się przestał oburzać na nierówności i niesprawiedliwości społeczne, ale nawet stał się zapamiętałym wyznawcą takiej hierarchii, która mnie właśnie wynosiłaby na szczyty? Ostatecznie widywało się w tej mierze rozmaite rzeczy zarówno przed wojną, jak i po niej. Zjawisko korozji człowieka jest na pewno pozaustrojowe.

Termin „korozja” pochodzi, jak wiadomo, od łacińskiego słowa *corossus* — wygryziony — i oznacza nadgryzanie metali przez chemiczne działanie składników powietrza, smarów itp. lub mechaniczne niszczenie skał pod wpływem wiatrów i wody. Materiał, który uległ korozji, pokrywa się warstwą rdzy albo zwietrz -liny. Dla określenia podobnych zjawisk w zakresie psychiki może się przydać celne polskie słowo: znieczulica.

Fakty świadczą, że stanowi ona jedno z największych niebezpieczeństw w życiu krajów zacofanych i biednych, gdzie tylko udział w funkcjach rządzenia otwiera przystęp do luksusu, a cho-

ciażby tylko do jakiegokolwiek materialnego przywileju. Wypaść z kręgu władzy oznacza tam przecież trafić w zatłoczone tramwaje, w kolejki przed sklepami, w mizериę bytowania istot narażonych na wszelki niedostatek, a wobec własnego losu bezradnych. Bardzo łatwo w tych warunkach idea po prostu się utożsamia z władzą i rosną szeregi zwolenników nigdy głośno niewypowiedzianej zasady: demokracja to ustrój, w którym ja rządę.

Dlatego też wszelkie napisy: „Tylko dla...”, umieszczone na bramach jakichkolwiek urzędów służących ludzkiej wygodzie, powinno się uważać za groźny sygnał ostrzegawczy. Bo w „zakazanych miastach” łatwo może się zwichnąć cała historia kraju. Czasami nie można uniknąć konieczności tworzenia takich oaz. Ale to nie zwalnia od obowiązku uważania ich za zło.

Nie wiem, jak się te rzeczy przedstawiają w Chinach. W Europie łatwo o przykłady na poparcie wyłożonych przed chwilą tez.

Wszystko, co widziałem w Chinach i o czym w tej książce piszę, świadczy, że ten kraj nieograniczonych możliwości i wielkiego zacofania wielu dziedzin pracy jak o najcenniejszy skarb musi dbać o ludzi posiadających kwalifikacje, o takie czy inne kadry. Dotychczas nie może być mowy o zaspokojeniu powszechnych potrzeb. To prawda. Ale wyznaję, że z niepokojem słuchałem, iż liczne sanatoria w Hangzhou przeznaczone są: jedno dla wojska, inne dla marynarki, trzecie znów wyłącznie dla kadr prowincji Zhejiang i tak dalej. Widok Gorących Źródeł wzmógł te trwogi.

Mało wiem i nie mogę się kusić o żaden kategori czny sąd. Bardzo możliwe, że wszystko się utrzymuje w granicach konieczności i przysłowiowa pałka wcale nie została przegięta. Ale poczucie zwyczajnej uczciwości nie pozwala taić niepokoju. Z serca bym pragnął, żeby wszystko w Chinach było jak najlepiej, i właśnie dlatego muszę się zwierzać z wątpliwości.

W Gorących Źródłach nie ma linii kolejowej. Przy szosie wyrasta jeszcze jeden piętrowy gmach. Będzie to hotel czy pensjonat przeznaczony dla zwykłych kuracjuszy.

Po drugiej stronie drogi, nad rzeką, jest do obejrzenia rzecz bardzo ciekawa. Wznosi się tam wielkie koło służące do nawadniania pól. Widywałem je dotychczas tylko z daleka i nie omieszkałem skorzystać z okazji do zawarcia bliższej znajomości.

Koło takie umieszcza się przy brzegu urwistym i równoległe do niego. Musi być tak wielkie, by wystawało trochę ponad krawędź. Średnica ma więc kilka metrów. Jest podsiębierne i całe -z wyjątkiem drewnianej osi — zrobione z bambusa. Między łopatkami z plecionki ukośnie umieszczone są bambusowe tykwy. Osadzono je tak, że obracające się koło czerpie nimi wodę z rzeki, unosi ją w górę, mała po drodze rozchlapując, i ostatecznie — w szczytowym punkcie obrotu, a więc wyższym niż krawędź brzegu - wylewa do koryta umieszczonego równoległe. Stamtąd woda dostaje się do drugiego koryta, położonego prostopadle do brzegu i nieco pochyłego, skąd już naturalną rzeczą koleją ścieka w kanaliki na pola.

Koło takie stanowi oryginalne perpetuum mobile. Obraca je sama woda i nie można go zatrzymać. Jeśli nie potrzeba nawadniać pól, zatyka się koryto odprowadzające i woda wylewa się zeń prosto do rzeki, z której przed chwilą została zaczerpnięta.

Przy każdym takim kole jest jeszcze tama z plecionki ukośnie przegradzająca całą rzekę i powodująca małe spiętrzenie wody. Zostawia się w niej wycięcia dla ruchu tratw.

Widok jest doprawdy piękny. W cieniu kilku drzew bez ustanku się obraca olbrzymie koło z poczerniałej i srebrem połyskującej plecionki. Łopatki sieją wokół tuman wodnego pyłu, szumi woda na tamie, jasna struga ścieka z zatkniętego akurat koryta.

Piękny widok! Ale tym bardziej zrozumiała i cenna się staje rola ludzi, którzy potrafią sprawić, że czcigodne to urządzenie ustąpi nareszcie miejsca sile energii elektrycznej, której dostarczy spiętrzona zaporą ta sama urocza rzeka Linzhi He.

„DOBRY
CZŁOWIEK
Z SYCZUANU”

Grzeję dłonie nad misą z węglami, które okrywa siwy popiół, i przeżywam gorzki smak zawodu. Przelecieć bez mała dwa tysiące kilometrów nad południowymi Chinami i prawie nic nie zobaczyć! A wszystko naturalnie przez te przekłete chmury i obłoki, które tylko z dołu wyglądają poetycznie, ale grzbiety mają śmiertelnie nudne.

A w dodatku jeszcze niepotrzebnie stracić cały dzień! Dochodzi południe 23 grudnia. Statek do Wuhanu odbija jutro wieczorem - w samą Wigilię. Na obejrzenie Chongajngu zostało mi bardzo mało czasu.

Gdybym tę samą drogę odbył wozem czy chociażby tylko samochodem, starczyłoby mi wspomnień na całe życie. Samolot naprawdę potrafi odzierać podróż z uroku, a niekiedy także gruntownie gmatwać jej plany i marnować czas.

Zamiast o siódmej rano wylecieliśmy z Kantonu około południa, bo gdzieś po drodze zaległy srogie mgły. Widziałem tylko mnóstwo czerwonych dachów nowych domów w Nanningu, gdzieśmy lądowali. I dopiero koło czwartej nad równym polem białych chmur zamajaczyła czarna, spiczasta wysepka - skalisty szczyt góry. Z daleka dało się rozpoznać, że tuż za nim gruba warstwa obłoków pęka w obrywy, przepaście i studnie. Wyjrzało z nich szkarłatne dno.

Ziemia wyglądała jak napojona krwią. Nic tylko czerwień, ciemnozielone plamy drzew i szare urwiska skał. Jedynie daleko

ku północy widniała łagodna, szmaragdowa dolina z błękitnymi rozlewiskami wody.

Byłem w samolocie jedynym białym. Świadomi rzeczy towarzysze podróży zaraz mi zaczęli dawać znaki, bym patrzył w prawo. Nadlatywaliśmy bowiem nad dziwo natury, zwane Kamiennym Lasem. Kilka płaskich wzgórz pokrywają szare, skaliste ostańce wysokie na dziesiątki metrów. Stoją ciasno, jeden przy drugim, naprawdę jak niesamowity bór kamiennych maczug.

Nadprogramowy nocleg wypadł nam w Kunmingu, który słynie jako miasto wiecznej wiosny i jest stolicą prowincji Yun-nan, graniczącej z Wietnamem, Laosem i Birmą.

Nie ma tu ani mrozów w zimie, ani upałów w lecie i na tym polegać ma owa wieczna wiosna. Krótco tam bawiłem - zaledwie jeden wieczór i noc — ale chyba się nie mylę, że daleko Kun-mingowi do wegetacyjnej bujności okolic Kantonu.

Samo miasto zrobiło na mnie wrażenie dość ubożego. Domy przeważnie z gliny z drewnianą przednią ścianą. Sklepy jak wszędzie - otwarte z frontu i zaopatrzone wcale dobrze. Tylko żywność jest tu - o ile wiem — droższa niż gdzie indziej. W kilka dni później udało mi się wydusić z Huanga Kepinga, że niczym specjalnym niewyróżniająca się kolacja w bardzo eleganckim hotelu kosztowała aż pięć juanów.

Na ulicach spotyka się dziwne postacie w szerokich pilśniowych kapeluszach, kapturach i barwnych fałdzistych opończach. W prowincji Yunnan oprócz Chińczyków żyje dwadzieścia rozmaitych mniejszości narodowych.

Honory domu czynili mi dwaj młodzi literaci: dramaturg Lan Men i krytyk Yang Chongchan. Powierzchnowość tego ostatniego od razu zwróciła moją uwagę. Był wysoki, w ruchach zamaszysty, miał orli nos i szerokie brwi. Wywodził się z narodowości Bai.

Miejscowy oddział chińskiego Związku Pisarzy redaguje miesięcznik „Biencan Wenyi”, co w swobodnym przekładzie znaczy: literatura miejsc odległych od serca kraju. Pismo ukazuje się w piętnastotysięcznym nakładzie i drukuje na równi utwory

literatów chińskich i mniejszościowych. Jedno z jego zadań polega na kształceniu talentów wyłonionych przez małe narody, które niekiedy nie posiadają dotychczas piśmiennictwa, lecz mają za to bogatą twórczość literacką przekazywaną ustnie. Znajdują się więc w tym samym stadium rozwoju kulturalnego co antyczna Grecja przed spisaniem pieśni Homera. Nie będzie cudu, jeśli się okaże, że i tu pokolenia wieśniaków przekazywały sobie utwory będące dziełami wielkiej sztuki.

Zrzeszonych literatów jest w Kunmingu około pięćdziesięciu. Ośmiu spośród nich to członkowie mniejszości narodowych.

Przypuszczam, że wiele ciekawego jest do zobaczenia w trzysetletnim dawniej mieście, które po wyzwoleniu podwoiło ludność i liczy sobie przeszło sześćset tysięcy mieszkańców. To silny rozwój przemysłu tekstylnego podziałał tak pięknie.

O świcie mocno błyszczało ciało niebieskie zwane u nas Gwiazdą Zaranną, w Chinach zaś Gwiazdą Jasnego Nieba lub Tą, Która Zwiastuje Światłość. Co jednak w niczym nie przeszkodziło, że zaraz po starcie wleźliśmy w chmury i wyjrzelśmy z nich dopiero nad samym Chongqingiem.

Siąpił chłodny deszczyk i czekając chwilę w holu dworca lotniczego, przyszło trzymać dłonie nad mosiężną misą z węglami. I w tej części Chin nie ma bowiem innych sposobów ogrzewania.

Lotnisko leży trzydzieści pięć kilometrów od miasta. Wąska szosa biegnie wściekłymi serpentynami, wcięta w zbocza dolin, podobnych czasem do przepaści. Od razu znać, że to już dalekie, wschodnie przedproże Tybetu. Widoki muszą być cudne, ale dziś jak na złość zasłania je gęsta mgła. Wpatruję się w mijane kotliny, pragnąc zapamiętać ich wygląd, i ani odgaduję, że za chwilę zobaczę je znowu. Jeden i ten sam pejzaż ma się tu przed oczyma trzy albo i czterokrotnie, to po prawej, to po lewej ręce. Między pętłami szosy skrótowe ścieżki dla pieszych, na większych stromiznach przechodzące w kamienne schodki. Mijani przechodnie - bosy przeważnie lub człapiący w słomianych łapciach - szybko się zasłaniają parasolami od błota tryskającego spod kół.

Zza zakrętu wysuwa się nagle ciężarówka i staje w miejscu, jakby się przestraszyła naszego widoku. Również i nasz kierowca zatrzymuje auto. Po chwili tamta maszyna wolno rusza. Cierpliwie czekamy, aż nas minie.

Właściwy powód tych ostrożności zrozumiałem dopiero w pobliżu miasta. Pochyłość była całkiem umiarkowana. Poczulem nagle, że samochód jakby podciągnął zadem... raz... drugi... poszedł w zatokę i całą siłą nabytego rozpędu posunął w poprzek szosy prosto na półko ryżowe, położone parę metrów niżej i nalane wodą do pełna. Szofer zdążył jeszcze nakierować na kupę tłucznia, którą przednie koła rozorały, ale znalazły oparcie.

Deszcz rozmoczył glebę syczuańską. Tę samą, która nadała krajowi oficjalnie przyjęte w geografii miano Czerwonej Kotliny.

Przyjechałem więc do Syczuanu, do dziwnej prowincji, o której zaludnienie gorąco się spierają specjaliści. Brockhausowski słownik *Das Gesicht der Erde* (wyd. 1956) utrzymuje, że mieszka tu sześćdziesiąt dwa miliony osób. Tom *Chiny* wydany przez naszą Książkę i Wiedzę wymienia liczbę mniejszą o dwadzieścia milionów, w Chinach się mówi o pięćdziesięciu siedmiu milionach. Inni jednak podają te obliczenia w wątpliwość i twierdzą, że Syczuan ma osiemdziesiąt milionów mieszkańców.

Wszyscy jednak zgodnie zaliczają go do najurodzajniejszych prowincji Chin. Żywność jest tu tańsza niż w innych dzielnicach kraju.

Stolicą prowincji jest miasto Chengdu. Chongqing, zamieszkały obecnie przez milion siedemset siedemdziesiąt dwa tysiące ludzi, podczas drugiej wojny światowej był siedzibą władz Kuomintangu. Rezydował w nim sam Czang Kaj-szek i tu właśnie w 1942 roku przylatywał doń w odwiedziny specjalny wysłannik prezydenta Roosevelta, Wendell Willkie, autor znanej książki *Świat jest jeden*.

Czytałem to dzieło w przekładzie francuskim i zapamiętałem jedno z przewidywań autora, który twierdził, że niepomysłny dla Waszyngtonu wynik walk o Chiny może zasadniczo wpłynąć na

położenie Stanów Zjednoczonych i przemienić je w wielki obóz wojenny. Wendell Willkie nie żywił wątpliwości, że właśnie w Chinach rozstrzygają się zagadnienia niezwykle ważne dla przyszłości świata. Jednakże bawiąc tu w roku 1942, nie odgadł, co się w tym kraju stanie w siedem lat później. Jak wiadomo, deklarację o utworzeniu Chińskiej Republiki Ludowej ogłoszono w Pekinie 1 października 1949 roku.

Dziwnie bywa z tymi przewidywaniami politycznymi. W roku 1930 ukazała się w Warszawie książka Romana Dmowskiego *Świat powojenny i Polska*, w której przeczytać można twierdzenie - utrzymane w tonie niedopuszczającym wątpliwości - że po rewolucji rola Rosji w Europie raz na zawsze się skończyła, ale nadal jest znaczna w Azji. W roku 1947 pewien polski pisarz polityczny - o ile mi wiadomo zaliczający się do ideowych spadkobierców Romana Dmowskiego - wydał na emigracji dzieło, w którym głosił, że Rosja wygrała wojnę w Europie, w Azji zaś osiągnęły to Stany Zjednoczone, Chiny bowiem są już na zawsze amerykańskie.

Dom, w którym się niegdyś mieściły urzędy Czang Kaj-sze-ka, stoi nadal w Chongqing. Przy jednej z ulic można też obejrzeć skromną kwaterę, w której mieszkał i pracował politycznie obecny premier Czou En-laj.

Z okien jego dawnego gabinetu jest piękny widok na usianą łodziami rzekę Jialing, lewy dopływ Jangcy-ciangu. Obie rzeki płynące bardzo głębokimi dolinami zlewają się w samym centrum miasta, które dzieli na trzy części.

Chongqing cały przywarł do skalistych szczytów.

W najwyższym punkcie leży muzeum, a wiodąca doń serpentina jest tak ostra, że w uszach się zdaje dzwonić, kiedy auto bierze zakręty. Wjeżdża się do miasta wiaduktem wrąbanym w kamienne zbocze i podpartym potężnymi murowanymi filarami. Po prawej stronie głęboko w dole widać żółtawą Jangcy, po lewej zdumione oko natrafia na domy, wmurowane pod nawisy skalne lub inne, sterczące na cyplach. W Kantonie ludzie

rzeki trzymają dzieciarnię na sznurkach. Myślę, że podobna ostrożność przydałaby się w tych chałupkach ustawionych wysoko, z progami tylko o krok oddalonymi od niczym nieosłoniętych krawędzi urwisk.

Rzadki deszczyk ciągle siąpił, a chmury wisiały tak nisko, że zdawał się zapadać przedwczesny zmierzch. Staliśmy na brzegu bardzo wyniosłym, mając przed sobą cypel u ujścia Jialingu. Daleką perspektywę spotężniałej i prostej Jangcy zamykała góra ze strzelistą pagodą na szczycie. Na zboczach dolin rzecznych piętrzyły się domy wszystkich trzech dzielnic miasta, a linie brzegowe gęsto obsiadły kotwiczące przed nocą łodzie.

W Chinach przybijają one do lądu nie burtą, jak u nas, lecz dziobem, który jest szeroki i płasko ścięty. I kiedy tak staną nieprzerwanym szeregiem, ciasno zestosowane bokami, ich pokłady i dachy kambuzów tworzyć się zdają istny pomost, najeżony masztami.

Niektóre sampany jeszcze się snuły po obu rzekach, mijając ryczące parowce. Długa łódź ciężko szła w górę Jangcy, pędzona przez dziesięciu wioślarzy. Przepłynął nieduży statek spęczniały od czarnej cizby ludzkiej. Taka podróż na pokładzie z góry tylko osłoniętym blaszanym daszkiem trwać potrafi całą dobę i dłużej. W Syczuanie głównymi drogami są dotychczas rzeki. Na prawym brzegu Jangcy, u stóp dzielnicy zwanej Miastem Południowym, stały ongi kantory firm cudzoziemskich, wywożących z kraju skóry, jedwab i wełnę.

Transport towarów i teraz odbywa się tu przede wszystkim wodą.

Od miejsca, w którym staliśmy, wiodły w dół ku przystaniom bardzo szerokie schody. Mijały się na nich dwa żywe potoki. Z tym, co się mozolnie piął w górę, płynęły arkusze grubej blachy, zwoje drutu, pręty zbrojeniowe, żelazne beczki z naftą. Krok za krokiem, z twarzami zlanymi potem, szli ludzie bambusowymi nosidłami sprzężeni w czwórki. Bose ich nogi aż po kolana oblepiało czarne błoto. Nieruchome oczy patrzyły przed

siebie, a otwarte usta głośniły ciągle ten sam monotony zaśpiew. Ciszej poddawała go pierwsza para, druga odrzucała - o ton wyżej. Żalony, słaby, jakby przygnieciony do ziemi krzyk trwał nieprzerwanie. Wolno ze stopnia na stopień dźwigały się ciężary, ale od cypla, od zakotwiczonych sampanów uwieszone u ramion tragarzy bez ustanku sunęły nowe paki, kosze i wiązki — drewno, żelazo, jarzyny i stal.

Między podnóżem schodów a rzeką zalega duża płaszczyna twardego piachu. Niby grzbiety skamieniałych potworów sterczą z niej długie, lecz niskie grzędy omytych skał. Wiosną i latem woda zalewa to miejsce i dochodzi pod słupy i pale, na których przytulona do urwiska od strony Jangcy stoi cała dzielnica ciemnych domków. Dachy ich piętrzą się fantastycznie, ale ściany pokryte bielizną, matami, koszami zwierają się w jedną zbitą całość. Chałupy ustawione na wiotkich pomostach tworzyć się zdają zwarty organizm, mocno zrosłe ciało. Wyjść stamtąd jedną z tych klitek, a wszystkie się chyba rozpręgną i runą w dół.

Deszcz nie ustaje. Moczy góry warzyw zwałonych na piasek przy kładkach wybiegających daleko w wodę. Patrzę, jak młoda kobieta podsadza się i dźwiga na nosidłach dwa ogromne kosze z wikliny, kopiasto wyładowane głowami kapusty. Przez chwilę jakby się chwiała, chwytając równowagę, aż wolno ruszyła ku wyniosłemu urwisku.

Drugie pasmo schodów biegnie po przeciwnej stronie cypla u zbiegu dwóch rzek, dźwigającego na szczycie resztki dawnych obwarowań miejskich. Brama, która tam kiedyś stała, zwała się Wrotami Nieba.

Schody są równie szerokie i strome jak tamte, którymi zeszlśmy nad wodę. Oba pasma stanowią jakby rozwidloną drogę, wiodącą z góry do tej samej przystani. I na obydwu takie same kolumny tragarzy, ten sam nieludzki trud i ta sama wstrząsająca „*pieśnią, podobną stonu*”.

Usuwać się na bok aż pod płócienne daszki straganów i jadłodajni obramiających szlak. Tuż obok przechodzi młoda

kobieta idąca w pierwszej parze czwórki tragarzy. Rozpięła kaptan, wystawiając na wiatr okryty białą koszulą płaski, bezpiersny tors. Bambusowe drążki aż się gną od ciężaru utroczonej na sznurach żelaznej beczki.

Spory placyk na górze cały zawalony przydźwiganym towarem. Tłoczą się liczne dwukółki, ale *nie* widać koni czy mulów. Opleciona linami szóstka mężczyzn nawala się na szleje, okrutnie wyładowany wóz rusza.

Pod ścianą w głębi czeka granatowa warszawa. Zatrząskując za sobą drzwiczki i wstyd mi klaksonu rozgarniającego objuczony tłum.

W nie lada miejscu przyszło mi borykać się z wrażeniami wyniesionymi znad rzeki. Proszę sobie wyobrazić, że ktoś wybudował w Polsce hotel dokładnie naśladujący styl Wawelu, w centrum zaś umieścił salę zebrań będącą wierną kopią krakowskiej katedry. Według takiej właśnie zasady wzniesiony został hotel w Chongajngu, którego środek to dokładny, tylko powiększony wizerunek pekińskiej Świątyni Nieba, trzypiętrowe zaś skrzydła naśladują pałace cesarskie. Apartament, który mi tam dano, zawierał salon, gabinet, dwuosobową sypialnię i wielką łazienkę. Kaloryferów nie ma. Elektryczny grzejnik żre drogi prąd jak smok, podnosząc temperaturę do dwunastu stopni Celsjusza.

Prasa chińska zjechała odpowiedzialnych za budowę tego hotelu jak łysą kobyłę i nikt już więcej czegoś podobnego nie robi. Zresztą kontrasty między wspaniałościami niektórych nowych gmachów a powszechną niską stopą życiową mogą najwyżej doraźnie złościć, lecz nie dają prawa do poważnych zarzutów. Co dziś jest luksusem, za dwadzieścia lat być nim przestanie, więc może to i mądrze budować trochę na wyrost.

Pompatyczny hotel nie jest godzien uwagi w porównaniu z inną rzeczą w Chongajngu. Z nadrzecznego wiaduktowego wysoko otwiera się widok na dwa długie dachy dworca, skąd wychodzi tor kolejowy do Chengdu odległego o pięćset kilkadziesiąt kilometrów. Walka o założenie tej linii trwała od daw-

na, od schyłkowej epoki dynastii Qing. Wiadomo, jak to bywa - droga żelazna może naruszyć interesy rozmaitych person prywatnych, lecz dostatecznie wpływowych, by przeszkodzić robocie i nawet zahamować plany. Dopiero więc po wyzwoleniu w przeciągu dwóch lat wybudowano tę najpierwszą w całym ogromnym Syczuanie kolej.

Dworzec leży nisko w dolinie Jangcy. Wiodą w jego kierunku monumentalne schody, prostym sztychem na wylot przebijające całą dzielnicę starych domków o czarnych dachach. Nieco w lewo po szynach na ostrej pochylni suną w górę i w dół czerwone, podobne do tramwajów wozy wyciągu linowego.

W Chongqingu dotychczas tragarze dźwigają towary, ale przynajmniej nie trzeba już nosić w palankinach ludzi, co dawniej było regułą. Ulicami kursują trolejbusy, a nad przystanią u ujścia Jialingu zobaczyć można betonową pochylnię, z której sterczą żelazne pręty. Jest to budowany teraz wyciąg dla towarów.

Widok nieludzko obładowanych tragarzy przeraża. Ale dzienny zarobek każdego z nich wynosi od dwóch i pół do trzech juanów. Bezrobocie nie grozi, zabezpiecza przed nim organizacja zawodowa stworzona po wyzwoleniu i rozdzielająca pracę. Na żywność dla jednej osoby wydaje taki tragarz około dziewięciu juanów miesięcznie. Jeżeli jednak zarabia mniej niż dwanaście juanów na każdego członka swej rodziny - brakującą sumę dopłaca mu państwo. Jeden z poznanych w Chongqingu literatów powiedział mi, że na własne wyżywienie wydaje miesięcznie piętnaście juanów.

Zbierałem i porządkowałem te wiadomości wcale nie po to, by zachwalać czy ganić obecny rząd Chin. Przytaczanie rozmaitych propagandowych *pro* i *contra* jest - być może - zajęciem bardzo ciekawym, ale pozbawionym głębszego znaczenia. Już raz wyraziłem w tej książce przekonanie, że tylko gotowe fakty się liczą.

Jest niezbitym faktem, że po wyzwoleniu kraj ten rozpoczął ogromną pracę, ale startować mu przyszło z bardzo głębokiej depresji. Chiny sprawiły na mnie wrażenie państwa, które się

pod poprzednimi rządami toczyło ku ostatecznej demograficznej, gospodarczej, a więc i politycznej katastrofie. Zwycięstwo rewolucji zatrzymało go na samej krawędzi przepaści i teraz wszystko tam wyraźnie idzie w górę. Ale czy nie za głęboka jest jama, z której trzeba wyłazić? Czy są w ogóle szanse wyrównania zapóźnień? Historia uczy, że wcale nie każdy błąd popełniony przez dawne pokolenia spadkobiercy potrafią odrobić. Zwłaszcza my w Polsce coś niecoś na ten temat wiemy.

W Hangzhou widziałem, jak dziesięciu ludzi się mozoliło, wbijając w ziemię niegruby słup. Sześciu stało na rusztowaniu, ręcznie podnosząc i opuszczając na linach tłupek podobny do dużego odważnika z uchem. Czterech w dole pomagało, trzymając za kołki wpuszczone w owo narzędzie lub wsuwając palce w wywiercone w nim otwory. Sam tłupek był kamienny, pozieleniał z wieku i wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że pamięta Songów.

To się działo w kilkusetletnim mieście Hangzhou, stolicy nadmorskiej prowincji, ludnej jak cała Polska, w grudniu 1956 roku, czyli w tym samym czasie, kiedy gdzie indziej wprowadzają do produkcji automaty całkowicie zastępujące człowieka.

Nie trzeba mi przypominać - sam wiem i już o tym pisałem, że ci, co teraz żyją, pracują i rządzą w Chinach, nie ponoszą odpowiedzialności za to przeraźliwe zacofanie. Oni jednak muszą je nadrobić i wyrównać. Jakie mają szanse?

Pytanie to męczyło mnie od dawna, ale w Chongajngu zaczęło nieznośnie dolegać. Od biedy można jeszcze z jakim takim spokojem patrzeć na prymityw pracy rolnika. Nie sposób się uporać z widokiem ludzi zastępujących juczne zwierzęta. A spotyka się go w Chinach, niestety, prawie co krok.

Już pierwszego dnia w Pekinie dobrze sobie zapamiętałem spotkanie z pięciu ludźmi, którzy wlekli wózek obciążony żelazobetonowymi słupami. Lobman, któremu się zwierzałem, uciszył mnie celnym pytaniem: „A pan by może wolał, żeby człowiek wcale nie miał pracy?”.

W stolicy widzi się przynajmniej dużo zaprzęgów zwierzęcych. Ale już w Nankinie jest ich bez porównania mniej. Uroczy Kanton ma pewną niemiłą specjalność: ciągle się tam spotyka zespoły kobiet zaprzęzonych do wozów. Po stromych serpentynach Chongqingu mozolnie toczą się dwukółki ciągnione przez ludzi.

Spotykałem je i nazajutrz, kiedy deszcz przestał padać i trzeba było korzystać z ostatnich godzin pobytu w mieście. Zawieziono mnie do muzeum, którego pracownicy mieli akurat dzień wypoczynku, ale zmarnowali go sobie, chcąc mi pokazać wystawę sztuki ludowej. Była zorganizowana znakomicie, rozumnie i z umiarem, jak przeważnie zawsze bywa w Chinach. Szkoda doprawdy, że cnót tych nie przejęli twórcy odbywającej się właśnie w Chongąingu wystawy polskiego plakatu i ilustracji. Nie wystarczy zebrać setki eksponatów i rozwiesić je po ścianach jak poście słoniny, jednakowo traktując świetne plakaty Tadeusza Trepkowskiego i żalosne kicze, których nie tylko za granicą, ale i w kraju pokazywać nie warto.

Około południa ruszyliśmy za miasto obejrzeć spółdzielnię wyrabiającą przedmioty z laki. Chongąing nie miał dawniej takiego warsztatu, który funkcjonuje obecnie przy miejscowym Instytucie Sztuki.

Ulicę remontowano, znacznie podwyższając nawierzchnię. Połowa jezdni już się jeżyła świeżym tłuczniem. Materiału nie trzeba było z daleka przynosić, bo w obfitości dostarczały go skalne urwiska odległe o parę metrów. Dźwięczne odgłosy kucia wypełniły wnętrze wozu.

Cały ruch odbywał się zwięzonym o połowę pasem starej jezdni, dość pochylą i jeszcze śliskim od wczorajszego deszczu. Ostrożnie sunęliśmy w dół. Naprzeciwko wolno się dźwigała dwukółka z górą towaru okrytego płótnem. Trójka wlokących ją ludzi dosłownie leżała na sznurach. Z poziomo wyprężonych tułowi sterczały trzy czarne kule głów.

Nagle ten pierwszy z prawej strony, ani na chwilę nie przestając ciągnąć, podniósł twarz i spojrzał ku nam. Zza pleców

kierowcy dokładnie widziałem jego skośne oczy, zapadnięte policzki i pomarszczone czoło, po którym ściekał pot. I oto ten przypięty do wozu, potwornie obciążony człowiek nie z przymilnym, lecz z przyjaznym uśmiechem na ustach powiódł ręką, dał znak, że prosi o drogę.

Szofer od razu skręcił w lewo, prawie wlaźł na chodnik.

Nie wiem, może to sentymentalizm lub czułościowość. W każdym razie wyznaję, że gest nieznanego tragarza z Chong-tingu decydująco zaważył na moich wnioskach z podróży do Chin. Człowiek ten znajdował się w położeniu, które mu dawało moralne prawo kląć i łajać maszynę, co przegrodziła stromą drogę. Własnymi oczami patrzyłem na opanowanie i uśmiech prostaka opiętego szlejami i pewnie nieumiejącego czytać.

Przypadkowe spotkanie z ową dwukólką to był taki drobiazg, który zmusza do podsumowania długiego ciągu spostrzeżeń.

Największą szansą Chin w ich dzisiejszej pracy i walce o lepszą przyszłość nie są, moim zdaniem, ani bogactwa naturalne, ani już osiągnięte sukcesy. Największym atutem są ludzie tamtejsi, ich obyczaje i społeczna moralność.

Sześć tygodni bawiłem w Chinach, czyli bardzo niewiele. Ale przez cały czas lazałem tam, gdzie największy tłok. Naprawdę, chwilami bardzo trudno było się przecisnąć. Lecz ani razu — podkreślam, że ani jednego razu nie widziałem żadnej „draki”, awantury, kłótni, nie spotkałem choćby jednego pijaka.

Wkrótce po przylocie do Pekinu pojechałem razem z Huangiem obejrzeć Letni Pałac Cesarski. Było tam bardzo rojno. Na samym wstępie uraził mnie nieprzyjemny widok: jakiś wyrostek próbował rozbijać lód na stawie, szpecąc go paskudnie, bo kamienie, które rzucał, muszą przymarznąć i czernieć aż do wiosny. Podeszedłszy bliżej, przekonałem się, że był to europejski chłopak. W parę dni potem widziałem, jak para białych bachorów rozrzuciła dachówki ułożone pod bramą Wielkiego Muru Chińskiego. Starszemu nie wystarczyło widać tej rozrywki, zaczął więc ciskać kamieniami w starego chłopca, który przecho-

dził, prowadząc na sznurku osiołka. Wieśniak się obejrzał, ale w jego oczach nie znać było złości. Widniało w nich tylko bezgraniczne zdumienie.

Nie zauważyłem innych objawów chuligaństwa, prócz tych dwu... importowanych.

W Chinach pokoi hotelowych na klucz się nie zamyka i można w nich zostawić, co się chce - zegarek, wieczne pióro, portfel z pieniędzmi. Tak było wszędzie, gdziekolwiek się zatrzymałem — w kraju o mizernej stopie życiowej, gdzie miesięczny zarobek pracownika jest przeważnie znacznie niższy od ceny, którą można by osiągnąć za wspomniany zegarek czy złote pióro.

Tylko w Kantonie przez czas pewien myślałem, że jest inaczej. Zostawiłem pokój otwarty, ale kiedy się pojawiałem na korytarzu, zaraz portier biegł z kluczem. Sądziłem, że chodzi o angielską maszynę do pisania, którą mi dostarczyli tamtejsi literaci. Po paru dniach sprawa się wyjaśniła: klamka po prostu się zepsuła i od zewnątrz można było otworzyć drzwi wyłącznie kluczem.

W tym samym Kantonie w otwartym na przestrzał przed-sionku hotelowym, tuż obok wyjścia na chodnik, przez cały czas mego pobytu stały kufry i pękate walizy niejakiego pana Oku-bo z Japonii. Nikt ich nie pilnował, a ludzi kręciło się mnóstwo.

W Szanghaju pisarz Fu Lai zaprosił mnie do teatru, który akurat remontowano, i szatnia była nieczynna. Siedzieliśmy w płaszczach. Podczas przerwy Fu Lai zdjął jesionkę, zwinął ją w kłęb, rzucił na krzesło i poszliśmy do palarni. Teatr się roił od ludzi ubranych w krótkie waciaki. Każdy z nich mógł się przystroić w ów płaszcz i spokojnie sobie pójść. Nic podobnego się nie stało.

W Pekinie obserwowałem kiedyś z głębi auta oryginalną transakcję handlową. Jakiś biedak ubrany w czarny, srodze połatany chałat kupował garstkę ziemnych orzeszków. Przykucnął na chodniku, dobył z zanadrza coś pośredniego między trzosem a portfelem obwiązany białą tasiemką i jął mozolnie odliczać

(w Chinach nie ma bilonu, moneta zdawkowa, mao i fen, to maleńkie banknociki, na których - w odróżnieniu od juanów — nie ma cyfr arabskich). Wcale nie kontrolował sprzedawcy, małego chłopca, który tymczasem wskoczył na stojący z boku kamień, gdzie mu nikt nie przeszkadzał, i rozpoczął ceremoniał ważenia. Nabywca zapłacił, nadstawił złożone dłonie, dmuchnął na orzeszki, aż plewy poleciały, i poszedł sobie.

Uczciwość panuje w Chinach powszechnie. Nikt tam nie bierze napiwków i kto się nie chce narażać na przykrości, ten niech nawet nie próbuje ich dawać.

Sprzedawcy w sklepach dokładnie informują o zaletach i wadach towaru. Sam to sprawdziłem, kupiwszy w Szanghaju futrzane rękawiczki. Kupiec powiedział mi, że włosie będzie trochę wyłazić. Przesadził, dotychczas wcale nie linieje.

Tak się dziś dzieje w kraju, w którym zaledwie przed kilku laty sfery rządzące całkowicie rozkradły kilka miliardów dolarów danych przez Stany Zjednoczone na wojnę z komunistami. Za cesarzy nie można tu było bez łapówki przewieźć towaru z jednej prowincji do drugiej, niczego w ogóle załatwić.

Wiadomości o wcale nie tak dawnych złodziejstwach nie są przesadzone i można je sprawdzić, czytając dzieła autorów dalekich od sympatii dla Chin dzisiejszych. Mam przed sobą książkę *UAsie contre UEurope* wydaną w Paryżu w roku 1932. Autor jej, dr A. F. Legendre, otwarcie się deklaruje jako zwolennik kolonialnego panowania rasy białej (+ Japończycy) i obszernie pisze o istnych orgiach kradzieży, rozpusty i przekupstwa, jakie się tu działy. Na stronie 94 przytacza dokument ogłoszony w Nankinie w październiku 1930 roku przez samego Czang Kaj-szeka.

Obserwujemy, że Kuomintang stał się bardzo niepopularny i jest uważany za uprzywilejowaną kastę. Nieliczni spośród jego członków naprawdę pracują dla dobra publicznego; i przeciwnie — większość nie troszczy się o nic prócz własnych niskich interesów. Panuje powszechne i głębokie przekupstwo, a nieudolność rządu jest wielka. Rozpo-

wszechnianie się komunizmu w wielu częściach kraju też jest dowodem, że członkowie naszego stronnictwa nie spełniają obowiązków. Szczególnie pożałowania godne, że ich sposób postępowania popycha naród w szeregi komunistyczne.

Jakżeśmy się mogli przekonać, owo popychanie było naprawdę bardzo skuteczne.

Odmiana, która się dokonała w przeciągu tak krótkiego czasu, jest zjawiskiem zupełnie niezwykłym. Jakże się to stać mogło, że kradzież i oszustwo po prostu znikły? Dlaczego właśnie tu takie skutki przyniósł ustrój, który w innych krajach, gdzie dłużej panuje, wcale sobie z nieuczciwością nie zdołał poradzić?

„Różni różnie plotą” - po powrocie spotykałem takich, którzy chcieli ten „cud” tłumaczyć tylko surowymi metodami rządzenia, mówiąc po prostu — terrorem. Teza ta jest, moim zdaniem, absurdalna. Nie twierdzę, że w Chinach rządy są łagodne. Pilny nadzór znać, rozmowy nie przekraczają zakresu tego, co można znaleźć w prasie, w Kantonie trafiłem nawet na wystawę poświęconą pracy i sukcesom Urzędu Bezpieczeństwa. Wysoka ranga tej instytucji niepokoi, owszem, bo wiadomo z doświadczenia, że potrafi się ona w swoisty sposób rozrastać i wzdłuż, i wszerz, i aż do samego nieba. Ale wiadomo również, że terror polityczny rodzi zjawisko wręcz przeciwne do tego, które nas tu interesuje, czyli nie dyscyplinę społeczną, lecz rozkład społeczeństwa. Kryminaliści pływają jak ryby w wodzie tam, gdzie rząd nie potrafi inaczej przemawiać do narodu niż głosem postrachu politycznego. Zresztą dla takiej władzy złodzieje, oszuści i chuligani to żadna konkurencja. Lepiej nawet, jeśli się ludzie poświęcają lotrostwom pospolitym, niżby mieli rozmyślać o polityce. Metodoms stosowanym w „okresie kultu jednostki” bardziej sprzyjało, jeżeli się młody robotnik upijał i awanturował, zamiast wraz ze studentami obradować w politechnice.

Nie widziałem w Chinach awanturników ani pijaków. Zarówno w mieście, jak i na zapadłej prowincji patrzyłem za to na

ludzi czekających w kolejkach na pociągi i autobusy. Od razu po przyjeździe do Pekinu rzuciło mi się w oczy, że w tym mieście spotyka się mnóstwo uśmiechniętych, młodych twarzy.

W takim postępowaniu tłumu skłonny jestem widzieć ważny objaw polityczny. Widocznie ci ludzie są wewnętrznie spokojni, nic ich nie jątrzy, skoro nie czują psychicznej potrzeby uzewnętrzniania zapiekłej i tajonej złości. Przypomina mi się, jak w czerwcu 1956 roku pojechałem na Targi Poznańskie. Zachowanie i nastrój tłumu były tego rodzaju, że zaraz napisałem alarmujący artykuł, który się ukazał w „Przeglądzie Kulturalnym” 28 czerwca, czyli dokładnie w dniu wypadków poznańskich. Pewne masowe zjawiska psychiczne można czasem obserwować gołym okiem.

Wspominałem już o Belgu, z którym mi przyszło kwaterować w Irkucku. Był to człowiek wykształcony i inteligentny. Do Pekinu leciał wcale nie po raz pierwszy. Zamożnego kupca nie można posądzać o nadmiar sympatii dla komunizmu.

— Zobaczysz pan Chińczyków i ich postępowanie - mówił do mnie. — Sam się pan przekona, że oni ten rząd i ustrój uważają za nareszcie swój własny.

Istotnie zobaczyłem! Ogólnie rzecz biorąc, tak się tu zdaje wyglądać, jakby rewolucja zmiotła to, co było zgniłe i sprzedajne. Okazało się, że była to cienka warstwa na organizmie narodu o prastarej kulturze i dotychczas niezwykle mocnej więzi rodzinnej, narodu od tysięcy przywykłego do podporządkowywania jednostki społeczeństwu.

O tym ostatnim zjawisku pisał już dawno temu Roman Dmowski, wróżąc Chinom wielką przyszłość historyczną. Wydaje mi się, że rozumowanie jego trzeba w istotny sposób uzupełnić. Narodowi, którego obyczaje wymagają całkowitego podporządkowania jednostki społeczeństwu, ustrój oparty na zasadzie kolektywizmu daje ogromne możliwości.

Za mało wiem i nie mogę się wdawać w żadne skomplikowane analizy socjologiczne. Jedno wszakże z niezwykle siłą rzu-

ciło mi się w oczy. Można tu co dzień patrzeć, jak ludzie przy-wykają do trzymania się w korbach, jak się nieustannie wdrażają do życia w społeczeństwie. Tajemnica polega na przedziwnym stosunku Chińczyków do dzieci.

W pewnym wielkim klubie robotniczym zaszedłem do sali bilardowej. Uganiało tam dwoje małych bachorków. Ledwie im noski było widać znad krawędzi stołu. Właziły pod nogi i łokcie, usiłowały chwytać łapkami toczące się kule. Żaden z graczy nawet głosu na nie nie podniósł. Zatrzymał bębna, delikatnie odsunął i grał dalej.

Obrazek ten nie był wyjątkiem. Stanowił normę. W Chinach nikt na dzieci nie krzyczy, nie okazuje im zdenerwowania. Nic dziwnego, że wychowywany w ten sposób kandydat na obywatela nie będzie się wysilał na złośliwości, a w przyszłości sam potrafi panować nad odruchami, co stanowi przecież istotę kultury społecznej.

Dzieci w Chinach niesłychane mnóstwo. Hałasują, wrzeszczą, w każdy kąt włożą, ale są bardzo miłe.

I jeszcze jeden objaw bardzo łatwo zauważyć w tym narodzie. Mam na myśli jego wysokie poczucie godności własnej.

Przez cały czas pilnie obserwowałem postępowanie kelnerów w wielkich hotelach, gdzie pełno cudzoziemców z najrozmaitszych krajów, ludzi często zasobnych, światowych, bardzo dobrze ubranych. Wśród nich chińscy tłumacze, młodzi chłopcy z reguły odziani skromnie, a niekiedy nie bardzo się umiejący znaleźć w takim otoczeniu. Ani razu się nie zdarzyło, by kelner okazał najłżejsze bodaj lekceważenie niepokojnemu rodakowi. Ani razu! - słyszycie, dostojni bracia Polacy, którzy sprawujecie szaczone funkcje w warszawskich hotelach dla cudzoziemców?! Ani razu!!!

Szanghajski, kantoński, pekiński i każdy w ogóle chiński kelner ma dla skromnego Chińczyka tę samą wyszukaną uprzejmość, z jaką się odnosi do Anglika, Rosjanina, Francuza czy Japończyka. Ten naród sam siebie szanuje.

A teraz się zabrał do niesłychanie ciężkiej roboty. Wychodzi z depresji, w jakiej się od dawna znajdował, i chce zająć należne sobie miejsce, to znaczy wśród najpierwszych. Jakież gwarancje powodzenia?

Moim zdaniem polegają one przede wszystkim na fantastycznej dyscyplinie społecznej tych ludzi. Na tym, że ogół Chińczyków sprawia takie wrażenie, jakby każdy z nich sam dla siebie stanowił Najwyższą Izbę Kontroli.

To gwarantuje, że wielkie prace teraz rozpoczęte wykonane zostaną rozumnie i nie na pokaz.

ŚWIĘTA
NA WIELKIEJ
RZECE

Niski stan wody sprawił, że statek nie mógł przybić do głównej dzielnicy Chongąngu, zwanej Miastem Północnym. Należało się zatem przeprawić przez Jialing - tuż przy jego ujściu - i pieszo dojść do przystani w Mieście Wschodnim, na lewym brzegu Jangcy.

Mostu nie ma, komunikację zapewniają często kursujące staceczki parowe, coś w rodzaju wodnego tramwaju. Jednakże zakorzenione w Europie pojęcie o „azjatyckim” stosunku do ludzkiego życia i zdrowia nie są zbyt ścisłe. Długie pomosty przystaniowe po obu brzegach są dokładnie zabezpieczone drucianymi siatkami, rozpiętymi poziomo lub tworzącymi korytarze. Jeśli ktoś nawet zleci z chodnika, to nie do wody.

Szło się dość długo skalistym bezdrożem, które latem rzeka zalewa. Po lewej stronie majaczyły w ciemności niewielkie domki Wschodniego Miasta. Gdzieś tam bełkotało radio. Na wyższym miejscu widniał nieduży budynek o drzwiach szeroko otwartych, w których gęsto stali ludzie. Dolatywały stamtąd dźwięki muzyki chińskiej o silnie wybijanych taktach.

- To teatr! Przedstawienie operowe! - krzyczy ku mnie Huang, zagubiony gdzieś z tyłu.

Tuż obok maszerują po kamieniach literaci Dun Zunwu i Zhan Xiu, którzy uznali, że gościnność nakazuje im odprowadzić mnie aż na statek. Dobrze tak było iść jakby dnem ciemnej doliny, obrzeżonej w górze światłami wszystkich trzech dzielnic miasta.

Tylko na wprost rozwierała się czarna brama — koryto Jangcy, płynącej prosto jak strzełi. Lecz oto już wąziutka uliczka utworzona przez kramy z owocami i jadem, chwiejne płomyki kaganków, dalej jaskrawe latarnie elektryczne. Przystań!

Statek był potężny, o dwóch pokładach pasażerskich. Nasza kabina znajdowała się na wyższym, po prawej stronie, blisko rufy. Oglądałem ją z zainteresowaniem, i to nie tylko dlatego, że miałem w niej mieszkać wraz z Huangiem przez cztery dni. Była urządzona bardzo przyzwoicie: dwa miękkie łóżka, każde z elektryczną lampą nad wezglowiem, metalowa szafa na ubranie, umywalka z bieżącą ciepłą wodą, lustro z górnym światłem, stolik przy ścianie, naprzeciwko małe biurczko, też z lampą, krzesła, wieszaki. Piąty punkt świetlny, w postaci najsilniejszej lampy, na suficie. Okno i szyba w drzwiach miały metalowe zasłony.

Była to kabina pierwszej klasy. Kajuty drugie — wieloosobowe, o piętrowych łózkach — biegły przez całą szerokość statku. Jadalnia, w której podawano również potrawy europejskie, znajdowała się na rufie.

Pokład był naturalnie kryty, z solidnymi poręczami.

Zaraz się tam umieściłem, bo było na co popatrzeć. Do burty przybiła wielka barka, wyładowana workami z mąką. Zaroili się ludzie ubrani w łachmany rozmaitej barwy, którym silne światło elektryczne nadawało wygląd całkiem niesamowity. Pochylony tragarz stawał tyłem do góry towaru - pierwszy worek, nieduży i płaski, kładziono mu na nerki. Nachwytywał go dłońmi i wtedy drugi mieszek lokowano mu na zgiętych łokciach, trzeci na karku. Przy burcie siedział człowiek monotonicznie postukający krótkimi deszczułkami, które wyjmował ze stojącego obok pudła. Tragarze jak automaty szli na owo kołatanie, zawczasu odchylając palec dłoni, pod który tamten wsuwał jedno drewnienko. Widocznie tak się tu oblicza ilość obrotów nosiciela.

Z kręgu ciemności na oświetloną przestrzeń żółtej wody wypływały łodzie z drobnicą, pakami, koszami. Jedną z nich pędził człowiek, który stojąc na rufie, lewą ręką obsługiwał wiosło boczo-

ne, prawą sterowe. Takiej metody wiosłowania nawet w Kantonie nie widać.

Wkrótce zdjęto pomost łączący statek z brzegiem. Pasażerowie mieli zapowiedziane, że trzeba się stawić przed określoną porą.

Była wtedy godzina ósma wieczorem, a więc w Warszawie dopiero pierwsza po południu i nikt jeszcze nie zasiadł do Wigilii.

W nocy obudził mnie na chwilę hałas, jakby ktoś się mościł tuż za drzwiami kabiny. Rozmawiano i śmiano się dosyć głośno. Nie zgorszyło mnie to, bo już wiedziałem, że Chińczycy, którzy sami mają sen bardzo mocny, nie potrzebują specjalnie przestrzegać ciszy nocnej.

Kiedy o siódmej wyszedłem na pokład, stwierdziłem, że cały jest opięty żaglowym płótnem, a wzdłuż poręczy pokotem śpią ludzie poprzykrywani kołdrami. Pościel ich rozesłana była na cienkich matach słomianych, których zewnętrzne brzegi się zachylały, uwiązane sznurami do poręczy. Wzdłuż ściany statku tworzyła się w ten sposób wąska ścieżka, którą można było chodzić, nie włączając na leżących.

Zbyt ciepło im chyba jednak nie było na metalowym pokładzie w chłodnej aurze grudniowego poranku. Płótno niby chroniło przed wiatrem, ale ze szczelin w miejscach złączenia poszczególnych płacht dmuchało niezłe.

Statek płynął do Wuhanu i miał się zatrzymywać tylko nocami, a i to wyłącznie dla nabrania paliwa, i dlatego, że przy niskim stanie wody nie wszędzie można żeglować po ciemku. Kolei w tamtą stronę nie ma, pierwsze lotnisko jest dopiero w Yichangu, czyli o dwa dni drogi wodnej od Chongqing. Jedyny szlak zapewniający względną szybkość jazdy to rzeka. W tych warunkach i miejsce na pokładzie parostatku jest dobrodziejstwem. Toteż nawa nasza zabrała tylu pasażerów, ilu tylko weszło - chyba kilkuset. W przejściu środkowym, gdzie najmniej wiało, pomieściły się kobiety z małymi dziećmi.

Dopiero patrząc na tych ludzi, pojąłem właściwy sens pewnych wiadomości, zdobytych jeszcze w Pekinie.

Ogółem rzek splawnych jest w Chinach sto tysięcy kilometrów, ale tylko trzydzieści tysięcy nadaje się obecnie dla parowców. Dla plastyczności obrazu warto sobie przypomnieć, że Jangcy — po Nilu, Missisipi i Amazonce czwarta rzeka świata -ma pięć tysięcy dwieście kilometrów długości. Chiny robią, co w ich mocy, dla ulepszenia komunikacji wodnej. W roku 1956 umożliwiono nawigację na szlakach długości czterech tysięcy dwustu czterdziestu sześciu kilometrów. Upelnowodnia się rzeki wyschłe. W rozmaitych okolicach kraju nieustannie działa sto przeszło ekspedycji badawczych, które do września 1956 roku dokonały pomiarów i prac wywiadowczych na wodach o łącznej długości stu dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów. W samym tylko Syczuanie oczyszczono i pogłębiono przeszło dziewięćdziesiąt rzek i rzeczek, udostępniając je małym statkom drewnianym. Dzięki temu dziewięćdziesiąt powiatów uzyskało nowe połączenie wodne.

Tak się składa, że do Europy docierają przede wszystkim wieści o najbardziej efektywnych pracach w Chinach, o fabrykach, kopalniach, portach morskich i temu podobnych rzeczach. Tymczasem w głębi olbrzymiego kraju bez rozgłosu i reklamy trwają roboty, których znaczenie jest niezmierne. Przecież każde ulepszenie w dziedzinie łączności przybliży lepsze jutro, bo komunikacja jest głównym nerwem wszelkiego postępu.

Tu i ówdzie zaczęto podchyłać płócienne zasłony, trocząc je u górnych prętów dachu. Pierwszą rzeczą, którą ujrzałem, była niewysoka, lecz długa i zupełnie pionowa skała, gładka, bez jednej szczeliny. Przesunęła się szybko i wzrok utonął w mlecznym tumanie bez dna.

Całe koryto rzeki zaścielała mgła. Tylko w górze już przezierał czysty błękit, a przed dziobem statku mienił się szlak złoty jak łuska karpia. Płynęliśmy prosto na wschód.

Z mlecznej głębi tumanu raz za razem wynurzały się znaki nawigacyjne, zakotwiczone w nurcie. Były podobne do niewiel-

kich i płaskich, biało malowanych saneczek. Każdy z nich dźwigał lekką piramidkę z poziomych deseczek, zakończoną u góry ciemną kulką z roślinnej plecionki. Pod lewym brzegiem piramidki te były białe, pod prawym czerwone.

Przed południem mgła znikła, dzień się uczynił cudownie pogodny. Barwy wypełniły oczy.

Szeroka Jangcy o wodzie mętnej i żółtej płynęła bardzo głębokim korytem. Rolę piasku i miękkich gleb, które u nas stanowią główny składnik łóżysk wielkich rzek, odgrywały tu skały - pochylnie, płaszczyzny, urwiska - płowe, żółte, szare, ciemnoczerwone, sinawe i niemal zupełnie czarne. Oto istny bastion, rudy, z kształtu podobny do nogi słonia. Nad samą wodą szyfrowe głązy jak palce, a między nimi jaskrawozielone grządki warzyw.

Widok był niezmiernie rozległy, po obu brzegach łąd się zdawał piętrzyć w gigantyczne tarasy, których poszczególne stopnie dzieliły dziesiątki kilometrów chyba. Zdarzało się, że pierwszy plan panoramy utworzony przez nadrzeczne wyniosłości płoń w słońcu, na drugim się kładły cienie obłoków, trzeci jaśniał znowu, ale już pastelowym tonem, i czwarty, ostatni, siniał w oddaleniu.

Gdzieniedzie nurt się łamał i biał na bystrzynach, ale i tam gdzie rzeka płynęła równo, był niespokojny, cały porysowany, drgający. Przed dziobami owych zakotwiczonych znaków nawigacyjnych woda się pieniła, szumiała.

Statek obciążony dwiema wielkimi barkami, przycumowanymi po obu stronach dzioba, szedł jak kurier, widoki szybko się zmieniały. Z przodu i z tyłu snuły się dymy innych, równie objuczonych. Chwilami się wydawało, że płynie w konwoju. Na wyprostowanym odcinku naliczyłem siedem parowców.

Były to przeważnie statki duże, głęboko zanurzone. Na skałach przybrzeżnych lub usypiskach głazów tak wielkich, że ich żadna fala nie zdoła poruszyć, zauważyć się dawały znaki określające wysokość poziomu wody. Były to szerokie i pionowe

pasy malowane czarną farbą olejną, na której tle wyraźnie się odcinały białe kreski i cyfry, umieszczone jedna nad drugą. Miara była chińska, na pewno nie metryczna. Wszystko świeciło świeżością, łatwo było poznać, że znakowanie to wykonano niedawno i że się o nie bardzo dba. Pilnie patrzyłem - tuż nad wodą odczytywałem wszędzie „6”, a tam w samej górze pasa... na pewno widziałem „75”, lecz raz jeden wydało mi się, że dostrzegam „95”! To znaczy, że takie bywają różnice poziomu wody... Stałem przecież na górnym pokładzie dużego statku, tamte zaś największe liczby widniały hen, wysoko!

Taka więc jest Jangcy wypływająca z głębi Tybetu...

Jakżebym chciał w porze wiosennej lub letniej zobaczyć ten chociażby wodospad po lewej ręce, który w tej chwili dwoma srebrnymi sznureczkami spada ze skały przypominającej arkadę ogromnego mostu. Albo te ciemne smużki wilgoci, wyciekające spomiędzy głazów. Teraz ledwie je widać, ale za kilka miesięcy będą z nich groźne potoki.

Kraj po obu brzegach był gęsto zaludniony. Nie zatrzymując się, szybko mijaliśmy wsie i miasteczka poprzyklepiane do pochyłych brzegów na znacznej wysokości. O ile pamiętam, żadne nie włąziło na sam szczyt. Za to wcale nierzadko kłuły tam niebo wysmukłe wielopiętrowe pagody.

Ponieważ patrzyłem z dołu, osiedla wyglądały jak poziome pasy domostw, ale tu i ówdzie pochyłość dozwalała dojrzeć, że budowle i zaułki między nimi ciągną się w głąb. Przy nadrzecznych przystaniach bywało rojno jak na targu. Przybijały łodzie. Żółciły się kadłuby sampanów budowanych w małomiasteczkowych stoczniach. W jednym miejscu zauważyłem całe pola i sterty ciemnych garnków o najrozmaitszych kształtach, przygotowanych widać do transportu wodą.

Ech, wylądować by tutaj, zobaczyć, jak się żyje w takim gródku, gdzie świątynki o zadartych narożach dachów na pewno pamiętają prastarych cesarzy i gdzie dojechać można tylko rzeką lub górskimi drózkami!

Nic z tych marzeń, statek stanie dopiero nocą. Można tylko patrzeć, podziwiać i rozmyślać, że nikt by nie potrafił lepiej wkomponować w krajobraz tych pojedynczych chatek chłopskich, których pełno po obu brzegach. Samotne, niewielkie i ciemne stoją na krawędziach urwisk, na szczytach piramid, stożków i maczug lub pod groźnie nawisającymi głazami, a każdą ocienia zielona korona wielkiego drzewa. Półka się ciągną poziomo, podmurowane kamieniem, to znów spadzisto ku rzece. Dziabiący motyką wieśniak w niebieskiej sukni wygląda jak mucha na skarpie katedry. Inny mozolnie się pnie ścieżką. Dwa kubły wody na nosidłach muszą go dobrze ciągnąć w dół.

Nie tylko parowce szły rzeką. Opadająca mgła odsłoniła prostokątne żagle i ciemne korpusy barek płynących pod prąd. Przegapiłem jedną czy dwie, zanim pojąłem, że nie sama łódź powinna mnie obchodzić, i zanim się nauczyłem szukać okiem po nadrzecznych usypiskach.

W pewnym miejscu statek się zbliżył do lewego brzegu. Płasko na sobie leżące warstwy skały tworzyły usianą kamieniami pochylnię, oglądane z boku podobne były do rozkrojonego złomu przekładańca. Ostry, chóralny krzyk, który przebił nagle szum motoru, wyrwał mnie z zapatrzenia. Krawędzią upłazu, na tle wysokiej i żółtej skały, parło przed siebie ośmiu mężczyzn. Byli pochyleni jak jeden, czarne ich głowy jednak opasywały białe chustki. Szli w nogę z silnym i zgodnym zamachem prawych ramion, a jednakowym gestem wyprostowana w tył lewica każdego leżała na czymś, czego w pierwszej chwili nie mogłem dostrzec. Za nimi pośpieszał jeszcze jeden. Ten znów wyczyniał takie ruchy, jakby z wysiłkiem przerzucał coś długiego przez kamienne igliczki i głazy.

W dole, niemal się ocierając o brzeg, leniwo sunęła pod prąd duża, kryta łódź. Na wysoko zadartej rufie stał sternik, drugi człowiek błyszczącą tyką z bambusa odpychał dziób od skałek. Od masztu stateczku prężyła się połyskująca lina. Na drugim jej końcu rozwidlonym w osiem krótkich sznurów byli tamci,

wprężeni w białe płócienne szleje. Wyglądali jak żywy, wielocłonowy automat, tak jednaki był ich szybki i wysiłony krok. Pod dziobem łodzi fala się układała łagodnie, bez szumu i piany. Barka wolno mijała przybrzeżne kamienie.

W wielu miejscach wchodzi w rzekę jakby kamienne grobelki, między którymi powstają głębokie zatoki. Inne znów ciągną się równolegle do brzegu, odcinając znaczne przestrzenie wody gładkiej i cichej. Tam gdzie holowanie staje się niemożliwe, ludzie zdejmują z siebie liny, wsiadają do łodzi i biorą wiosła.

Pilnie patrzyłem i zdaje mi się, że wcale nie wszędzie po brzegach Jangcy są ścieżki holownicze.

Przy bystrzynach widziałem postacie tak pochylone w szlejach, że dłonie ich dotykały ziemi, pomagały nogom, chwytając za kamienie usypisk. A kiedy kadłub łodzi nareszcie się przewalił przez podwodny próg, *okryty białą pianą*, i natężenie powroza na moment zelżało ■— ludzie jak bezwładne toboły padali w przód, na wyprężone ręce.

Tam, gdzie nurt jest cichy, a brzeg się załamuje, holujący ruszają biegiem, chcąc znowu naciągnąć linę, zanim sampan znacznie spływać z prądem.

Chodziłem od burty do burty, chciwie chłonąc widoki i tak jakoś - bardzo szybko - upływał pierwszy dzień Bożego Narodzenia. Towarzysze podróży uprzejmie ustępowali mi miejsca przy poręczach oblepionych ludźmi. Ale nie wszyscy pasażerowie zdradzali zainteresowanie pejzażem. Wielu spało, inni czytali, dobrze się opatuliwszy kołdrami. Jakaś pareczka niedaleko drzwi jadalni znalazła sobie najmiłsze zajęcie. Dziewczyna była maleńka, włosy miała podcięte w grzywkę i brwi podniesione wysoko, jakby się ciągle dziwiła. Chłopca niedawno pewnie wypuszczono z wojska, bo nosił jeszcze mundur bez odznak. Zwróceniu ku sobie leżeli na pokładowych posłaniach i stykając się niemal czołami, bez przerwy o czymś cicho gwarzyli. O czym? Mój Boże!... pewne sprawy pod wszystkimi szerokościami geograficznymi są chyba do siebie podobne.

Przy okrągłych stołach w jadalni grupy milczących opętańców tkwiły nad szachami.

Posiłki podawano w różnych porach i pasażerowie w bardzo rozmaity sposób z nich korzystali. Większość poprzestawała na własnym wikcie, przychodząc na gorącą strawę tylko raz dziennie, co kosztuje trzy mao. Za dwukrotny posiłek trzeba zapłacić podwójnie. Pełne całodzienne utrzymanie, składające się z dość obfitych potraw chińskich, kosztuje dwa juany. Ale zaledwie kilku ludzi stołowało się w ten sposób.

Cena biletu pierwszej klasy z Chongqing do Wuhanu wynosi czterdzieści osiem juanów.

Statek stanowił przedsiębiorstwo państwowo-prywatne, a dawny jego właściciel piastował w Wuhanie kierowniczą godność w zarządzie dróg wodnych.

Rzut oka na rzekę wystarczył, by się przekonać, że w tym kraju naprawdę nimi zarządzają. Jangcy to przecież nie Odra i nawet nie Wisła, której brzegi w wielu miejscach stanowią bezdroże. W Chinach wszelki drobiazg techniczny dostarcza się w trudne i dalekie strony za cenę krwawego potu ludzkiego. Całe koryto rzeki było wyznakowane ze starannością godną podziwu. Pływające boje, o których już pisałem, ciągnęły się pod obu brzegami nieprzerwanym łańcuchem. Na skalistych wysepkach stały kolorowe sygnały ostrzegawcze, inne zwisały przykute do pionowych urwisk. Wskaźniki wysokości poziomu wody widziało się często. W niebezpiecznych porach roku służba rzeczna może więc zawczasu spostrzec rozpoczynający się przybór i przedsięwziąć, co należy.

Zanim słońce zaszło, miałem się przekonać, co oznaczają kule z plecionki umieszczone na szczytach zakotwiczonych znaków. Są to osłony lamp. Żółte motorówki o tradycyjnych w Chinach, wygiętych kształtach pojawiły się na rzece. Było jeszcze widno, kiedy pod brzegami zapłonęły rzędy czerwonych i zielonych latarni. Takież światła błyszczały z sygnałów ustawionych na ostrowach i przykutych do skał.

Znać na tej rzece wyteżoną pracę ludzką. W przeciągu dnia kilkakrotnie zauważyłem łączące po urwiskach zespoły ze sprzętem pomiarowym. To znów na wysokich tykach całe plutony kolorowych chorągiewek, wśród których bardzo często się powtarzały nasze barwy narodowe.

Zmierzchało, kiedy na prawym brzegu zauważyłem bardzo dziwne osiedle. Między starymi domkami stały spore, całkiem nowe baraki, sprawiające wrażenie mieszkalnych. Nieco z boku wznosiły się duże namioty, a z każdego wyrastało ku górze coś w rodzaju spiczastej wieżyczki. Wewnątrz płonąć musiały silne lampy elektryczne i płócienne ściany tajemniczych budowli stały się podobne do błon ogromnych latarni.

Wieczór nastał cichy i bardzo pogodny. Na zachodzie brązowe szczyty wyglądały jak oksydowane granatem. Rzeka utworzyła matowo połyskujący i obrzeżony kolorowymi światełkami szlak.

Nigdy nie słyszałem o mieście Wanxian, do którego przybyliśmy nocą. Leży na lewym brzegu, ale niski stan wody zmusił do kotwiczenia przy prawym, u stóp skały zupełnie pionowej i tak gładkiej, że w silnym świetle reflektorów przedstawiała się jak ulana z szarej porcelany. Po jej poziomym i wąskim podnóżu biegali ludzie, chwytając liny cumowe.

W czarnej głębi chwiejnie zamigotały słabo błyszczące punkty. Jedna za drugą nadpływały płaskodenne łodzie z pojedynczymi latarkami u daszków. Bez szmeru stawały szeregiem. Ze statku rzucono schody. Dwóch marynarzy liczyło pasażerów, puszczać kolejno tylko tyłu, ilu mogła pomieścić łódź. Naładowana barka cicho spływała z prądem, na jej miejsce wsuwała się inna.

Nadpłynęło jeszcze jedno otwarte czółno. W blasku kilku kaganków ustawionych na burcie widniała gorąca barwa jego wnętrza. Było do pełna wyładowane mandarynkami.

Szykowałem się do przejażdżki, nie przewidując wcale, że los gotuje mi zaskoczenie i każe doświadczyć skutków nadmiernej

troskliwości Chińczyków o zagranicznych gości. Przybiegło parę osób z załogi i zaczęto mnie namawiać do zaniechania zamiaru. Zdaniem moich rozmówców jazda łodzią mogła mnie narazić na straszliwe niebezpieczeństwa, a motorówki - ku wielkiemu żalowi zarządu — nie można było nocą dostać.

Prawdę powiedziawszy, byłem wściekły. Nie mogłem jednak robić przykrości ludziom bardzo grzecznym i ponoszącym całkowitą odpowiedzialność służbową za moją podróż. Przyszło poprzestać na małym i z daleka podziwiać światła Wanxian, położonego na wysokim brzegu. W niektórych gmachach niebiesko jarzyły się nowoczesne lampy.

Nazajutrz zerwałem się tak wcześnie, że jedyne, co ujrzałem, rozchyliwszy płócienne opony pokładu, to jasny punkt Gwiazdy Zarannej oraz wyjedzony księżyc nad granatowym urwiskiem. O brzasku, gdzieś bardzo wysoko po prawej stronie, pokazała się dziwna pagoda. Była czarno-biała, jakby sklejana z zupełnie różnych pionowych połówek.

Krajobraz się zupełnie zmienił. Znikły rozległe widoki, z rzadka tylko wzrok mógł się zapuścić w poprzeczną dolinę. Rzeka płynęła istnym korytarzem między bardzo stromymi, rudymi urwiskami, wysokimi na setki metrów. Domków było po obu stronach znacznie mniej, ale po dawnemu ocieniały je rozrosłe drzewa. Niektóre chałupki tuliły się do skał na wysokościach, które z dołu wydawały się zawrotne. Pasma uprawnych pól o skarpach podmurowanych kamieniem kreśliły niekiedy całe zbocza.

Wiedziałem, że tego dnia mamy przepływać przez sławne przełomy Jangcy i nie schodziłem z pokładu, bojąc się cokolwiek przegapić. Ale Huang Keping, który zaraz po świcie gdzieś przepadł, zjawił się teraz z uspokajającymi wieściami. Okazało się, że poszedł do kapitana statku i spisał sobie na kartce dokładny rozkład jazdy. Miał tam wyszczególnione, o której minucie mijając będziemy jaki punkt i powołując się na powagę tego dokumentu, namawiał do pójścia na śniadanie. Uzyskał również

prawo wstępu na najwyższą kondygnację statku, gdzie normalnie pasażerów się nie wpuszcza.

Wkrótce staliśmy obaj pod masztem radiostacji. Spojrzałem na zegarek i sprawdziłem, że miasteczko Fengjie pokazało się na lewym brzegu dokładnie w porze oznaczonej na kartce.

Parę tygodni wcześniej rzewnie westchnąłem, kiedy wyjechawszy z Hangzhou we środę wieczorem, stanąłem w Kantonie w piątek rano z punktualnością co do sekundy. Wtedy się jednak podróżowało pociągiem. Ale żeby statek, który nigdzie w dzień się nie zatrzymuje, tak święcie przestrzegał rozkładu jazdy! O czymś takim w niektórych znanych mi krajach europejskich jakoś nie słysząc.

Nie było czasu na rozważania. Przypadkiem spojrzałem w bok i dech mi zapało. Na prawo, nieco z dala od koryta rzeki, rosły szczyty naprawdę górskie. Jeden z nich urywał się, jakby go rozłupano siekierą, i sina skała pionowo leciała w dół.

Zaraz za miasteczkiem Fengjie wał wysokiego brzegu przegradza rzekę, która z rozpędu wybiła w nim zatokę. Statek ryknął. Dziób jego jął ostro wykręcać w prawo. Granatowa pod światło krawędź prostopadłej skały tworzyć się zdawała oś obrotową widoku.

Huang schwycił mnie za ramię, wskazując w lewo, gdzie w połowie wysokości ściany lepił się mały budynek o żółtym dachu, inne zaś - pod drzewami — widniały na szczycie.

-To! Właśnie to! - przekrzykiwał wycie syreny. - To jest Gród Białego Króla!¹ A to ona, „Prosto na mnie!”.

Tylko rzuciłem okiem. Mniej więcej ze środka nurtu, opasana białymi odkosami spienionej wody, sterczała samotna skała, wysoka i płaska.

Statek wpływał w wąski wąwóz, między dwie pionowe, szarozółte kurtyny, wysokie chyba na setki metrów, w mroczną szczelinę, w którą były ukośne promienie słońca niczym ognie

¹ Baidicheng, jeden z grodów Liu Bei (161-223), władcy królestwa Shu (z epoki Trzech Królestw).

strzelające zza głowy Mojżesza. Gniewnie pomarszczona woda lśniła starym złotem. Plamy zieleni czepiały się półek. Pas jasnego błękitu w górze uciekł niezmiernie wysoko.

„Zanim przebrzmi krzyk małpy, łódź minie te urwiska” — napisał stary poeta chiński.

Dwa szare bastiony, jakby cyklopie wrota, pędziły na spotkanie. I oto już po prawej stronie, wysoko na ostrym odkosie, maleńka biała świątynka pod samotnym drzewem. Widok się rozchyła, zielone pola na stokach, które mi się raptem wydały łagodne. Osiedle.

Tak minęliśmy przełom Qutang w górach Wu. Statek parł ku dalszym cieśninom, a ja ciągle tkwiłem pod masztem, nie mogąc otrzeźwieć po tamtym widoku, co przeleciał, jakby go nigdy nie było. Dawno już mówił mi Huang o Grodzie Białego Króla i o groźnej skale „Prosto na mnie!”, a ja ledwie miałem czas na nie spojrzeć.

Zameczek pamięta czasy pradawne, kiedy to małe dynastie wydierały sobie nawzajem berła i trony. Zmarł w nim pokonany w walkach władca zwany Białym. On też rozkazał na skale sterczącej z wody jak niezmierna deska wyryć napis „Prosto na mnie!”.

Wszyscy żeglarze na Jangcy wiedzą, co to znaczy. Nie wiedział jednak pewien Francuz, właściciel statku, pierwszy raz w życiu płynący tą drogą. Spostrzegł, że chiński sternik bierze prościutko na głaz, strzelił mu w łeb, sam skierował rudel w bok i zaraz się roztrzaskał o urwiska brzegu.

Prastary napis zawiera radę zbawienną. Płynąc w dół rzeki, należy sterować prosto na skałę, a prąd, który się o nią rozbije, sam dokona reszty i bezpiecznie przesunie łódź bokiem.

Dużo bym dał, żeby wiedzieć, kto pierwszy i jak odkrył to dzwono przyrody. Myślę, że mogło to się zdarzyć w okolicznościach bardzo dramatycznych. Powódź niosła może kogoś uczonego do pnia drzewa, człowiek polecał już ducha plemiennemu totemowi, ale wyrzucony na brzeg gdzieś za przełomem potrafił sobie przypomnieć, jak parł prosto na skałę i jak ją nagle wyminął.

Wynik przypadkowego doświadczenia zapamiętano, jak to mnóstwo razy w podobnych wypadkach się działo i dzieje. A potem, wyszukując zjawisko przyrody, usiłowano skutkiem jego dopomóc, budując po brzegach świątynie. Nad przełomami Jangcy pełno pagód i chramów. Jedne jakby stróżowały u wlotu i wylotu wąwozu, inne widnieją na szczytach nachylonych nad jego gardłem. Dopiero całkiem niedawno pomyślano o innych sposobach obłaskawiania natury. Pionową ścianę cieśniny Qutang bardzo wysoko przecina poziome i wklęsłe pasemko. W regularnych odstępach stoją w nim proste kreski, podobne do zapalek. To wykuta w kamieniu droga oraz towarzysząca jej linia przewodu elektrycznego. Podziwiałem ją już od rana, patrzyłem, jak się pnie po stromiznach lewego brzegu i przerzuca nad wąwozami.

W cieśninie, gdzie nawet w grudniu głębia sięga podobno dwudziestu pięciu metrów, nie można niczego zakotwiczyć. Wobec tego czerwono-białe słupki znaków nawigacyjnych zaopatrzonych w latarnie zwisają nad wodą przykute do skał.

Przełom Wu poprzedza również miasteczko rozsiadłe na lewym brzegu, a otwiera wyniosła góra podobna trochę do naszej Sokolicy, lecz ze świątynią na szczycie. Doświadczenie w las nie poszło i bliskość kanionu odgadłem nie tylko po dzikości krajobrazu, lecz także po lodowatym wichrze, który bez przerwy pewnie dmie w tych czeluściach. Jest tak silny, że jesionka zaczyna działać jak żagiel i trzeba się dobrze trzymać poręczy.

Nie uwierzyłbym, gdybym sam nie widział — ogromna rzeka tak się zwęża, że z pokładu mógłbym chyba dorzucić kamieniem do łądu po obu stronach. Przed dziobem statku burzliwa woda tworzy szlak, który się wśród gigantycznych brzegów wydaje wąskim strumyczkiem i miejscami nie jest pewnie szerszy niż na sto metrów.

Przełom Wu ma dziesięć kilometrów długości, a wznosi się nad nim dwanaście wysokich szczytów. Z krawędzi sterczą ku górze poszarpane iglice, niżej czernieją niedostępne gardła pieczar. Chcąc to widzieć, trzeba dobrze głowę zadzierać, bo i tu-

taj ściany są pionowe lub przewieszzone. Wąwóz kilkakrotnie się załamuje. Długi korytarz pocięty cieniami zamyka góra o trzech wierzchołkach. Za zakrętem cienie włączają na przeciwległą ścianę, woda się staje sina, daleko w głębi jak lampa w mrocznej sieni widnieje u wylotu białe światło dnia.

Duch mój chciwie chłonał widoki, lecz mdłe ciało, które już potężnie zmarzło, z utęsknieniem czekało na ów ciepły blask. Nie wypadło jednak przed czasem ustępować z placu, chociaż szef jadalni już dwukrotnie przysyłał po nas, wzywając na obiad.

Dziwne — doprawdy - bywają chińskie obyczaje. Gdziekolwiek tu człowiek się ruszy, tam zaraz natrafi na takie nazwy jak: Góry Zachodnie, Jezioro Wschodnie, Jezioro Zachodnie — racjonalistyczne, aż nazbyt trzeźwe i suche. To jest jeden nurt tutejszej tradycji. Drugi doskonale wyraża nazwa miasteczka leżącego przed trzecim przełomem Jangcy.

Za czasów dynastii Han żyła w miasteczku dziewczyna niezwyklej urody. Cesarz uczynił z niej swą nałożnicę, a kiedy mu już zbrzydła, podarował ją jakiemuś sąsiedniemu władcy. W drodze na daleką północ piękność umarła.

Wierni bracia nadali jej rodzinnemu miasteczku nazwę, nad której mistyczną treścią można długo rozmyślać: Siostra Powróci¹.

Dynastia Han panowała od 206 roku przed Chrystusem do 220 roku naszej ery i jest uważana za twórczynię potęgi państwa. Chińczycy w ich własnej mowie zwą się Hanzu albo Han žen, co znaczy: ludzie Han (lub Czungkuo žen - ludzie Państwa Środka)². Nie raz jeden Huang Keping, pokazując mi stare ołtarze i słupy z czterech stron pokryte hieroglifami, mówił:

-To jest napis mandzurski, to tybetański, mongolski, a to hański.

Miasteczko Siostra Powróci leży na potężnym rudym stoku lewego brzegu. Kto wie, być może w murach, które je do dziś

¹ Chodzi o miejscowość Zigui.

² Autor podaje tu zapisy fonetyczne; *wgpininyin*: Han ren, Zhongguo ren.

opasują, są jeszcze kamienie pamiętające dynastię Han? Pochyłość jest tak znaczna, że nawet patrząc z dołu, widać nie tylko zwarte czoło osiedla, zwrócone ku rzece, lecz i całe wnętrze prostokąta, nawet podnóże przeciwniejszej części muru. Pustawo tam w środku, tu i ówdzie zdecydowanie pusto. Nie zabraknie miejsca na nowe domy, których fundamenty przebijają złoża dawnej historii. Oby tylko archeolog był na placu, kiedy tu zaczną kopać.

Trzeci i ostatni przełom — Xiling — jest długi i bardzo urozmaicony. Chwilami ma się wrażenie, że to już koniec cieśniny, bo domy i osiedla wyrastają po obu stronach. Ale wąwóz wkrótce znów się zwęża. Rzeka płynie ciągle między wysokimi górami. U szczytów zaczynają się pokazywać białawe pola.

W miejscu, gdzie po obu brzegach wysoko się rozsiadły trzy osady, sprawiające wrażenie trzech dzielnic jednego miasteczka, całą szerokość Jangcy przegradza spieniona bystrzyna.

Kiedy ją statek mija, czuć lekkie wstrząsy, jakby wielka dłoń płasko postukiwała w dno. Pod prąd skotłowanej wody wolniutko sunęła duża barka. Cały tłum wprężonych w szleje ludzi pełzył na czworakach po płaskim kamiennym usypisku.

Końcowe wrota przełomu stanowią akord godny wszystkich dzisiejszych widoków. Po prawej stronie krawędź zupełnie pionowej ściany urwiska, naprzeciwko schody dla tytanów, wiodące ku kolistemu bastionowi na szczycie.

I dalej rzeka ciągle płynie krajem wyżynnym, doliną głęboką i malowniczą. Właściwie i ten pejzaż mógłby zachwycić turystę, ale nie takiego, co widział tamte przepaście i przewieszki.

Było jeszcze widno, kiedy mignęła łódź rybaka, który zaczynał właśnie podnosić olbrzymią podrywkę. Czynił to, ciągnąc za linę przewieszoną przez drewnianą ramę pionowo umocowaną na burtach. Za szybko nas niosło i nie widziałem, co ułowił.

Zmrok zapadł wcześniej. Bądź co bądź przez te dwa dni odśladziliśmy się z pięćset kilometrów na wschód od Chongqing, licząc w linii powietrznej, i różnica stopnia geograficznego już się dawała zauważyć. Było zupełnie ciemno, kiedy zakotwiczy-

liśmy w Yichangu u przystani wysuniętej daleko w wodę. Nosiła numer 13. Jaskrawe światła innych znaczyły całą krzywiznę rzeki. Yichang, będący dużym portem, oglądany z pokładu wygląda jak istna metropolia.

Samo miasto sprawia jednak skromne wrażenie. Kamienne schody i budynki przystani są bardzo solidne, lecz potem trafia się w wąskie zaułeczki, wiodące do głównej ulicy portowej. Tam właśnie jedyny raz w Chinach zauważyłem pewne środki ostrożności przeciwko złodziejom. Krawędź długiego i dość niskiego muru natkana była tłuczonym szkłem. Chcąc mieć drogowskaz w drodze powrotnej, Huang odczytał napis na bramie. Był to skład żywności.

Ale w długiej na całe kilometry, kiepsko brukowanej i ciemnowej ulicy nadrzecznej niepodzielnie panowała chińska norma. Szło się tamtędy z godzinę w jedną i tyleż w drugą stronę, po nocy. Trwał zupełny spokój. Nikt się nie kłócił i nie awanturował. W jadalniach i herbaciarniach tłok, lecz ani jednego pijaka. Senni kupcy zdawali się drzemać w szeroko otwartych sklepach z żywnością, naczyniami, odzieżą. Niebrukowane chodniki zajmowały stragany oświetlone dwurożnymi kagankami. Płaskie kosze pełne świeżo złowionej ryby zwabiały gromadki nabywców.

Długim krokiem minął nas ćmiący papierosa pieszy riksarz. W jego lekkim wózku o dwóch wysokich kołach rozpierała się grubawa jejmość. Riksz rowerowych było dużo. Dowiedziałem się, że kierowcy są zorganizowani i nie można ich po prostu zatrzymać na ulicy. Zamawianie odbywa się na przystankach, gdzie pod płóciennym daszkiem zasiada funkcjonariusz związku. System ten ułatwia pewnie sprawiedliwy podział pracy i zarobku. Ufam, że zdrowy rozsądek chiński potrafił uniknąć zbędnej pisaniny i biurokracji, która w innych znanych mi krajach nie zmarnowałaby i tej okazji do rozkwitu.

Przy jednym z parterowych domków grodzących ulicę tłoczyło się kilkadziesiąt osób. Dolatywał stamtąd odgłos bębna i czyjeś wysokie, żalosne zawodzenie. Na chodniku stał stół, nad

którym na dwóch bambusach ukośnie rozpinała się płachta. Z frontonu drewnianej chałupki zwisały czerwone wstęgi i białe płótna, pokreślone czarnymi znakami. Tuż widniał szereg papierowych wieńców złożonych z kolorowych, dośrodkowych kół. Kilku siedzących przy stole mężczyzn miało na głowach białe chusty, których długie końce spływały im na plecy jak welony. Kobieta stojąca w otwartych drzwiach głośnym recitativo zdawała się coś opiewać.

Tak wygląda w Chinach dom żałoby w przeddzień pogrzebu.

Śródmieście Yichangu już pustoszało. Zgaszono właśnie elektryczną, wściekle barwną reklamę nad kinem. Niczym specjalnym niewyróżniające się sklepy były już przeważnie zamknięte. Tylko fabrykant pieczęci pracowicie rytował hieroglify na małych kamiennych walcach i graniastopłupach, ozdobionych u góry figurką lwa lub innego dostojnego stworzenia.

Główny plac był duży, ulice wcale szerokie i miejscami nawet asfaltowane, domy murowane, piętrowe. Niektóre gmachy przypominały reprezentacyjne hale targowe. W dzielnicy portowej stał hotel, niezbyt wielki, ale wśród zaułków i drewnianych ruder wyglądający okazale.

Noc nie pozwoliła mi rozpoznać, gdzie w tych stronach się znajduje i jak wygląda granica krajobrazów. Dlatego też prawie jęknąłem, kiedy nazajutrz rano rozchyliłem zasłony pokładu.

O qualis mutatio rerum! Bardzo szeroka Jangcy płynęła krajem tak płaskim, że właściwie wcale go nie było widać. Ot, po obu stronach liniaste odkosy brzegów, których krawędzie są mniej więcej na wysokości pokładu. Z tego, co leży dalej na niezmiernej równinie, dostrzec najwyżej można bezlistne korony drzew i strzechy ubogich chałup. Zieleni znikła, śniegu brak, lecz krajobraz się stał zupełnie zimowy. Pogoda też jakby się przystosowała do zmiany pejzażu. Jest pochmurno i chłodno, zaciąga przykry wiatr.

O punkt obserwacyjny teraz znacznie trudniej, bo leżący na pokładzie ludzie wolą nie podnosić płóciennych płacht.

W Wuhanie stanąć mamy jutro przed wieczorem!

Wschodnie przedproża Tybetu już się skończyły. Ostatnie ich akordy to były tamte wyniosłości przed Yichangiem. Jesteśmy teraz w prowincji Hubei, przecinamy równinę środkowochińską. Aż do samego Szanghaju i morza, odległego jeszcze o tysiące kilometrów, Jangcy płynąć będzie przeważnie krajem płaskim, mijając najwyżej niezbyt wyniosłe wzgórza.

Przez dwa dni rzeka wyglądała dziko i groźnie. Teraz płynie szybko, ale spokojnie, wydaje się nawet nudna i ospała. Cóż za złudzenie! Bo naprawdę, to dopiero od Yichangu Jangcy się staje śmiertelnie niebezpieczna.

Tam, wyżej, góry grodzą ją niezwalczonymi tamami. Największa powódź nie dosięgnie domów zbudowanych wysoko. Ale co może się dzieć, kiedy w tamtych kanionach fala dotyka liczby „95” u szczytów wodowskazów, a pod Yichangiem spiętrzona rzeka pozbywa się naturalnych barier i wywala na bezbronną równinę?

Patrzyłem na nudne wybrzeża i całkiem mimo woli ciągle mi się przypominały płytkie, żółte żleby, pionowo kreślące urwiska. Wypadają spod samych szczytów i lecą w dół, aż się w głowie kręci. Oglądałem je zaledwie wczoraj. Suche zimą, w czasie letnich deszczów przemieniają się w kaskady i potoki. Bardzo wiele ich tam w górach. Próbowałem przecież liczyć i po godzinie machnąłem ręką.

Pod prąd płyną całe karawany żaglowych sampanów. Trzymają się przeważnie pod brzegami, na których widać i tragarzy, pracujących jednak z mniejszym wysiłkiem niż tamci na bystrzynach. Ale i w dół rzeki idą liczne barki. Niektóre nurzają się aż po krawędzie burt, wiozą bowiem kamienie. Wyładowuje się je na brzegi albo z zakotwiczonej łodzi wywala w wodę, gdzie widocznie trzeba umocnić dno.

W wielu miejscach wybrzeża aż się roi od tłumu. Tysiące ludzi przez całe dni pracuje przy budowie tam. Nieskończenie długie sznury tragarzy biegną z koszyczkami, przenosząc ziemię ukopaną setkami łopat.

Nie wszędzie da się zauważyć już ukończone groble, bo kolor jest tu ciągle jednolity, szarozółty. Tylko tam, gdzie są gładko brukowane i wybetonowane odkosy, wzrok natrafia na inny ton.

Okolo południa daleko po prawej ręce pokazał się jakby niski, lecz bardzo długi, ażurowy płot, zbudowany z głowistych słupów. Po obu jego krańcach stały wieże podobne do starochińskich altan. Tak z daleka przedstawiało się czoło zapory wielkiego zbiornika wodnego, zbudowanego po wyzwoleniu.

Była może pierwsza - ledwieśmy minęli miasto Shashi, położone na lewym, dobrze umocnionym brzegu - kiedy radio pokładowe zagadało jakoś dłużej niż zwykle. Huang Keping słuchał uważnie, a potem rzeczowo i spokojnie udzielił mi wiadomości niezbyt przyjemnej.

Okazało się, że poziom wody opadł i rzeka się stała właściwie niedostępna dla statków tej klasy, co nasz. Załoga odbyła jednak naradę i postanowiła spróbować. Wkrótce wpłyniemy między najgroźniejsze mielizny. Pasażerowie mają się skupić bliżej dziobu. Wody w umywalniach zabraknie, bo trzeba się pozbyć balastu. Jeśli się nie uda — czeka nas powrót do Yichangu i przeładowanie na mniejsze parowce.

Zadygotałem w duchu! Płyniemy już blisko dwanaście godzin, więc powrót do Yichangu pochłonie co najmniej dobę. A co będzie z planem mojej już niestety kończącej się podróży? Jest 27 grudnia — 5 stycznia o świcie wylatuję *via* Irkuck do Warszawy.

Wkrótce ogarnęły mnie najczarniejsze myśli, bo statek zawrócił i stanął. Ale odczepiono tylko jedną z dwu przyprzężonych barek towarowych, która się zakotwiczyła. Ruszyliśmy znowu z prądem, wpływając w wąski przesmyk między lewym brzegiem a dużą wyspą piaszczystą. Robotnicy, którzy w pobliżu budowali tamę, porzucili pracę i przybiegli patrzeć na nasze przygody i spodziewaną hańbę. Niczego nie zobaczyli. Statek wolno szedł dalej, kierując się według znaków nawigacyjnych, które już trzeci dzień nieprzerwanie oglądałem.

W dole rzeki pokazały się lachy piaszczyste tak ogromne, że można by nimi Wisłę pod Warszawą dokładnie zatkać, a co się tyczy Krakowa, to i na Rynek Główny w zupełności by wystarczyło. Teraz dopiero duch uciekł mi w pięty. Już mi się zdawało, że widzę, jak krok za krokiem wracamy w niesławie pod prąd do Yichangu.

Niepodobna było dojrzeć, jak się rzeczy mają pod bardzo odległym prawym brzegiem. Między lachami a lewym woda ciekła korytem wąskim i krętym. Białe i czerwone boje dawały poznać, gdzie najgłębiej, ale nikt nie mógł odgadnąć, czy w ogóle nie jest za płytko. Marynarz na dziobie bez ustanku rzucał sondę i wykrzykiwał liczby, które mi Huang zaraz tłumaczył. Zdrętwiałem, usłyszawszy: dwa metry osiemdziesiąt. Wiedziałem, że statek się zanurza na dwa i pół. Śruba podnosiła z dna czarne kłęby, nawet widoczne za burtą wiry zdawały się gęste od mułu.

A jednak przeszliśmy! Sonda wylatywała coraz rzadziej, okrzyk marynarza stawał się coraz spokojniejszy, cichszy.

Na wodzie szerszej i głębszej statek odczepił drugą barkę i ruszył w te same cieśniny po tamtą, zostawiając kilka kilometrów w górze rzeki. Raz jeszcze od początku przerobiliśmy opisane przed chwilą doświadczenia. Manewry pochłonęły pięć godzin i kiedyśmy z obu barkami znowu przy dziobie ruszyli nareszcie ku Wuhanowi, zapalono już latarnie. Tam gdzie się nurt rozwidlał w głębsze odnogi opasujące mielizny, pływające boje tworzyły również podwójne uliczki szmaragdowych i rubinowych świateł.

Wcześniej, zaraz po piątej, widać było, jak schodzą z roboty budowniczy tam. Szli samymi krawędziami wybrzeży, długimi korowodami, które na tle stalowego nieba wydawały się zupełnie czarne. Jedyne barwny punkt stanowił czerwony sztandar, niesiony na czele każdej kolumny.

Przez cały czas manewrowania pasażerowie statku nie zdradzali żywszego zainteresowania i niepokoju o jego wynik, który mógł przecież grozić okrutną stratą czasu. Jedni po dawnemu spokoj-

nie czytali, inni beztrąsko spali lub gwarzyli. Myślę, że gdyby u nas w Polsce zdarzyło się coś podobnego, statek by kipiał.

Podziwiałem, ale nie zazdrościłem tej kamiennej równowagi ducha i obojętności. Bo jednak tacy, którzy się przejmują — też czasami na coś się przydają na tym padole. Każdy zresztą najlepiej się czuje w sosie, do którego przywykł.

Wraz ze mną podróżował wtedy po Jangcy jeszcze jeden biały. Był to rosyjski geolog, człowiek młody, sympatyczny i skłonny do gawędy. Ale tego popołudnia nie widziałem go na pokładzie. Dopiero wieczorem bardzo się zdziwił, kiedy mu opowiedziałem historię manewrowania po rzece i zażęganego niebezpieczeństwa. On sam — jak się wyjaśniło — tak namiętnie grał z tłumaczem w chińskie szachy, że niczego nie zauważył. Wsiadając na statek, postanowił bowiem wyzyskać czas na opanowanie arkanów tej gry.

Patrząc na piaszczyste ląchy za burtą, mówił, że pokonanie ich jest całkiem możliwe. Radził mi przypomnieć sobie widok wielkich wąwozów prostopadłych do koryta rzeki, które mijaliśmy w górach. Twierdził, że tam stosunkowo łatwo można wznieść zapory i poczynić zalewy, które pozwolą regulować stan wody na Jangcy.

Plany rządu chińskiego przewidują budowę hydroelektrowni w samych przełomach rzeki.

Ostatni dzień podróży nie przyniósł niespodzianek. Kraj był dalej płaski, z rzadka tylko powzdymany w małe, pojedyncze pagórki. Wzdłuż równych krawędzi brzegów ciągnąć się musiały drogi, bo widać było wózki o dwóch lub czterech kołach, zaprzężone w bawoły. Podziwiałem ludzi jadących na nich wierzchem. Dął zimny wiatr i osobiście stokroć bym wolał iść pieszo niż dosiadać bydłęcia, co ledwie się rusza.

Trudno ocenić odległości na wodzie, która pozornie zbliża przedmioty, ale Jangcy wydawała mi się tak szeroka, jakby za każdą burtą płynęła rzeka znacznie potężniejsza od podwarszawskiej Wisły.

Za rufą leciało stado mew. W górach nie było ich wcale i nad statkiem ciągle się unosiły duże drapieżniki, podobne do orłów.

Za to ptactwa wodnego było teraz nieskończone mnóstwo. Raz przeleciała wataha dzikich gęsi, zajmująca prawie pół nieba i rozciągnięta dosłownie od krańca po kraniec horyzontu. W olbrzymim stadzie panował wzorowy ład. Wyraźnie można było odróżnić regularne, trójkątne klucze. Żaden z tysięcy ptaków nie leciał luzem.

Po południu zaczęły się pokazywać wielkie ryby. Czarne ich cielska, prujące pod prąd, ruchem nieopisanie płynnym na mgnienie wynurzały się na powierzchnię. Może mi się tylko zdawało, a może naprawdę płynęły zawsze parami oddalone od siebie o kilkadziesiąt metrów.

Pomimo wczorajszych manewrów rozkład jazdy obowiązywał, bo statek szedł całą noc i nadrobił opóźnienie. Zawczasu spakowaliśmy manatki i chwilę rozmyślaliśmy, co począć z koszem mandarynek. Troskliwy Huang trochę za obficie się zaopatrzył w Wanxian i nie wszystko zdołaliśmy pochłonać. Doszliśmy do wniosku, że akurat nam ich wystarczy na pobyt w Wuhanie.

Widok tego miasta stanowił znakomite zamknięcie podróży rzeką, co przecinała kraje o wyglądzie przeważnie dość pierwotnym. Doprawdy, wybierając w Pekinie szlak, nawet nie przypuszczałem, że to wszystko tak ładnie się skomponuje.

Dzień się kończył i zmierzch, pewnie wskutek wilgotności powietrza, nabrał tonów miękkich i płowych. Wysokie, cembrowane nabrzeża portowe po obu stronach zlewać się zdawały w jednolite, łagodnie pochylone ściany. W górze wybiegały z nich dwie potężne, poziome linie, jak wyciągnięte nad rzeką ramiona, których dłonie jeszcze się nie zdołały zetknąć. Ziała między nimi szeroka przerwa. Rosły tam z wody silne bastiony szczytami sięgające już poziomu, na którym owe dwie wycelowane w siebie linie muszą się zrosnąć.

Była to duma Chin, most na Jangcy, którego budowa uchodziła dawniej za techniczną niemożliwość.

Za lewą burtą migały sygnałowymi lampami stateczki-boje. Ukosem pruła nurt duża motorówka, rycząca przez megafon rozkazy. Przesunęły się pływające dźwigi i same filary mostu, spowite w rusztowania. Wzrok natrafił na kontury* wielkich statków, przycumowanych przy obu brzegach. Do Wuhanu docierać mogą pełnomorskie okręty.

Nasza nawa, która teraz mi się wydała malutka i słaba, zwolniła z lin obie barki, spłynęła jeszcze nieco i jęła zawracać pod prąd. Znowu się pokazał most. Cały jego masyw, oba ramiona, dźwigi i filary w środkowej przerwie błyszcząły już elektrycznymi światłami.

Wolałem jednak patrzeć w płową mgłę za rufą. Między odległymi od siebie pochylniami wybrzeży Jangcy płynęła zupełnie prosto na wschód. Znaczony ledwie majaczącymi żaglami dżonek nurt jej mętniał, w oddaleniu niepostrzeżenie się zlewał z ciemniejącym nieboskłonem.

Statek już przybijał do wielkiej przystani. Nie schodziłem z rufy, chłonąc oczyma widok rzeki i rozmyślając nad tym, że takie wyprawy odbywa się tylko raz w życiu.

v

W CHIŃSKIM
TRÓJMIEŚCIE

Wuhan to nie lada miasteczko. O jego randze nie rozstrzyga samo dwumilionowe przeszło zaludnienie, bo w Chinach jest aż siedem miast milionerów.

Wiele krwawych walk widział ten kraj w wieku XX. Grasowali tu rozmaici rodzimi watażkowie, jeszcze lepiej się odznaczały wojska japońskie, europejskie i amerykańskie. Każda z tych sił starała się przede wszystkim zająć Wuhan. Ze strategicznego punktu widzenia zdobycie go było sukcesem ważniejszym niż opanowanie samej stolicy.

Wuhan jest dużym ośrodkiem przemysłowym i portem rzeczny, dostępnym nawet dla oceanicznych okrętów. Tędy też przebiega najkrótsza droga lądowa i linia kolejowa z Pekinu do Kantonu. Kto trzyma to miasto w ręku, ten ma wiele do powiedzenia w Chinach.

Jest jednak na świecie dużo nowoczesnych, dobrych i sumiennych map, na których nazwy Wuhanu wcale nie ma. Bo też właściwie jest to miano ogólne, rzecz by można - teoretyczne.

Sytuacja przedstawia się w ten sposób:

Na prawym brzegu Jangcy leży miasto Wuchang. Ma ono niejedyną tytuł do sławy, ale najważniejszy ten, że w nim właśnie 10 października 1911 roku rozpoczęła się rewolucja, która obaliła ostatnią dynastię cesarską i stała się punktem wyjścia do przemian uwieńczonych w roku 1949 utworzeniem Chińskiej Repu-

bliki Ludowej. Posąg Sun Yat-sena na dużym placu w Wuchangu upamiętnia ten historyczny fakt.

Naprzeciwko, czyli z lewej strony, wpada do Jangcy rzeka Han Jiang. Jest dość okazała, ale trudno mi to było ocenić, tyle się na niej tłoczyło łodzi i sampanów. Rzeka ta rozdziela dwa miasta: Hanyang i Hankou.

I dopiero wszystkie trzy razem wzięte — Wuchang, Hanyang i Hankou - tworzą Wuhan. To trochę tak jak z naszym Trójmiastem składającym się z Gdańska, Sopotu i Gdyni. Ale tutaj wszystkie trzy dzielnice stoją naprzeciw siebie, rozdzielone rzeką szeroką na tysiąc trzysta metrów, nieustannie patrząc sobie w oczy.

Najważniejszą częścią Wuhanu jest Hankou. W zachodnio-europejskiej literaturze jego nazwa służy często do oznaczania całego „Trójmiasta”. Tam się mieszczą główne urzędy, największe gmachy, sklepy i hotele. W jednym z nich czekało już na mnie zarezerwowane lokum.

Znowu był to imponujący apartament z balkonem przez całą szerokość. Gmach hotelu, zbudowanego za dawniejszych czasów, stał na rogu i łatwo mi było, patrząc z góry, ogarnąć okiem obie ulice. Dość żywo przypominały Szanghaj. Jezdnie co prawda były węższe, domy mniejsze, ale miały ten sam europejsko kosmopolityczny wygląd. Kwartał naprzeciwko stanowił dawniej koncesję angielską.

Nad Jangcy „zakazane miasta” mocarstw kolonialnych stały nieprzerwanym szeregiem. Dziś jeszcze gmachy ich wyglądają jak czoło wojskowej kolumny, która się ściśle zwarła, zajmując wyłącznie dla siebie brzeg rzeki niosącej bogactwa. Nie brakuje w Wuhanie i starych dzielnic chińskich, kruchych lepierek i drewnianych domków z balkonikami wysuniętymi nad chodnik. Wszystko to jednak zostało brutalnie zepchnięte w tył, na przedmieścia albo na boki poza obręb portu.

Jadąc nadrzeczną ulicą, ma się po prawej stronie szary betonowy mur szczytu tamy, po lewej frontony owych gmachów.

-To była koncesja angielska, a dalej po kolei: francuska, japońska i niemiecka - informował towarzyszący nam Chan Beixin, sekretarz miejscowego oddziału Związku Pisarzy.

Surowe porządki musiały dawniej panować na tym wybrzeżu, niezbyt przyjemne dla chińskiej ludności. Przy bramach w tamie wiodących do przystani pilnują teraz porządku milicjanci w swych futrzanych czapach i granatowoniebieskich wатовanych mundurach. Onego czasu funkcję tę pełnił kto inny. Głęboka rzeka umożliwiała pływanie nie tylko statkom handlowym, lecz również i okrętom wojennym. Wspomniany już A.F. Legendre poirytowanym tonem opowiada w swej książce o walkach staczanych tu przez brytyjskie, francuskie i japońskie kanonierki z czerwonymi oddziałami obecnego marszałka Zhu De.

Była w Wuhanie również i rosyjska koncesja, stała jednak nieco w głębi miasta. Zajrzałem kiedyś do jednego z tutejszych parków, gdzie na placyku pod gołym niebem młodzież płaśała tanga i fokstroty. Tło widoku stanowiła dość okazała cerkiew prawosławna z krzyżami na kopułach.

Wiele solidnych gmachów i urzędzeń postawiono w Wuhanie i w innych miastach w okresie chińskiej kapitulacji przed zamorskimi państwami i nie można lekceważyć tego cennego materialnego spadku. Nie zbudowano jednak mostu. Podróżni jadący koleją z Kantonu do Pekinu, czy odwrotnie, musieli przebywać rzekę statkami i na drugim brzegu znów się ładować do wagonów. Jangcy do dziś przecina tę linię, co stwarza tysiącne komplikacje.

Jak już wspomniałem, budowa mostu pod Wuhanem uchodziła za techniczną niemożliwość. Jednakże sami Chińczycy dziś podkreślają, że dawni władcy kraju specjalnie nie kwapili się do tego dzieła, a to ze względów czysto politycznych. Trójmiasto od dawna skupia dziesiątki tysięcy robotników. W dziejach chińskiej rewolucji Wuhan odegrał ogromną rolę, przez czas pewien był nawet siedzibą rządu komunistycznego. Most jeszcze bardziej by wzmógł rolę i potęgę tego skupiska robotników, gdyż ostatecznie by sprzągnął trzy miasta w jedną całość.

Z głębokim zrozumieniem słuchałem tych wyjaśnień. Wyjechałem przecież z Warszawy w listopadzie 1956 roku, zaraz po polskim Październiku, który raz jeszcze dowiódł, że inteligencja może najwyżej rozpaść i rozkołysać umysły, lecz same rewolucje i przewroty to już wyłączna specjalność robotników. Nic dziwnego, że właściciele koncesji w Wuhanie oraz ich spadkobiercy nie chcieli powiększać roli załóg tutejszych fabryk.

Pojechałem spojrzeć na most. Jeszcze w Pekinie prosiłem o pokazanie mi go, zastrzegając, że nie będę się interesował żadnymi szczegółami technicznymi, na których zresztą się nie znam. Urzędnik odpowiedzialny za przyjęcie zwiedzających bardzo uprzejmie mi powiedział:

—Jeśli ma pan aparat i chce robić zdjęcia, to proszę się wcale nie krępować.

Potem dał mi hełm ochronny, upleciony z jakichś twardych korzeni, i poczęliśmy się wspinać prowizorycznymi schodami. W przyszłości w filarach przyczółków będą cztery windy oraz pokoje dla odpoczynku.

Wnętrze mostu przedstawia się obecnie jak czerwony tunel o prostokątnym świetle i ażurowych ścianach. Nawierzchnią, po której idziemy, pobiegnie podwójny tor kolejowy, tą zaś górną, co w tej chwili tworzy nad głowami wysłany deskami sufit, toczyć się będą samochody. Między chodnikami, których poręcze już się montuje, swobodnie się zmieści sześć maszyn jednocześnie. Pierwszy pociąg ma przejechać rzekę 1 października 1957 roku.

Razem z wiaduktami most ma tysiąc sześćset siedemdziesiąt metrów długości, przy czym na część nadwodną wypada tysiąc sto pięćdziesiąt metrów. Rzeka tu odrobinę się zwęża między wznoszącymi się naprzeciw siebie Wzgórzem Żółwia i Wzgórzem Żmii. Są w Chinach dłuższe mosty, ten jednak nastęrczył budowniczym trudności, jakich dotychczas w całej Azji nie napotkano. Przez dziewięć miesięcy w roku głębia wynosi czterdzieści metrów, prąd zaś płynie z szybkością trzech metrów na sekundę. Dno często się zmienia, ale do szóstego filara — na

ogólną liczbę ośmiu - jest przynajmniej mocne. Za to pod siódmym kamień jest kruchy jak węgiel, a każdy filar waży dziesięć tysięcy ton. Pomimo to cztery słupy — pierwszy, drugi, trzeci i ósmy - już zostały wykończone i dźwigają konstrukcję mostu, pozostałe mają być gotowe w lutym 1957 roku.

Projekt tej budowy opracowała grupa konstruktorów chińskich przy współpracy radzieckich specjalistów. Nazwisko głównego inżyniera brzmi Chan Zhijiang.

Chińczycy chętnie pokazują gościom to swoje naprawdę wielkie dzieło, ale do samochwalstwa nie są skłonni. Zastosowanej metody nie uważają za szczyt techniki i narzekają na brak doświadczenia.

Po obu stronach rzeki wokół przyczółków mostu wyrosły małe miasteczka, gdyż wybudowano bursy dla załóg i mieszkania dla personelu technicznego. Z tego, co widziałem w Chinach, wynikać się zdaje, że zasada „gdzie kto pracuje, tam mieszka” jest przestrzegana z żelazną konsekwencją.

Budowa mostu na Jangcy wymagała ogromnych prac po obu jej brzegach. Należało przecież doprowadzić szosy i linie kolejowe, a to z kolei zmuszało do wznoszenia nasypów, wiaduktów oraz dwóch pomniejszych mostów — kolejowego i drogowego — na Han Jiang. Wszystko to już jest gotowe i doskonale funkcjonuje. Nieraz jeździłem w kierunku Jangcy nową arterią podobną do autostrady.

Prace w Wuhanie są zmechanizowane. Patrzyłem na ciężary, które taśma gładko podnosiła na wysoki brzeg, i przypominał mi się Chongqing. I on także doczeka się swojej kolei! I tu w Wuhanie wcale nie tak dawno temu wszelkie towary wędrowały na ludzkich grzbietach. Musi przyjść kolej także na Yichang, Wanxian i wszystkie inne osiedla, ponieważ już się dokonała zmiana natury zasadniczej. Zupełnie tak, jakby na wielkiej Jangcy, stanowiącej główną oś komunikacyjną Chin, stanęła niewidzialna dla oka zaporą, która sprawia, że bogactwa przestały wypływać z kraju za morza i oceany.

Kilka tygodni wcześniej oglądałem olbrzymi Szanghaj, leżący przy ujściu tej rzeki do morza. W monumentalnych gmachach na Wybrzeżu Bankowym przez wiele, wiele lat dokonywano niesłychanych operacji finansowych, przeciekały tamtędy miliardy. W 1949 roku Chińczycy zamknęli ostatnie przesło grobli. Odtąd strumień bogactw nasycy ich własny kraj wysuszony przez zastój i wyzysk. Poziom dobrobytu wzrasta. W skali ogólnej pomału się to dzieje, ale nie może być inaczej, skoro obszar, który trzeba nawodnić, liczy przeszło dziesięć milionów kilometrów kwadratowych.

Nie trzeba zbyt daleko odjeżdżać od Wuhanu, jeśli się chce zobaczyć jedno z tych miejsc, do których odmiana ledwie zaczęła docierać. Gospodarze zaproponowali mi małą wycieczkę do wioski Xindi. Skwapliwie się zgodziłem, bo postanowiłem nie opuszczać żadnej okazji do wypadów tam, gdzie można się spodziewać widoków powszednich.

Minąwszy ubogo wyglądające przedmieścia, wjechaliśmy na drogę biegnącą samym szczytem tamy. Po prawej stronie rozciągała się bezkresna na oko płaszczyna nieużytków pokrytych rzadką, pozółkłą trawą. Przez trzy miesiące w roku pokrywają ją wody Jangcy. Samej rzeki, płynącej w odległości czterech kilometrów, nie można było dojrzeć. Niewyraźnie majaczyło tylko położone nad nią osiedle rybaków, podobne z daleka do prostopadłościennej bryłki jasnego koloru. Do zewnętrznej, zwróconej ku rzece stronie tamy tuliło się kilka chałup. W czasie powodzi mieszkańcy ich zabierają dobytek i uciekają za wał.

Tak się przekonałem, że nadwodne groble oglądane podczas podróży statkiem stanowią zaledwie część systemu zabezpieczeń. Inne bowiem wznoszą się w głębi łądu, z dala od koryta rzeki.

Tama, po której jechaliśmy, wyglądała oryginalnie, gdyż z jej zewnętrznego stoku sterczały kopułkowate szczyty betonowych bunkrów. Zbudowano je za czasów Kuomintangu, a w roku 1954 zasypano, podwyższając tamę. Zewnętrzna jej pochyłość jest brukowana i wybetonowana.

Po lewej ręce widać było liczne wioski. Okolice Wuhanu również się zaliczają do gęsto zaludnionych. Na jednym kilometrze kwadratowym mieszka tu przeciętnie trzysta osób.

Wieś Xindi leży wśród otwartych, lekko sfalowanych pól, na wrzecionowatym wzniesieniu, którego nawet wzgórzem nazwać nie można, bo słowo byłoby za szumne. Drzew prawie nie ma. Nieliczne tylko, zupełnie bezlistne, stoją przy chałupach i na miedzach.

Zaraz na początku zwiedzania padłem ofiarą przykrej pomyłki. Myślałem, że kryty słomą i pozbawiony okien budynek o ścianach z mat to obora czy stodoła. Był to jednak dom mieszkalny. Bawoły spędzają dzień pod gołym niebem. Nocują pod dachem — razem z ludźmi.

Są w Xindi i domy znacznie solidniejsze, murowane, bielone i kryte ciemną dachówką. Ciągną się grzbietem wzniesienia, a odstępy między nimi wypełniają chałupki bardzo ubogie. Ściany ich to słoma mieszana z gliną, powróśla, trzcina lub wspomniane już maty.

Zarówno dawniej, jak i teraz Xindi liczyło sto sześćdziesiąt trzy zagrody władające obszarem tysiąca czterystu pięćdziesięciu siedmiu mu ziemi, czyli dziewięćdziesięciu dwóch hektarów z małym ułamkiem. Dzisiaj żyją z niej siedemset pięćdziesiąt trzy osoby zrzeszone w spółdzielnię wyższego typu.

Przedtem na tych dziewięćdziesięciu dwóch hektarach siedziało siedmiu obszarników i pięciu kułaków! Największy z magnatów posiadał dwieście mu, drobniejsi mniej więcej po sto. Gospodarstwo kułackie miało od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu mu. Przypominam, że liczby te trzeba dzielić przez sześćście, jeśli się chce rachować w hektarach.

Ładniejsze, murowane domki należały do tych dwu kategorii ludzi. Nie wszyscy zresztą obszarnicy mieszkali tutaj. Byli tacy, co przebywali w mieście, wydzierzawiając chłopom grunt podzielony na drobne skrawki.

Siedziby tutejszych bogaczy w niczym doprawdy nie przypominają naszych dworów szlacheckich. Rozciągnięte na grzbiecie

lysej wyniosłości podobne są raczej do ubożego podmiejskiego osiedla, którego mieszkańcy żyją z ogrodnictwa. Domki małe i budowane w jednakowy sposób - zaraz za progiem znajduje się ni to kwadratowa sień, ni to wewnętrzne maleńkie podwó-reczko, częściowo z góry odsłonięte. Światło wpada stamtąd do ciasnych izdebek. W środku sieni jest płyciutkie prostokątne zagłębienie, gładko wyłożone kamieniami, taka sobie miniaturowa sadzaweczka, do której ścieka pewnie woda deszczowa.

Chłopskie chałupki mają jedną izbę, niemal pozbawioną okien. Światło wpada przez drzwi.

Mieszkania ogrzewa się za pomocą przenośnych glinianych piecyków opalanych plewami ryżowymi, które nie dają dymu. O ile wiem, system ten wymyślono w stuleciu X, w okresie „pięciu małych wieków”, czyli mniej więcej wtedy, kiedy uczeni chińscy wynaleźli pierwowzór druku.

Zwiedzałem Xindi 29 grudnia. Było trochę mrozu, pochmurnie i wietrzno. Temperatura spada tu niekiedy do dziesięciu stopni poniżej zera.

Zbliżał się wieczór, ale praca nie ustawała. W jednym domu wieśniak huczał żarnami. Obok osioł z zawiązanymi oczyma obracał kamienne walce miażdżące bób. Na skraju wsi pod gołym niebem funkcjonowało urządzenie do łuszczenia ryżu. Nie wiem, kto pierwszy sporządził taką maszynę, ale na pewno było to już bardzo dawno temu.

Wyobraźmy sobie krąg o średnicy jakich czterech metrów, wybrukowany płaskimi kamieniami i przez to podobny do lekko wypukłej tarczy. Obwód koliska to rynna ułożona z wyżłobionych kamieni. Ze środka tarczy pionowo wystaje obracająca się oś, od której poziomo odchodzi gruba belka. Na jej końcu coś w rodzaju ciężkiego wózka o dwóch kamiennych kołach, umieszczonych jedno za drugim jak w rowerze. Maszynę obraca bawolica z okrutnie zaropiałym okiem. Pogania młoda dziewczyna, która siedząc na owej belce, jeździ niczym na karuzeli. Kola toczą się rynną wypełnioną złocistymi ziarnami ryżu.

W składzie spółdzielni oglądałem inne narzędzia - motyki, sochy, chochle na długich tykach służące do polewania pól, brony - drewniane ramy z rzadkimi żelaznymi ostrzami. Były też maszyny do nawadniania, takie same jak te, które już opisywałem, lecz obracane ręczną korbą.

Ale było też sześć solidnych dwuskibowców.

Trudno zaprzeczyć, ubogo wygląda osiedle Xindi. Nie znać w nim jednak opuszczenia czy ruiny. Dachy całe, bez dziur, starannie pokryte, glina nie opada ze słomianych ścian. Jedno tylko pozostaje w zaniedbaniu: kapliczki bóstwa ziemi. Są to murowane, bielone ongi słupy z obszerną wnęką u szczytu, obecnie pustą.

Władze spółdzielni przyjmowały mnie w gmachu dawnej świątyni. Pustawe wnętrze przypominało niewielką stodołę. Piliśmy wrzątek i gawędzili, siedząc przy dużym stole.

Przewodniczący spółdzielni, Li Rechun, to mężczyzna średniego wzrostu o bardzo szerokiej twarzy i nosie. Dłonie tego chłopca są małe, subtelne. Jest bardzo uprzejmy, bez unizoności, mówi ze swobodą, płynnie. Ton jego słów, wygląd mówcy ubranego w kubrak szary i podniszczony, jego powściągliwy uśmiech dobrze jakoś pasują do smętnego krajobrazu i ubogiej wioski, w której na pewno nielekką się żyje. To nie jest żadna propaganda, obliczona na olśnienie cudzoziemca, to proste zwierzenie gospodarza obciążonego troskami.

Mówi, że w roku 1956 przez pięć miesięcy nie było deszczu. Spółdzielcy ocalili zbiory, sprowadziwszy wodę z odległości trzech kilometrów, kopiąc w tym celu dziesięć większych i osiem mniejszych kanałów. Pogłębili też trzy stawy, każdy przeciętnie o jeden metr. Skutek tej walki o wodę był między innymi taki, że przystąpił do kooperatywy chłop, który się dotąd trzymał od niej z daleka. Pólko jego leży za jakąś rozpadliną i gospodarz o własnych siłach nie mógłby go nawodnić w tym roku posuchy. Spółdzielnia wykonała to dobrowolnie, budując mu specjalny kanalik. To przekonało wieśniaka do korzyści, jakie daje praca w zespole.

Mogąc dzielić robotę między swoich członków, spółdzielnia nie tylko uprawiała dawne nieużytki, ale podjęła też rozmaite dochodowe zajęcia. Chlewnia licząca dwieście czterdzieści świń przyniosła dziesięć tysięcy czterysta juanów dochodu. Dalsze trzysta tysięcy udało się zarobić, wzięwszy w opiekę stado mlecznych krów, należących do państwowego przedsiębiorstwa w Wuhanie handlującego nabiałem (było to właśnie owo jedyne stado, które widziałem w Chinach). Dzięki polepszonej uprawie ryż dał w ostatnim roku więcej zysku niż zwykle, bo aż dziewięćdziesiąt osiem tysięcy juanów.

Jeśli przetłumaczyć te imponujące liczby na mowę powszednią, to znaczy powiedzieć po prostu, ile tu człowiek zarabia, otrzyma się ciekawy obraz.

Rodzina mająca cztery siły robocze zarobiła w ostatnim roku tysiąc dwadzieścia juanów. A więc na jednego dorosłego wieśniaka dwadzieścia juanów z ułamkiem miesięcznie. Niewiele!

Ale przed założeniem spółdzielni ta sama rodzina zarobiła w przeciągu roku juanów trzysta. Podzielmy sobie tę liczbę kolejno przez cztery i przez dwanaście, a otrzymamy plastyczny miernik. Wyjdzie wtedy na jaw, że bieda w Xindi zmniejszyła się przeszło trzykrotnie.

Jeszcze w roku 1955 dwadzieścia procent tutejszych gospodarzy przeżyło jesień i zimę na całkowitym utrzymaniu państwa.

Tak w praktyce wygląda owo stopniowe i mozolne nasycanie dobrobytem kraju, wyniszczonego przez wieki rabunku i nędzy.

MIEDŹ I ŹELAZO

To jest naprawdę oryginalny kraj! Wczoraj zmarłem trochę w Xindi, a dziś - pod tym samym Wuhanem, tylko z drugiej strony Jangcy - maszeruję wzdłuż jeziora, niosąc płaszcz na rękę i rozmyślając, że dobrze by było zdjąć sweter. W powietrzu aż się roi od komarów. Zanurzam się głową w ich wirujące kłęby i mimo woli przypominam sobie, że na Dalekim Wschodzie komary przenoszą japońskie zapalenie mózgu. Ale w zimie to podobno nie grozi. Jutro o północy spotykać będziemy Nowy Rok 1957.

Nie mogę jakoś zrozumieć stosunku Chińczyków do zagadnienia ciepła. Mieszkań właściwie nie ogrzewają. Na północnym zachodzie i na północy jest pewnie inaczej, ale nawet pod samym Pekinem, gdzie już u schyłku listopada panował mróz, widziałem w chacie chłopskiej urządzenie, również pamiętające epokę „pięciu małych wieków”. Od pieca kuchennego przewód kominowy szedł pod tapczan w sąsiedniej izdebce, na którym sypia familia. To było wszystko! W wielu takich nieopalanych właściwie kwaterach podłoga jest z granitu. Nawet w zimie liczni ludzie chodzą z nogami gołymi po kolana, mając na bosych stopach tylko słomiane łapcie, na twarzy zaś maseczkę chroniącą od przeziębienia. Rybak spotkany dziś nad jeziorem wskutek gorąca rozpiął ubranie i mogłem dyskretnie sprawdzić, co ma na sobie. Były to kolejno: niebieska watówka, niebieska bluza bawełniana, dwa także swetry - brązowy i żółty - a bezpośrednio

na ciele biała koszula. Podróżując poprzednio wagonami sypialnymi, mogłem się przekonać, że ludzie tutaj chyba z reguły noszą na sobie wiele „skór”. W sklepach wszędzie można kupić wspaniałą ciepłą bieliznę o niskich, stojących kołnierzykach koszul.

Pojęcia nie mam, jak sobie radzi człowiek ubrany tak solidnie w dzisiejszym chociażby nagłym grudniowym upale.

W powietrzu czuć ostry cuch rybi, zmieszany z mdłym zapachem surowizny. Płaskie brzegi jeziora jednolicie pokrywają warstwy ciemnej trawy, schnącej na słońcu niczym po sianokosach. To wodorosty, które po przesuszeniu pójdą na opał do pieców lub na pola jako nawóz.

Całe dno jeziora jest szczelnie porośnięte tym zielskiem. Widać je wyraźnie, bo woda dość płytka i bardzo przejrzysta. Płaskodenne czółno, którym wybraliśmy się na przejażdżkę, wolno płynie ku rybackim łodziom, widniejącym o kilkaset metrów. Specjalnie prosiłem, żeby pojechać w tamtą stronę, bo zainteresowały mnie dziwne czynności i ruchy łowców.

Kiedyśmy do nich podpływali, najbliższy po lewej stronie wywalił właśnie z sieci na pokład wielką rybę o srebrnej, cudownie zarysowanej łusce, której każda tarczka była obwiedziona ciemniejszym, sinobrunatnym kolorem. Schwytana rozpoczęła takie harce i łomotanie, że tylko patrzyłem, kiedy pękną wążle burty. Rybak ocenił na oko, że musiała ważyć około dwudziestu jin, czyli dziesięć kilogramów.

Matnia, w którą trafiła, składała się z wysokiego rusztowania z bambusowych drążków, trochę podobnego do dzwonu, również u góry zakończony otwartym koliskiem. Sieć o dość dużych okach luźno, jak zwisający wór, opina ten przyrząd od zewnątrz. Rybak stojący na płaskim dziobie czółna stawia aparat na dnie i bodzie wewnątrz bambusową tyką. Jeśli poczuje, że ryba się tam tłucze, zwalnia w górze sznurki - sieć jeszcze bardziej opada i zdobycz zaplątuje się w nią. Wtedy podnosi cały przyrząd na pokład. Złowiona ryba wisi na zewnątrz dolnego koliska dzwonu niczym w przejrzystym saku, wściekle się ciska, ale uciec nie może.

Już się zaczynałem obawiać, żeśmy zauroczyli połów. Sieci bez plusku szły w wodę i podnosiły się puste. Aż wreszcie przy trzeciej łódce na prawo troszkę się zakotłowało. Zdobycz nie była imponująca, zawsze jednak musiała mieć ze ćwierć metra długości. Rybak wypłatał ją z powrózków... i aż mnie poderwało, kiedy zobaczyłem, jak gładko się ześliznęła z powrotem w wodę. Nie była to jednak niezręczność łowcy. Ryby nie dość wyrośnięte należy wypuszczać, której to reguły przestrzega się święcie.

Już od dłuższego czasu niósł się po wodzie odgłos suchego kołatania, jakby-gdzieś daleko bez pośpiechu potrząsano wielu naraz grzechotkami. Nie zwracałem na to uwagi, zajęty obserwacją. Dopiero nasyciwszy trochę oczy, zapytałem o przyczynę hałasu.

- Tam także ryby łowią.

- Gdzie łowią? I czemu w takim razie robią szum?

- A ot tam... - Huang Keping pokazał mi całą tyralierę czarnych punkcików, ledwie widocznych na błękitnej powierzchni jeziora.

Okazało się, że był to połów za pomocą sieci zwykłych, ale wykonywany w sposób według naszych pojęć całkiem nadzwyczajny. Łodzie płyną szeregiem, a rybacy nieustannie stukają w ich burty. Zaintrygowane ryby podnoszą się z dna, podpływają bliżej powierzchni i wtedy wygarnia się je siecią.

Kiedy słuchałem tego wyjaśnienia, zaraz mi się przypomniały dwie rzeczy.

Przede wszystkim świątynia w Hangzhou, w której są do obejrzenia hodowane w sadzawkach ryby. Przewodnik przechylił się przez barierę i zaczął głośno klaskać w dłonie. Z cienia wynurzyła się i podpłynęła bliżej wataha smukłych karpie metrowej długości. Jedne były złote, inne granatowe lub różowolacia-^ste, trochę podobne do prosiąt.

Drugie wspomnienie dotyczyło Polski, a raczej wędkarzy nad jej wodami, milczących fanatyków, gotowych okrutnie zamordować każdego, kto w pobliżu kichnie.

Proszę - tam biją za hałasowanie, a tu hałasować każą.

Nie tylko rybacy i spacerowicze snuli się owego popołudnia po rozległym jeziorze. Opodal niewielka łódka nurzała się tak głęboko, że burty tworzyły nad wodą ledwie znaczną kreskę. Pracował na niej człowiek podkasany aż po biodra. Na głowie miał bardzo szeroki, płaski i sztywny kapelusz. Pochylał się i długimi grabiami wydierał z dna wodorosty. Na rufie piętrzyła się istna kopka siana. Ciemna sylwetka wieśniaka i jego obładowanego czółna ostro się odcinała od lazurowego tła wody. Horyzont zamykał wiotki i blade kontury cypla daleko wcinającego się w jezioro. Na samym skraju tego paska łądu stała przewiewna altana o łamanym dachu.

Rzewne uczucie mną owładnęło, kiedy tak patrzyłem i utrwalałem w pamięci cudowną inność, odmienność, bogactwo szczegółów życia. Każdy z nich jest przecież wyrazem różnego obyczaju, stanowi wynik długiego i zupełnie swoistego doświadczenia stuleci, które odrębnie kształtowały także dusze ludzkie. Współczuję nieszczęśliwym, którzy mniemają, że zbawienie ludzkości zawisło od jednego dla wszystkich strychulca, i wmawiają w nas, że wszystko na świecie jest zawsze i wszędzie takie samo.

Ale wspomniana rzewność uczuć płynęła nie ze współczucia, lecz ze smętnej pewności, że 30 grudnia jest właściwie ostatnim dniem mego zwiedzania Chin. Jutro spotkamy w Wuhanie Nowy Rok. Czerwone, ozdobione żółtymi chwastami lampiony już tam wiszą nad sklepami. W holu hotelowym stoi wysoka choinka ze srebrną gwiazdą na szczycie. Jest to uprzejmość gospodarzy względem europejskich gości. Sami Chińczycy dość zdawkowo traktują noc sylwestrową. Swoją prawdziwą Nowy Rok obchodzą w lutym, świętując przez kilka dni.

No, a pojutrze, czyli 1 stycznia rano... samolotem do Pekinu. Wśród mnóstwa pożegnalnych zajęć starczy mi zaledwie czasu na ostatnie odwiedziny Świątyni Nieba, której spatynowane piękno chciałbym jak najlepiej zapamiętać. Pojadę też do Świątyni Lamy popatrzeć z dołu na ciemną twarz czterdziesto-

metrowego posągu Buddy, przybranego w żółty płaszcz jedwabny. Od przegubów hieratycznie ułożonych dłoni spływają długie, kolorowe wstęgi. Oczy zdają się patrzeć w zaświaty, bo przemyślny budowniczy świątyni gdzieś tam w górze umieścił okno i światło pada wprost na oblicze bożyszczka. Przed zachodem słońca zabrzmia powolne uderzenia gongu i na podwórku wyłożonym kamiennymi płytami ukażą się idący na modły lamowie o odkrytych, strzyżonych głowach, otuleni w żółte opończe bez rękawów.

I na co jeszcze koniecznie, choćby z daleka, muszę popatrzeć w Pekinie, to na Białą Dagobę. Bo tak szczęśliwie wypadło, że właśnie 30 grudnia wyraziście przypomniałem sobie i ją samą, i tradycję polityczną, którą ona symbolizuje - przynajmniej w moich oczach.

Rano przeprawiliśmy się statkiem przez jangcy i ulicami Wuchangu ruszyli autem — naturalnie warszawą — w kierunku Jeziora Wschodniego, które się znajduje zaraz za miastem. Znowu trafiłem na tereny, które gwałtownie zmieniają swój dawny sielski wygląd! Jechało się to znakomitą betonową nawierzchnią, to znów zbaczało na odcinki straszliwych szos podmiejskich. Postać mostków, które szofer brał pędem, mogła najodważniejszego przestraszyć. Obok wielkich, piętrowych domów z czerwonej cegły stały prowizoryczne budowle kryte słomą, ze ścianami z mat. Obiad jedliśmy w nowiutkim i eleganckim hotelu, ślicznie położonym nad wodą.

Na brzegach Jeziora Wschodniego z rozmachem wznosi się nową dzielnicę, w której się pomieszczą instytucje kulturalne oraz uczelnie. Główny jej ośrodek stanowi uniwersytet, założony jeszcze przez Kuomintang, ale po wojnie rozszerzony i zreorganizowany. Na horyzoncie widnieją wielkie kompleksy gmachów Instytutów Nauczycielskiego i Pedagogicznego. W Chinach różni się te dwa typy zakładów. Pierwszy, w którym nauka trwa dwa lata, daje prawo wykładania w niższych klasach szkół średnich. Drugi - czteroletni - kształci nauczycieli klas wyższych.

Jeśli zmienić trochę punkt obserwacyjny, można jeszcze dostrzec gmachy sanatoriów oraz muzeum.

W uniwersytecie bawiłem krótko, bo nie on był głównym celem wyprawy.

Ma obecnie jedenaście wydziałów, a to: języka chińskiego, historii, ekonomii, prawa, filozofii, języka rosyjskiego, fizyki, chemii, biologii, matematyki i bibliotekarski. Rektora na wniosek ministerstwa mianują władze państwowe, on zaś powołuje dziekanów. Studentów jest trzy tysiące. Trzydzieści sześć procent tej liczby to młodzież pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Pozostali wywodzą się z rodzin eks-kapitalistycznych i eks-ziemiańskich. Od wyzwolenia ukończyło ten uniwersytet cztery tysiące sto osób, czyli więcej niż poprzednio w przeciągu trzydziestu lat istnienia uczelni.

Student może się ubiegać o stypendium, którego górną granicę stanowi suma dwudziestu czterech juanów miesięcznie. Mieszkając oczywiście na miejscu, w internacie - ot tam gdzie schną na słońcu festony bielizny - płaci za żywność jedenaście i pół juana, tudzież jeszcze trzy na rozmaite inne potrzeby życiowe. Zimą i latem może prosić o zasiłek na zakup ubrania. Potrzebującym wolno też się starać o pomoc dla rodzin.

Uniwersytet, jak już wspomniałem, obejrzałem pobieżnie. Szczegółowe zwiedzenie wymagałoby mnóstwa czasu, bo każdy wydział ma osobny gmach i bibliotekę. Za wzgórzem jest jeszcze kolonia mieszkalna profesorów, których się dowozi do pracy samochodami czy autokarami.

Nad Jezioro Wschodnie wybrałem się przede wszystkim po to, żeby zobaczyć Południowośrodkowy Instytut Mniejszości Narodowych.

Wzgórze, na którym się wznoszą jego gmachy, jeszcze pięć lat temu było zupełnie puste — jeśli nie liczyć do dziś zachowanej wysmukłej, białej wieżyczki z epoki dynastii Song. Postawiono ją najpóźniej w wieku XIII. Potem przez siedemset lat nie działo się w tym miejscu nic godnego uwagi. Aż dopiero w roku 1952 przeniósł się tu Instytut powołany do życia rok wcześniej.

Nie żałowano mu miejsca! Wielkie budynki, utrzymane w stylu z lekka archaizowanym, stoją luźno wśród kwietników. Znać potężny, lecz zarazem i przezorny rozmach planowania biorącego pod uwagę przyszłość. Dzięki niemu zakład może się rozszerzać, nie bojąc się ciasnoty.

Przyjechaliśmy w takiej porze, kiedy całe Chiny jak długie i szerokie przystępują do gimnastyki. Student, którego sygnał radiowy przyłapał przed portykiem głównego gmachu, samotnie wyczyniał wygibasy i wymachy. Kilku innych robiło to samo na zwirowanych ścieżkach. (Przy okazji muszę oznajmić, że muchy widywałem jednak w Chinach. Bardzo rzadko, ale widywałem).

Chińskimi mniejszościami narodowymi zacząłem się żywo interesować od czasu, kiedy spotkałem w Pekinie fantastycznie barwną postać stepowca czy górala i zająłem do jadłodajni dla muzułmanów. Trzeba bowiem wyznać, że do Europy dociera mało wiadomości o tych ludach i zagadnieniach. Patrzymy na czerwone sztandary państwowe Chin, najczęściej po prostu nie wiedząc, że złote gwiazdy, widniejące na nich w liczbie pięciu, symbolizują pięć wielkich narodowości kraju: Chińczyków, Mandżurów, Mongołów, Tybetańczyków i Ujgurów.

W Chinach Wschodnich - w Nankinie, Hangzhou i w Szanghaju - mogłem się najwyżej przyglądać spotykanym wycieczkom. Dopiero w Kantonie problem mniejszości zaczął nabierać kształtów, stając się tematem wielu rozmów. W prowincji Guangdong, której stolicą jest Kanton, oprócz Chińczyków mieszka jeszcze osiem innych narodowości. Razem liczą przeszło pięćset czterdzieści siedem tysięcy głów — na trzydzieści siedem milionów ludności prowincji.

Brakło czasu na wyprawę w odległe strony zamieszkałe przez te plemiona. Musiałem więc poprzestać na wiadomościach, których mi dostarczał Jin Shanchun, wiceprezes kantonńskiego oddziału Związku Pisarzy. Właściwie nie naciskałem go o to. Miał i tak mnóstwo kłopotów, towarzysząc mi z dobrej woli we wszystkich eskapadach. Wystarczyło jednak, że się zorientował

w moim amatorskim zainteresowaniu problemem mniejszości. Zaraz nazajutrz dostarczył mi nawet danych statystycznych, które zdążył zgromadzić w nocy, po wycieczce do Gorących Źródeł.

Był to człowiek młody jeszcze, wysoki i szczupły. Nosił ubranie mundurowego kroju, uszyte z ciemnogramatowego sukna i utrzymane bardzo schludnie. Jego postępowanie cechowała życzliwa uwaga i subtelna powściągliwość. Sprawiał takie wrażenie, jakby ciągle baczył, żeby innym z czymś się nie narzucić, nie spowodować kłopotliwej sytuacji.

Po drodze do Gorących Źródeł mijaliśmy w pewnym osiedlu długie sznury tragarzy. Widocznie przywieziono tam jakiś transport i ludzie nieśli na bambusach najrozmaitsze rzeczy. Widziałem między innymi sporego wieprza, zamkniętego w koszu walcowatego kształtu. Dźwigało go dwóch mężczyzn. A wspomnieć jeszcze trzeba, że Chińczyk niosący ciężar idzie szybkim, drobnym kroczkiem, właściwie nawet biegnie truchtem. Jeśli widać z daleka postać z koszami maszerującą normalnie, to na pewno kosze są puste. Myślę, że to elastyczne nosidła bambusowe przyzwyczaili ludzi do tego ruchu.

- A moja matka - odezwał się nagle Jin Shanchun, patrząc na tragarzy — która ma sześćdziesiąt cztery lata, jeszcze potrafi unieść sto jin.

Okazało się, że pochodził ze wsi, był synem prostego chłopca.

Opowiadał mi, że kantoński oddział Związku Pisarzy zwrócił ostatnio pilną uwagę na życie mniejszości. Kilku literatów spędziło po kilka miesięcy w zamieszanych przez nie regionach. Należy mieć nadzieję, że te wyprawy upamiętnią się w książkach. Z całego serca życzę sukcesów poetom, dramaturgom i powieściopisarzom. Wolno jednak chyba marzyć także o dziełach, których autorzy postawią sobie cel skromny, lecz jakże ważny — zwyczajną informację, opis wzbogacony intelektualną refleksją.

Z tego, co mi mówił Jin Shanchun, wynikało, że w osiedlach zamieszanych przez mniejszości pełno jest rzeczy, które zdolne są ogromnie rozszerzyć horyzonty wiedzy o rodzaju ludzkim.

Dziś jeszcze można tam oglądać formy bytowania właściwe najrozmaitszym, gdzie indziej dawno już zanikłym stopniom rozwoju społecznego. Od czasów młodszej epoki kamiennej mieszka w tych stronach narodość Li, mająca własny całkiem odrębny język, ale nieznająca pisma. Wobec braku alfabetu wszelkie kontrakty handlowe utrwała się na łupanych bambusach. Zgodnie z tradycją kreska oznacza krowę, nacięcie podobne do X - jednostkę monetarną. Li wyznają wielobóstwo, mają licznych kapłanów i kapłanki, w uroczyste święta składają ofiary z bydła, ale nie posiadają zróżnicowanych wyobrażeń o bogu i diable. Dziewczętom ich od wczesnej młodości przysługuje prawo do zupełnej swobody seksualnej.

Li w ogóle nie znają pługa. Na zalane wodą pólka wypędzają stada bawołów, które depcą i spulchniają grunt. Dołki wygniecione przez ich racice to jedyna forma orki. Zbiory odbywają się ręcznie, zupełnie bez narzędzi.

Li uznają wyłącznie wspólną pracę na polu. Plony dzieli się równo między poszczególne zagrody, nie biorąc pod uwagę liczby zamieszkałych w nich ludzi. Po zbiorach rozpoczyna się u nich wielkie obżarstwo, które trwa tak długo, aż starczy zapasów. Potem zdobywa się żywność, uprawiając w górach zbieractwo.

Plemię to, którego poszczególne członkowie nie znają własnego wieku, liczy trzysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Żyje przede wszystkim na wyspie Hainan, położonej na Morzu Południowo-chińskim, gdzie ma specjalny okręg autonomiczny o siedmiu powiatach. Oprócz tego Li mieszkają też w dziewięciu powiatach na stałym lądzie.

Na wyspie Hainan żyje też szesnaście tysięcy sześciuset członków narodości Miao, której wiele grup zamieszkuje również na lądzie w siedmiu prowincjach Chin. Ogólna jej liczebność sięgać ma dwóch lub trzech milionów.

Miao przybyli na Hainan czterysta lat temu, uchodząc przed prześladowaniami ze strony dynastii Ming. Żyją przeważnie w górach, ponieważ boją się znacznie liczniejszych Li. Gospodarczo są

ogromnie zacofani. Stosują na przykład uprawę żarową, która znana była kiedyś i na polskich ziemiach, gdzie zanikła przed VIII stuleciem naszej ery. Przez dziwny kontrast kultura plemienia Miao jest ciekawa i stosunkowo wysoko rozwinięta.

Dawne kroniki chińskie miały dla tych narodowości jedno wspólne miano: Monzu - barbarzyńcy południa.

Obecnie tworzy się dla nich alfabety, których podstawę stanowią litery łacińskie. Ci, którzy w Pekinie kierują dziś polityką kulturalną, uważają, że każde z tych plemion powinno mieć pismo własne, a zastępowanie go alfabetem chińskim byłoby postępowaniem fałszywym.

Nie całkiem słusznie zrobiłem, używając przed chwilą czasu przeszłego, kiedy była mowa o alfabetach. Bo zamiar już się częściowo obłókł w ciało. W wuhańskim Instytucie Mniejszości oglądałem, a nawet miałem w ręku elementarz dla narodowości Zuo, zamieszkałej w prowincji Guangxi. Był wydrukowany czcionkami łacińskimi, z małym dodatkiem liter podobnych do rosyjskiej grażdanki. Tytuł książeczki wyglądał tak:

BON3SA WUNtGITfeNAb

Tak się złożyło, że żadna z towarzyszących mi osób nie znała języka plemienia Zuo, nie wiem więc, co te słowa znaczą.

Utworzono już także alfabety dla narodów Miao i Li, w 1957 roku mają go otrzymać Yao zamieszkali w górach na północ od Kantonu.

W przyszłości również Chińczycy chcą zreformować swój nader zawły alfabet i upodobnić go do łacińskiego, który uważają za najkorzystniejszy. Zanim się to stanie, sami pomagają swym niezbyt liczbym i okrutnie zacofanym mniejszościom wyprzedzać się na tej drodze. Doskonale też muszą rozumieć dwie rzeczy: że w chwili obecnej o całe niebo przewyższają swe mniejszości pod względem kultury i że własne piśmiennictwo najlepiej zabezpieczy każdy mały narodek przed rozplynięciem się w morzu chińskim.

Ciekawa polityka! Wydaje się równie mądra, jak i rzetelna (co zresztą najczęściej na jedno wychodzi).

Instytutów mniejszości jest wiele w Chinach. Centralny znajduje się naturalnie w Pekinie, ale go nie zwiedzałem, gdyż wołałem popatrzeć na prowincjonalny.

Wuhański Instytut to wyższa uczelnia i ośrodek badawczy połączone z kursami na szczeblu szkoły średniej. Uczą się w nim przede wszystkim studenci pochodzący z tutejszej prowincji — Hubei — oraz z pięciu innych przyległych: Guangdong, Guangxi, Hunan, Henan i Jiangxi. Należą oni do narodów: Miao, Yao, Dong, Zuo, Hue oraz innych. Ogółem uczących się jest tysiąc siedemdziesięciu ośmiu, w tym sto sześćdziesiąt dwie kobiety. Pięć procent ogólnej liczby stanowią rodowici Chińczycy, którzy w przyszłości będą pracować w okręgach mniejszościowych.

W przeciągu minionych lat sześciu ukończyło Instytut tysiąc dwustu trzynastu ludzi.

Praca Instytutu jako uczelni prowadzona jest na trzech poziomach. Przede wszystkim dział pedagogiczny z oddziałami języka chińskiego i historii Chin. Studiują w nim absolwenci szkół średnich ze wszystkich części kraju. Drugi poziom przeznaczony jest dla pracowników z prowincji, na przykład szefów sądów i szkół początkowych, sekretarzy komitetów partyjnych, urzędników, buchalterów. Ci wszyscy przyjeżdżają tu na roczny kurs doszkalający — buchalterzy tylko na półroczny - przez cały czas otrzymując normalną pensję służbową. Trzeci poziom, przygotowawczy, równa się szkole średniej.

Instytut ma dostarczyć regionom zamieszkanym przez mniejszości ich własnych wykwalifikowanych pracowników w dziedzinach kultury, gospodarki i polityki.

Często wyjeżdżają „w teren” specjalne grupy badawcze, poszukujące nieznanych dotąd zagadnień i zbierające materiały. Zdobyte ich opracowuje się potem dla wyzyskania w praktyce uczelni.

Stale działają dwa zespoły naukowców. Pierwszy zajmuje się historią mniejszości narodowych, drugi skupia językoznawców. To oni właśnie, wspólnie z Akademią Nauk, pracują nad przygotowaniem nowych alfabetów.

Większość wykładowców rekrutuje się spośród profesorów uniwersytetu. Osiemnaście procent tej kadry pedagogicznej wywodzi się z mniejszości. Liczba ta będzie nieustannie rosła, bo już dziś nauczają w Instytucie jego własni wychowankowie.

Biblioteka liczy siedemdziesiąt tysięcy tomów. Zbiory, pomieszczone w osobnym gmachu, są niezwykle ciekawe, stanowią prawdziwe muzeum eksponatów z dziedziny historii, kultury, etnografii, bogactw naturalnych oraz polityki.

Obliczona na długie lata praca Instytutu zmierza do celów w najwyższym stopniu zasługujących na uwagę. Chodzi o to, by każde z zacofanych dziś plemion wewnętrznie się zrosło w nowoczesny naród, a także o to, by wszystkie nacje zamieszkujące państwo przywykły szanować się wzajemnie, żyć w warunkach równouprawnienia i zgody.

Powiedziano mi, że w 1957 roku odbędzie się generalne sprawozdanie i roztrząsanie sumień urzędników chińskich, zatrudnionych wśród mniejszości. Niektórzy z nich przejawiają bowiem skłonności do upatrywania w otoczeniu samych tylko cech ujemnych.

W muzeum Instytutu jest ciekawie wykonana mapa plastyczna kraju. Widnieją na niej małe figurki w narodowych strojach mniejszości. W centrum i na wschodzie jest raczej pustawo, bo tam zwartą masą mieszkają Chińczycy. Za to na południu, zachodzie, północnym zachodzie i północy aż tłoczno od kolorowych ludków.

Wszystkie chińskie mniejszości razem wzięte liczą trzydzieści pięć milionów głów, czyli mniej więcej tyle właśnie, ilu jest Polaków na całym globie. Niezbyt to wiele w państwie, które ma sześćset milionów obywateli. Ale te sześćdziesiąt przeszło małych narodowości zajmuje tereny, które stanowią równo sześćdziesiąt procent obszaru państwowego Chin.

Sceptycyzm podszeptuje, że przytoczone przed chwilą liczby bez reszty wyjaśniają ogólną politykę rządu pekińskiego. Na olbrzymich, pozbawionych komunikacji i słabo zaludnionych terytoriach mieszkają szczepy mniej lub bardziej pierwotne, lecz gorąco przywiązane do swego obyczaju i mężne. Jakież skutki mogłaby w tych warunkach spowodować polityka, którą pewni Europejczycy delikatnie zowią dogmatyczną, schematyczną i sztywną, a która jest - w gruncie rzeczy — przede wszystkim głupia? Wyobraźmy sobie partyzantkę na przykład w Tybecie, na wysokości od czterech do sześciu tysięcy metrów nad poziomem morza, z dużymi możliwościami przenoszenia się walców w regiony położone jeszcze bliżej nieba. Zaiste, najliczniejszej armii niełatwo by tam przyszły sukcesy, bo chcąc zwyciężyć, trzeba najpierw przeciwnika odszukać.

Rozważania te wcale nie osłabiają mego szacunku dla chińskiej polityki w stosunku do mniejszości. Odwrotnie, szacunek ten rośnie w miarę rozmyślania o istotnych racjach, z których to postępowanie może wypływać.

Nie jestem skłonny do przejmowania się teoriami, które obiecują ludzkości idealną szczęśliwość pod warunkiem zastosowania się do takich czy innych dogmatów. Ufam natomiast ludzkiemu rozumowi, który potrafi dostrzegać fakty i na spostrzeżeniach tych budować wnioski pozwalające stopniowo poprawiać bytowanie i umniejszać zło.

Jest faktem nieulegającym wątpliwości, że nie ma pod słońcem takiej siły, która by potrafiła zgłajchsztaltować świat... w miarę rozwoju nauki i techniki coraz bardziej tęskniący do jedności.

Warto — doprawdy — porozmyślać od czasu do czasu nad treścią niektórych tablic statystycznych. Głoszą one, że zaludnienie globu wynosiło ostatnio dwa miliardy sześćset dziewięćdziesiąt jeden milionów osób (w przeciągu piętnastu lat przybyło czterysta pięćdziesiąt milionów ludzi). Najliczniejszy naród świata, chiński, liczy około pięciuset sześćdziesięciu pięciu milionów. Ciekawa rzecz, którą nację wypadnie postawić na dru-

gim miejscu? Indie mają niespełna czterysta milionów obywateli, ale liczba ta odnosi się do państwa zamieszkanego przez mnóstwo rozmaitych plemion i szczepów. Związek Radziecki -dwieście milionów, lecz Rosjan jest tam niewiele więcej niż połowa. Stany Zjednoczone mają sto sześćdziesiąt kilka milionów. Ile trzeba odrachować na grupy niebędące Jankesami?

Z zestawienia wypada więc, że najpierw idą Chiny, potem długo... długo nic — i dopiero inne narody „giganty”, z których każdy jest kilkakrotnie mniej od chińskiego liczebny.

Żadne z wielkich mocarstw nie powinno więc nawet marzyć o uszczęśliwianiu świata przez narzucanie mu własnych wzorów ani o traktowaniu innych narodów jak podrzędnych mniejszości. Bo gdyby nawet wszystkich swych obywateli — wraz z niemowlętami — przerobiło na żandarmów, to i tak byłoby ich grubo za mało.

Nie można osiągnąć celu, nie spełniwszy niezbędnego warunku. Droga do koniecznej jedności organizacyjnej świata wiedzie poprzez szacunek dla jego różnorodności.

Jak dotąd jedynym człowiekiem, który nie uznając tej prawdy, postępował konsekwentnie, był Adolf Hitler. On wiedział, że miłość ojczyzny i jej obyczaju wydrzeć można człowiekowi tylko razem z życiem. Ostateczny rezultat jego działań, obliczonych zresztą zaledwie na Europę, oglądaliśmy w roku 1945. W wyobraźni pomnożmy sobie ten pouczający przykład o skalę kuli ziemskiej.

Wyznaję, że rozmaite myśli snuły mi się po głowie, kiedy oglądałem Chiny. Najliczniejszy naród świata, uczciwy, pracowity nadzwyczajnie, zdyscyplinowany w sposób najzupełniej fantastyczny, na swoich dziesięciu milionach kilometrów kwadratowych powierzchni posiadający wszystko, czego tylko potrzeba przemysłowi i technice... Przecież jeśli tak dalej pójdzie, w stosunkowo niedługim czasie Chiny mogą wyrosnąć na potęgę, jakiej jeszcze historia nie oglądała. Tak, ale każdy mocarz łatwo i zawczasu kark skręci, jeśli ulegnie pokusom polityki międzynarodowej aż nazbyt dobrze znanego typu. Możliwość tego wła-

śnie niebezpieczeństwa stanowi — moim zdaniem — najgroźniejszy znak zapytania unoszący się nad godną wielkiego szacunku pracą tego kraju.

Chińczycy z każdym dniem lepiej rozumieją, czym są i jaka rola przypada w udziale ich państwu. Jednocześnie sami siebie głośno upominają i ostrzegają przed popadnięciem w wielkomocarstwowy szowinizm, a ich polityka w stosunku do mniejszości zdaje się wyraźnie świadczyć, że owe enuncjacje to nie są puste słowa. Wszystko wskazuje raczej, że się w tym kraju trzeźwo na rzeczy patrzy, szanuje zdrowy rozsądek i widzi prawdziwe własne interesy, nie zaś fikcje.

Urzeczywistniana w praktyce tolerancja narodowościowa oraz oficjalne potępienie szowinizmu wielkich mocarstw muszą zyskiwać Chińczykom wielki mir wśród innych narodów Azji (i nie tylko Azji). Wolno chyba przypuszczać, że wybierając tę drogę, Pekin całkiem świadomie zmierza do powiększenia swego znaczenia na świecie. Różne ludy rozczarowane postępowaniem innych mocarstw mogą się łatwo stać nie tylko politycznymi, lecz także moralnymi sprzymierzeńcami Chin.

Jeśli rozumowanie to odpowiada prawdzie, jeśli istotnie tą drogą Pekin zmierza do przewodnictwa, to dłaczegóż miałbym mu oponować, skoro różnica koloru skóry nic mnie nie obchodzi? Jasne jest, że w dzisiejszej dobie historii tylko wielkie państwa mogą grać role główne. Dla narodów małych różnice między nimi zależą od celów, którym te mocarstwa służą, i od środków, jakie wybierają. Nie zyska przyjaciół taka potęga, która zażąda od słabszych sprzymierzeńców, aby przestali być sobą.

Ostatecznie Chińczycy zupełnie śmiało mogliby liczyć, że po takich czy innych przejściowych trudnościach wchłoną i wynarodowią te swoje mizerne trzydzieści pięć milionów mniejszości. Kraj jest ogromny, metoda masowych deportacji mogłaby być z powodzeniem stosowana. Tymczasem to, co widziałem i o czym od dobrze poinformowanych ludzi słyszałem, świadczy, że Chińczycy tak postępują, jakby chcieli zupełnie uniemożliwić wszel-

kie próby unicestwienia mniejszości, a wewnętrzną spójność państwa pragnęli osiągnąć trudnym sposobem pojednania róż-nolitych, świadomych siebie elementów.

Ogólnie biorąc, wszystko tak się zdaje wyglądać, jakby w Pekinie „odkryto” prawdę od dawna znaną, lecz dla wielu mężów stanu dziwnie niedostrzegalną. Brzmi ona tak: jeśli ktoś nie musi być moim wrogiem, to dlaczegoż ja właśnie miałbym go do tego skłaniać?

Nie brakuje na tym padole działaczy, którzy czynią odwrotnie, i wszystkich, z którymi się stykają, za wszelką cenę usiłują przerobić na nieprzyjaciół. Ten równie wzniosły, jak i rozsądny cel osiąga się najłatwiej, gwałtem uszczęśliwiając innych na własny wzór.

Są tacy, którzy utrzymują, że świat się dzieli tylko na posiadaczy i wydziedziczonych, na wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Oby tak było! Jakże prosto i szybko mogliby wtedy ludzie zaprowadzić porządek, zwłaszcza że nauka i technika mają coraz więcej do powiedzenia w życiu społeczeństw.

U nas w środkowej Europie dokładniej może niż gdzie indziej wiadomo, jaką treść zawiera słowo „nacjonalizm”. I to także nie jest już tajne, że zmiana ustroju i usunięcie klasy pasożytniczej wcale nie zabezpiecza ani przed nim, ani nawet przed szowinizmem.

Jeśli się spokojnie przyjrzeć historii Europy w XIX i XX stuleciach, łatwo można zauważyć, że w miarę gruntownej demokratyzacji państw coraz bardziej wzrastał nacjonalizm. Nie ma w tym cudu ani sprawki szatana. Dochodzenie do głosu warstw ludowych jest zjawiskiem bardzo dodatnim, ale i ten medal ma swoją drugą stronę. Uzyskały znaczenie te klasy społeczne, które poprzednio nie uczestniczyły w światowej wymianie dóbr kulturalnych. Ich widnokregi były z musu ciasne, nie przekraczały granic gminy, miasta, w najlepszym wypadku własnego państwa. Ludzie tak wychowani silniej niż pozostali odczuwać mogą obcość innych, zupełnie sobie nieznanymi kręgów kultury.

Jeśli ludzie ci są obywatelami państwa słabego, będą się zamykać we własnych granicach jak żółw w skorupie, ze wstrętem

odpychać wszelkie nowinki tudzież „miazmaty”, tęsknie marząc o chwili, kiedy można będzie przygiąć do ziemi jeszcze słabszych. Lecz jeśli w grę wchodzi mocarstwo... O! wtedy zaraz się pojawia misja dziejowa, apostołski zapal do nawracania niewiernych i takich, co się zabłąkali na zgniłe manowce, rojenia o którymś tam 2 rzędu „Rzymie”. Bo przecież nie ulega wątpliwości, że właśnie w tym świetlanym mocarstwie wszystko jest naj... naj... naj...

Plemię Miao kryjące się w górach Hainanu jest małe i słabe. Jego odwieczne przysłowie głosi, że miedź i żelazo nie mogą się połączyć.

Wędrówkę po Chinach kończyłem pod szczęśliwą gwiazdą. Odniosłem bowiem wrażenie, iż prawda życia może zaprzeczyć przytoczonej opinii drobnego i długo prześladowanego narodu. Sami Miao zmienią pewnie zdanie, kiedy otrzymawszy alfabet, tym samym uzyskają dostęp do ogólnoludzkiej kultury. Dużo na to trzeba czasu, ale początek już został zrobiony.

Alfabet i wielka polityka, prowincjonalny instytut chiński i sprawy stosunków międzynarodowych - zestawienia, które tylko z pozoru wyglądają dziwnie.

Od dawna już uważam jedność świata i zgodę równouprawnionych narodów za najbardziej istotne, rozstrzygające o przyszłości zagadnienia. Najgorszym zaś wrogiem tych zasad jest nacjonalizm, rodzący żądę panowania. Wszystkie — zarówno laickie, jak i religijne teorie wykazały wobec niego zupełną bezsilność. Pokonać go może tylko jedna rzecz: kultura. Ale nie ta, którą się mierzy wskaźnikami zużycia mydła i pasty do butów. Mówiąc o kulturze, miałem na myśli duchowe obywatelstwo świata, wiedzę i wyczucie, jak bardzo różnorodne, zawile, względne i godne szacunku są jego sprawy.

Tyle już razy się obserwowało banalne procesy albo czytało o nich: naród, który walczył o wolność, budząc współczucie innych, natychmiast po jej zdobyciu zmienia front i zaczyna gnębić obcoplemieńców, traktować ich jak wcielone zło. Aż oto

w Azji Wschodniej znalazłem argumenty na poparcie tezy, że nie tylko w teorii, lecz i w praktyce może być inaczej.

Chińczykom kultury nie brakuje. Stwierdzenie tej oczywistej prawdy leży nawet do pewnego stopnia w polskiej tradycji. Inżynier Stanisław Kierbedź — budowniczy sławnego mostu warszawskiego, którego już nie ma - powiedział kiedyś ministrowi Witte, rozprawiającemu o misji caratu w Mandżurii:

— Ekszelencjo, chiński chłop w Mandżurii jest bardziej cywilizowany od niejednego z tutejszych dygnitarzy.

Podczas sześciotygodniowej wędrowki niewiele mogłem zobaczyć. Toteż wolałem się w tej książce powstrzymać od kategorycznych sądów, wyrażając tylko osobiste, na pewno zabarwione subiektywizmem wnioski i przypuszczenia. Bardzo możliwe, że wiele z nich nie wytrzyma krytyki i upadnie. W każdym razie z drugiego krańca łądu Eurazji przywiozłem nadzieję, że rozumne próby rozwiązywania splątanych spraw między ludźmi i narodami są możliwe i potrafią przynieść upragniony skutek.

Nadzieja, to już wiele.

Warszawa, 29 stycznia—27 marca 1951 roku

NOTA WYDAWNICZA

Niniejsza książka jest pokłosiem sześciotygodniowej podróży po Chinach, którą Paweł Jasienica odbył w 1956 roku w ramach tak zwanej wymiany kulturalnej na zaproszenie Związku Pisarzy Chińskich. Marszrutę miał napiętą. 20 listopada wyleciał z Warszawy do Pekinu, 2 grudnia był w Nankinie, potem m.in. w Szanghaju, Hangzhou i Kantonie. Wigilię i święta spędził, spływając Jangcy z Chongqing do Wuhanu. Stamtąd 1 stycznia wrócił do Pekinu, a 5 stycznia 1957 odlatywał już z Irkucka do kraju. Podróżował samotnie, tylko w towarzystwie młodego chińskiego tłumacza. Wszędzie starał się zobaczyć i doświadczyć więcej, niż przewidywał oficjalny program. Jak pisał w swym raporcie: „Utwierdziłem się w mniemaniu, że najlepiej jest, kiedy literat nikogo i niczego nie reprezentuje, a wyprawa jego ma możliwie jak najmniej wspólnego z oficjalnością i polityką”. Zaraz po powrocie zaczął spisywać swe wrażenia (29 stycznia - 27 marca). Pierwsze i jedyne dotąd wydanie raportu Jasienicy ukazało się w 1957 roku nakładem wydawnictwa Czytelnik pt. *Kraj nadjangtse*.

Przy opracowywaniu tekstu poprawiono bez zaznaczenia ewidentne pomyłki, zachowując charakterystyczne dla pisarstwa Jasienicy formy językowe. W kilku wypadkach dodano przypisy, oznaczając je numerkami (przypisy autora oznaczono gwiazdką).

Przede wszystkim jednak uwspółcześiono i ujednolicono pisownię, stosując przyjętą przez Polskę w 1981 roku oficjalną, międzynarodową transkrypcję nazw i nazwisk chińskich w alfa-

becie łańskim, zwaną *hanyi pinyin*. W wydaniu z 1957 roku użyto bowiem pisowni stosowanej ówczesznie w Polsce, w tym zapisu opartego na rosyjskiej transkrypcji sinologicznej. W związku z przypuszczalną niedokładnością transkrypcji z rosyjskiego -i wobec braku zapisów hieroglificznych - własciwe odczytanie, zwłaszczta imion i nazwisk osób mniej znanych, niejednokrotnie sprawiało trudnośc. Dlatego w indeksie, oprócz transkrypcji *pinyin*, w niektórych wypadkach podawano równiez pisownię w takiej formie, jakiej użył autor.

Odstępstwo od chińskiej transkrypcji stanowią te nieliczne nazwiska bądź nazwy, których pisownia utrwała się w piśmiennictwie polskim. A więc np. Mao Tse-tung (Mao Zedong), Czang Kaj-szek (Jiang Jieshi), Sun Jat-sen (Sun Zhongshan), Czou En-laj (Zhou Enlai); Kuomintang (Guomindang); z nazw geograficznych zaś np. tytułowa Jangcy (Chang Jiang), miasta takie jak Kanton (Guangzhou), Nankin (Nanjing), Pekin (Beijing), Szanghaj (Shanghai), Amoy (Xiamen) czy też prowincja Syczuan (Sichuan).

Dla przybliżenia czytelnikowi własciwego brzmienia zapisanych w *pinyin* nazw i nazwisk podajemy podstawowe zasady wymowy według tego systemu transkrypcji:

a (w połączeniu **-ian**) - **e** (np. xian=sien)

b-p

c - ech (c przydechowe)

eh — **czch** (cz przydechowe)

d-t

g-k

i (po samogłoskach) - **j** (np. Hainan = Hajnan)

i (po c, eh, r, s, sh, z, zh) - **y** (np. Renmin Ribao=Żenmin Żypao)

j — **dż** (np. w słowie dźwięk)

k - kch (k przydechowe)

o (przed -ng) - **u** (np. dynastia Song=Sung)

p — **pch** (p przydechowe, np. w słowie pchła)

q-ć

r — ż (na początku wyrazu) lub r (na końcu wyrazu)

sh - sz

t - tch (t przydechowe)

u (po j, q, x) - u umlaut

x — ś

y-j

z — dz (jak w słowie dzwonek)

zh - dż (np. w słowie dżdżysty)

ng - n tylnojęzykowe (jak w słowie gong)

w — ł (np. w słowie łoś)

W pozostałych wypadkach samogłoski a, e, i, o, u, ii oraz spółgłoski f, h, m, l, n, s wymawia się jak w języku polskim.

INDEKS OSÓB¹

- Ai Qing, Aj Cing, właśc. Jiang
Haicheng (1910-1996), poeta 52
- Bajan (1237-1295), wódz mongolski
122 Boy zob. Żeleński
- Tadeusz
- Chan Zhijiang (*Chaun Dii-tsjan*), inż. 231
- Chen Baichen (*Czen Be-czen*) (1908-1994),
dramaturg 52 Chongzheng,
1628-1645 cesarz
z dynastii Ming 15, 16, 36 Cixi,
Cy-si, właśc. Yohenara
(1835-1908), cesarzowa wdowa
z dynastii Qing 40, 113 Conrad
Joseph (właśc. Józef Teodor
Konrad Korzeniowski) 142
- Czang Kaj-szek zob. Jiang Jieshi
- Czou En-laj zob. Zhou Enlai
- Czyngis-chan, Dżyngis-chan,
Temudżyn, władca mongolski 112
- Daoguang, 1821-1859 cesarz
z dynastii Qing 159
- Dmowski Roman 185, 196
- Dun Zunwu, Dun Cunwu (*Dun Zun-u*),
pisarz 201 Dżyngis-chan zob.
Czyngis-chan
- Engels Friedrich 118
- Fang T'ie (*Fan Tie*), dyrektor Muzeum
Lu Xuna w Shaoxing 136 Fou (Fu)
- Ts'ong, Fu Zong, Fu Cung,
pianista 33 Fu Lai,
pisarz 33, 193
- Gomułka Władysław 8
- Han, dynastia (206 p.n.e. - 220 n.e.)
56, 215, 216
- Hitler Adolf 252
- Hoa, naczelny architekt Pekinu 57 Homer
183 Hongwu, Zhu Yuanzhang, Hung-wu,
Czu Juan-czang, 1368-1398 cesarz
z dynastii Ming 79 Huang Keping
(*Huan Ka-bin*), tłumacz
32, 34, 36, 39, 40, 43, 52, 53, 55,
60, 64, 65, 70, 75, 81, 86, 88, 94,

¹ Nazwiska i nazwy chińskie podano w indeksach według obowiązującej obecnie transkrypcji *pinyin*, obok zaś dodano dawne ich formy; w wypadku zaś postaci bądź miejscowości mniej znanych zaznaczono kursywą pisownię według transkrypcji rosyjskiej (zastosowaną w wydaniu z 1957 roku).

- 102, 103, 105, 112, 126, 129,
130, 137, 141, 144, 157, 182,
192, 201, 202, 211-213, 215,
217, 220, 221, 223, 241
- Huangdi, Huang-ti, Żółty Cesarz,
legendarny władca chiński 37, 38
- Hiickel Stanisław 119
- Jadzia zob. Zhen Yajian Jagiełło zob.
Władysław Jagiełło Jiang Jieshi, Czang
Kaj-szek, Chiang Kai-shek (1887-1975)
16, 72, 142, 184, 185, 194 Jiang Zhengjin
(*Tsjan Czen-zii*),
sekretarz związku pracowników kultury w
Nankinie 75, 76 Jin Shanchun (*Czin Szan-
chui*), wiceprezes Związku Pisarzy
Chińskich w Kantonie 245, 246 Juan,
dynastia, zob. Yuan
- Kangxi, Kang-si, 1654-1722 cesarz
z dynastii Qing 42 Kierbedź
Stanisław 256 Konfucjusz (551[^]79 p.n.e.)
74 Kubilaj (1215-1294), chan mongolski,
założyciel dynastii Yuan, cesarz
(Shizu) 122, 123
- Lan Men (*Lan Moń*), dramaturg 182
- Legendre A. F. 194, 229
- Lenin Władimir 22
- Li Rechun (*Li Zio-czuń*), przewodniczący
spółdzielni w Xindi 235 Lin
Shifu (*Lin Szyn Fu*), sekretarz
związku pracowników kultury
w prow. Zhejiang 129, 130, 141,
145 Lin Zexu, Lin Ce-sii, (1785-
1850),
pełnomocnik cesarza do walki
z handlem opium 159 Liu Bei (161-
223), władca królestwa
Shu212, 213
- Lobman Jerzy 57, 190
- London Jack 142 Lovell
Jerzy 51
- Lu Xun, Lu Sun, właśc. Zhou Shuren
(1881-1936), pisarz 133-135, 139
- Mao Yisheng, Mao I-szen
(1896-1989), inż. konstruktor 115
- Mao Zedong, Mao Tse-tung
(1893-1976)7,8, 16,33, 102 Marco
Polo zob. Polo Marco Marks Karol, Karl
Mara 118 Ming, dynastia (1368-1644)
15,
36-38, 55, 65, 66, 79, 122,
157, 247
- Nawrot Zbigniew 160
- Ochab Edward 8
- Okubo, podróżnik z Japonii 193
- Ossolińscy 35
- Panek Jerzy 57
- Polo Marco (1254-1324) 111, 112,
116, 122
- Przymanowski Janusz 34
- Putrament Jerzy 52
- Qin Suzhu (*Tsiń Su-czu*), prof.
uniwersytetu w Nankinie 78, 80
- Qing, Cing, dynastia chińska,
mandżurska (1644-1911 /1912)
37,40, 112, 189
- Radwański Feliks 65
- Radziwiłłowie 35
- Reymont Władysław Stanisław 78
- Rokossowski Konstanty 8 Roosevelt
Franklin Delano 184 Rowiński Jan
5-11
- Shi Huangdi zob. Huangdi
- Sienkiewicz Henryk 78

- Song, Sung, dynastia (960-1279) 112, 115, 121-123, 125, 190, 244
- Stalin Iosif 22, 118
- Sukarno (1901-1970), polityk indonezyjski 72
- Sun Yat-sen, Sun Jat-sen, Sun Zhongshan, właśc. Sun Wen (1866-1925) 78, 79, 228
- Sung, dynastia, zob. Song
- Szymanowski Karol 34
- Taizu, Zhao Kuangyin, założyciel i władca (960-975) Północnej dynastii Song 121, 122
- Talleyrand-Perigord Charles Maurice de 38
- Tang, dynastia (618-907) 55, 80
- Trepkowski Tadeusz 191
- Waldersee Alfred von 41
- Willkie 184, 185
- Witte Siergiej J. 256
- Władysław Jagiełło, król polski 37
- Wojtasiewicz Olgierd 133
- Xiao San (*Siao Szań*), pisarz 52
- Yang Chongchan (*Jan Chun Chan*), krytyk 182
- Yongle, Jung-lo, Zhu Di, 1403-1424 cesarz z dynastii Ming 36
- Yuan, Juan, dynastia mongolska w Chinach (1279-1368) 66, 112, 122
- Yue Fei, Jue Fej (1103-1141), dowódca chiński 114
- Zamoyski Jan 57, 121
- Zeng (Ceng) Shifeng (*Tsen Szin-fun*), naczelnik portu w Whampoa 159
- Zhan Tianyou, Tsan Tian-ju (1861-1919), inż. budowy kolei 40
- Zhan Xiu (*Czżan Szio*), pisarz 201
- Zhang Beixin (*Chan B-sin*), sekretarz oddziału Związku Pisarzy Chińskich w Wuhanie 229
- Zhang Xueliang, Czang Tsue-liang, Chang Hsueh-liang (1901-2001), rządcą Mandżurii, 1949-1990 w areszcie domowym 134
- Zhang Zuolin, Czang Tso-lin (1873-1928), od 1916 rządcą Mandżurii 134
- Zhen Yajiang (*Czenja-dzień*), tłumaczka „Jadzia” 33, 34, 57
- Zhao Kuangyin zob. Taizu
- Zhou Enlai, Czou En-laj (1898-1976) 185
- Zhu De, Czu Te (1886-1976), 1946-1954 nac. dow. Armii Ludowo-Wyzwoleńczej 229
- Zhu Di zob. Yongle
- Zhu Yuanzhang zob. Hongwu
- Żeleński Tadeusz, pseud. Boy 38
- Żeromski Stefan 135

INDEKS NAZW GEOGRAFICZNYCH I ETNICZNYCH

- Albania 93
Ama2onka rz. 204
Ameryka 144
Amerykanie 41, 63, 149
Amoj zob. Xiamen
Angara rz. 23, 25
Anglicy 41, 94, 159; zob. też Brytyjczycy
Austriacy 65, 95
Azja 21, 185, 230, 253
Azja Wschodnia 87, 256
- Bai, narodowość 182
Baidicheng (Gród Białego Króla) 212,
213 Bajkał jez. 21, 25, 26
Bałtyckie Morze, Bałtyk 143, 150
Beijing zob. Pekin Belgia 94 Birma
182 Brytyjczycy 159; zob. też
Anglicy
- Chang Jiang zob. Jangcy
Chengdu, Czengtu 184, 188
Chiny *passim*
Chiny Wschodnie 72, 245
Chiny Zachodnie 43
Chińczycy *passim*
Chongqing, Czungcing 10, 16, 33,
181, 183-185, 188-192, 201,
203, 209, 216, 231
- Czechosłowacja 118
Częstochowa 25
- Daleki Wschód 58, 239
Dashi He, Da Szi Ho, Wielka Rzeka
58, 59 Dong, Thun,
narodowość 249
- Egipt 79
Eurazja 144, 256
Europa 15, 16, 40, 85, 91, 119, 135,
159, 177, 185, 201, 204, 245,
252, 254 Europejczycy 54, 56, 58,
74, 87, 149,
251
- Fengjie 212
Francja 9, 58, 69, 173
Francuzi 41
Fuan Shen (*Fuań Szeń*) 60, 63, 65, 73
Fuzhou, Fuczou 159
- Gdańsk 35, 228
Gdynia 228
Gobi, pustynia 26
Gorące Źródła zob. Wenquan
Góra Smoczyc (Smoczej) Kości 58,
61-63, 71 Grecja 183 Gród Białego
Króla zob. Baidicheng

- Guangdong, Kuangtung, prow. 169, 245
 Guangxi, Kuangsi, region autonomiczny
 248, 249 Guangziou
 z.ob. Kanton
- Hainan, Hajnan, wyspa 72, 247, 255
 Han, narodowość 215
 Han Jiang, Han-ciang rz. 228, 231
 Hangzhou, Hanczou 16, 17, 32,
 111-113, 116, 118, 121-126,
 129, 131, 138, 145, 162, 169,
 177, 190, 212, 241, 245
 — Huang Long Dong (Pieczara
 Żółtego Smoka) 113
 — Lingyin Si (Świątynia Schronienia
 Duszy) 113, 123
 — Liuhe Ta (Pagoda Sześciu Harmonii)
 115
 — QingLianXi 113, 241
 — Xi Hu (Jezioro Zachodnie) 112
 — Yue Fei świątynia 114 Hankou
 zob. Wuhan Harbin, Charbin 160
 Henan, Honan, prow. 118, 249
 Hongcun, Hun-czun 167 Hongkong
 107, 159
 Huang He, Hoang-ho, Żółta Rzeka 70
 Huangpu (Hoang-pu) rz. 91, 92, 94
 Hubei, Hupej, prow. 219, 249 Hui, Hue,
 narodowość 249 Hunan, prow. 169, 249
- Indie 77, 118, 123, 172,252
 Indonezja 72
 Indyjski Ocean 149
 Irkuck 23-25, 28, 94, 196, 220
 Islandia 93
 Izrael 9
- Jangcy, Chang Jiang, Yangzi Jiang,
 Jangcy-ciang, Błękitna Rzeka 10,
 16,43,51,71,90, 122, 124, 172,
 185-187, 189, 201, 202, 204-216,
 218-224,227-232,239,243;
 zob. też Trzy Przelomy Jangcy
 Jao zob. Yao Japonia 144, 172, 193
 Japończycy 41, 58, 129, 194
 Japońskie Morze 141, 142 Jialing,
 Cialing rz. 185, 186, 201 Jiangxi,
 Ciangsi, prow. 169, 249 Jugosławia
 173 Jiinnan zob. Yunnan
- Kamienny Las, Shi Lin 182
 Kanada 173
 Kanton, Guangzhou 6, 10, 16, 33, 40, 53,
 54, 56, 72,99, 112, 115, 120, 132,
 149, 151, 158-163, 167, 169, 170,
 173, 174, 181, 182, 185, 191, 193,
 195,203,212, 227, 229, 248
 — HualinSi 112
 Kielce 85
 Kinowie 122
 Kitanowie 122
 Korea 118
 Korea Południowa 138, 141
 Kraków 37, 65, 221
 Krasnojarsk 21, 22
 Kunming 182, 183
- Laos 182
 Lhasa 42
 Li, narodowość 247, 248
 Linzi He, Lin Czi Ho rz. 174, 178
 Liuzhou, Liuczou 162
 Lipce 78
 Londyn 119
 Lugou Qiao (Most Marca Polo) 58
 Luksemburg 93
- Łabarz. 119
- Makau, Macao 159
 Mandżuria 256

- Mandżurowie 15, 245
- Marca Polo Most zob. Lugou Qiao
- Marsylia 17
- Miao, narodowość 247-249, 255
- Missisipi rz. 204
- Mongolia Wewnętrzna 129
- Mongolia Zewnętrzna 26, 27, 70
- Mongolowie 122, 245
- Moskwa 8, 52, 119, 153
- Nankin, Nanjing 10, 16, 32, 70-77, 85, 88,
92,94, 95, 107, 111, 118, 131, 169,
171, 191, 194, 245
- Grobowiec Hongwu (Ming
Xiaoling) 79
- Linggu Si (Świątynia Doliny Ducha)
77
- Linghun Ta, pagoda 79
- Mauzoleum Sun Yat-sena 78, 79
- Świątynia Konfucjusza 74
- Nanning 181
- Niemcy 95
- Niemen rz. 21
- Niemiecka Republika Demokratyczna
118 Nil rz. 204 Ningbo, Ningpo 10,
130, 138, 140,
141, 159, 171
- Norwegia 93
- Nowosybirsk 22 Nysa
66
- Odra rz. 209
- Olsztyńskie 93
- Omsk21
- Paryż 69, 194
- Pekin, Beijing 7-10, 15, 16, 21, 27, 28,
31-36,40-43,49-51, 54, 56-58, 63, 65,
70, 72, 85, 89, 92, 95, 104, 107, 116,
119, 121, 129, 133, 141, 160, 161,
185, 190, 192, 193, 196, 203, 223,
227,
- 229, 230, 239, 242, 243, 245, 248,
249, 253, 254
- Beihai, wzgórze i park 41
- Biała Dagoba 41, 42, 243
- Droga Duchów 41
- Letni Pałac Cesarski 28, 40, 113, 192
- Świątynia Lamy 242
- Świątynia Nieba 35, 36, 41, 188,
242
- Wzgórze Węglowe 15, 34, 35, 37,
41
- Zakazane Miasto 15, 34-36,
41-43, 80, 103, 135 Perłowa Rzeka,
Zhu Jiang, Czu-ciang
149, 150, 157, 159 Polacy 57, 250
Polska 8, 31, 65, 69, 73, 78, 93-95,
118, 129, 145, 173, 188, 190,
222, 241 Potudniowochińskie Morze
72, 149, 247 Poznań 81
- Qiantang Jiang, Ciantang-ciang rz.
115, 130, 145 Qinghai,
Cinghaj, prow. 172
- Radom 25 Rosja 69,
185 Rosjanie 95, 252
- Saara 93
- Sajany, Sajańskie góry 22
- Sandomierz 63
- Saragossa 17
- Shaamu, Szansi, prow. 38
- Shanghai zob. Szanghaj
- Shaoxing, Szaosing 132-134
- Muzeum Lu Xuna 1.34
- Shashi, Szaszy 220
- Sichuan zob. Syczuan
- Sinkiang, Xinjiang, region
autonomiczny 172
- Siuczou zob. Xuzhou

Sokolica g. 214
 Sopot 228
 Spokojny Ocean 85
 Stany Zjednoczone 173, 185, 194, 252
 Suzhou zob. Suzhou
 Siiczou zob. Xuzhou
 Suez 9
 Suzhou, Suczou 111, 162
 Swierdowski 21
 Syberia 21, 26
 Syczuan, Sichuan, prow. 179, 184, 186,
 189, 204
 Szanghaj, Shanhai 10, 16, 33, 85, 89-95,
 99-104, 111, 119, 129, 131, 133, 141,
 159, 160, 162, 169, 193, 194, 219,
 228, 232, 245
 — Ogrody Yu (YuYuan) 103
 Szczebrzeszyn 34
 Szczekociny 85
 Szwajcaria 87
 Szwecja 87

 Świętokrzyskie Góry 105

 Tajwan 138, 141, 143, 160
 Tanguci 122
 Tbilisi (1845-1936 Tyflis) 51
 Thun zob. Dong
 Trzy Przelomy Jangcy 213, 214
 — Qutang Xia213, 214
 — WuXia214
 — XilingXia216
 Tulon 17
 Tybet 42, 172, 183, 206, 219, 251
 Tybetańczycy 81, 129, 245 Tyflis zob.
 Tbilisi

 Ujgurzy 245
 Ulan Bator 26, 27, 119
 Ural 21

 Wanping 58, 66
 Wanxian (Wansien) 210, 211, 223, 231

 Warszawa 8, 21, 25, 32, 33, 52, 85, 91,
 92, 119, 129, 185, 203, 221, 230
 Waszyngton 184 Weishan Hu (Uj San
 Hu) jez. 70 Wenecja 111 Wenquan
 (Gorące Źródła) 6, 174-177,
 246 Węgry
 8, 9 Węrzy 33
 Whampoa, Wangpoa 158-160 Wielka
 Brytania 9, 118 Wietnam 118, 182 Wista
 rz. 8, 21, 28,91, 119, 209, 221,
 232
 Wrocław 91
 Wschodnie Jezioro (Shaoxing) 136
 Wschodnie Jezioro (Wuchang) 243,
 244 Wschodniocieńskie Morze 119,
 139,
 144 WuShan(Góry U) 213
 Wuchang, Wuczang zob. Wuhan Wuhan
 10, 181, 203, 209, 218, 221, 223,
 224, 227-236, 239, 242, 248, 249
 — Hankou 228
 — Hanyang, Hanjan 228
 — Wuchang, Wuczang 227, 228, 243
 — Wzgórze Żmii 230
 — Wzgórze Zótwia 230

 Xiamen, Siamen, Amoj 159 Xiepu,
 Sie-pu 121, 140, 142, 144 Xindi
 (*Sin-d*) 10, 232-236, 239 Xinjiang
 zob. Sinkiang Xuzhou, Suczou
 (Siuczou) 70

 Yangzi Jiang zob. Jangcy
 Yangzhou,Jangczou 10 Yao, Jao,
 narodowość 248, 249 Yichang, Iczang
 203, 217-221, 231 Yongding He, Jung
 Ding Ho rz. 28,
 39, 58, 60 Yunnan,
 Jiinnan, prow. 182

Zachodnie Góry (Xi Shan) 28, 36, 65
66,79 Zachodnie Jezioro zob.
Hangzhou Zhejiang, Czeciang, prow.
129, 145,
169, 177, 190 Zhoukoudian,
Czoukoutien 58, 62 Zhu Jiang zob.
Perłowa Rzeka

Zigui 215
ZSRR, Związek Radziecki 9, 26, 118,
173,252 Zuo, narodowość
248, 249
Żółta Rzeka zob. Huang He Żółte
Morze 144

SPIS RZECZY

W KRAJU NAD JANGCY - REFLEKSJE PO PÓLWIECZU
PROF. JAN ROWIŃSKI 5

ZAMIAST PRZEDMOWY	15
PRZELOT	19
STOLICA CZERWONA I SZARA	29
SZCZEGÓLIKI... DETALE...	41
NA POŁUDNIE!	67
CZWARTE NA GLOBIE	83
STARÓWKA	91
W RAJU ZIEMSKIM	109
SKRAJ LĄDU	121
BRAMA DO CHIN	147
NA ZWROTNIKU	165
„DOBRY CZŁOWIEK Z SYCZUANU”	119
ŚWIĘTA NA WIELKIEJ RZECE	199
W CHIŃSKIM TRÓJMIEŚCIE	225
MIEDŹ I ŻELAZO	231

Nota wydawnicza 251

Indeks osób 261

Indeks nazw geograficznych i etnicznych 264